



nr. 50. L. P. S. L. ino.

135

<b>Biblioteka Tadeusza Adolfa Rakowskiego</b>											
Nr. _____	Szafa _____	Ordz. _____	<table border="1"><tr><td>/</td><td>/</td><td>/</td><td>/</td></tr><tr><td>/</td><td>/</td><td>/</td><td>/</td></tr></table>	/	/	/	/	/	/	/	/
/	/	/	/								
/	/	/	/								

# PRZECIWIW PRĄDOWI.

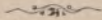
Tom I.





2454540

Walerya Marrené.



# PRZECIWIW PRĄDOWI

POWIEŚĆ.

Tom I.



LWOW.  
JAKUBOWSKI & ZADUROWICZ.  
1895.



I 306405



**Biblioteka Główna**  
UNIWERSYTETU GDAŃSKIEGO



\*1100744376\*

IX 4A/1a

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.

200-

I k 503/3A/78

Było to w maju, w miesiącu, który według słów znanej pieśni, rozwija drzewa, kwiatami obsypuje czeremchy, jabłoni, łąki złoci jaskrami i białymi gwiazdami narcyzów bieli rabaty klombów.

Wiosna powlekała naturę całą różnolitemi barwami: błyszczała w zieleni drzew, w kobiercach trawników, dźwięczała w wesółych głosach ptaków, odzywała się w klekocie bocianów, które stojąc na wysokim gnieździe, zdawały się panować nad okolicą, w rechotaniu żab, jednostajnym chórem odzywających się z głębin stawu. Wiosna radowała niebo i ziemię i ludzi, co wciągali jej balsamiczne wonie pełną piersią.

Na wiosnę każda okolica staje się piękną, najskromniejszą wioską przybiera

święteczne szaty i nęci, niby oaza zieleni i kwiecica.

Taką była na żyznych równinach lubelskich Jasionna. Wśród pól porośłych bujnie czarną zielenią ozimin i tłustych skib, gotowych przyjąć zasiew jary, ciągnęła się półkolem ponad stawami. strojna kwitnącymi drzewami sadów i lipowymi szpalerami, które otaczały dwór biały, o lustrzanych szybach, z werendą zwróconą ku stawom, a około niej zwieszały się cienkie prątki dzikiego wina, nagie jeszcze w tej porze, zaledwie gdzieniegdzie zdobne ząbkowanym listkiem.

Słońce chyliło się ku zachodowi, rozpościerało na pogodnem niebie purpurową łunę, złotem haftowało lekkie obłoki na skraju widnokregu i odbijało się słupem ognistym w zwierciadlanej powierzchni stawów.

Na werendzie znajdowały się dwie osoby: mężczyzna, u którego wiek mężki



schodził już ku starości, i młoda dziewczyna.

Mężczyzna musiał być niegdyś piękny, świadczyły o tem regularne rysy, postawa wysoka, wytworna, która zachowała coś z dawnego dźwięku, i uśmiech ust regularny, odsłaniający białe jeszcze zęby. Śnać życie obeszło się z nim łaskawie, albo też on nie pojął jego głębokiego znaczenia; śnać nie zaznał ani palących trosk, ani gorzkich zawodów, ani ostatecznych zniechęceń, które ryją się niestartem bruzdami na twarzy; bo twarz zachowała plastyczny wyraz, właściwy tym, których niosła spokojna fala losu, którzy nie potrzewali borykać się z jej prądami, ani walczyć ze zgubnym wirem.

To też oczy jego, jakkolwiek osmuczone wiekiem i może niejednym dniem żałoby, jakie życie koniecznie przynieść musi, miały spokój i pogodę cechujące tych głównie, którzy nie potrzebowali ba-

dać zbyt głęboko tajemnic bliźnich, ani ich istoty. Spojrzenie jego nienawykłe było przebijać powierzchni, lecz zatrzymywało się na niej. Widocznie należał do rodzaju ludzi, którzy świat sądzą wedle własnej normy, którzy, ponieważ nie kłamali nigdy, nie podejrzewają kłamstwa innych, ponieważ nie zdradzili nigdy, ufają także bez granic.

Czoło jego, nieco ściśnięte w skrońkach, jak zwykle u tych, co nie mają zbyt szerokich poglądów, miało szlachetne zarysy, a czaszka, opadła do połowy z włosów, powiększała jego powagę. Patrząc na tę piękną i pogodną głowę, można było przysiąc, że człowiek ten nie przeniewierzył się nigdy na jedną linię zasadom honoru i uczciwości, odziedziczonym po długim szeregu przodków, po których dostał także w spadku wytworność postawy i ruchów, że przeżył wiek swój wiernie i spokojnie schodził ku starości, chociaż miękkość

jego rysów świadczyła także, iż okoliczności były mu przyjazne i że nigdy nie narażyły go one na te walki i pokusy, które wypisują się niestartymi znakami na twarzy. Siedział przy stole, na którym stała filiżanka zimnej kawy, i paląc cygaro, trzymał w ręku gazetę.

Zdawał się zatopiony zupełnie w rozkoszach dalekich kombinacyj politycznych, którym wyborna kawa, wyborne cygaro, piękne otoczenie, a może i osobistość czytającego nadawały łagodny charakter.

Zapatrywanie się jego na sprawy powszechne lub indywidualne musiało być optymistyczne, przynajmniej świadczył o tem uśmiech zadowolenia, rozjaśniający jego spokojne oblicze. A uśmiech ten stawał się wyrazistszym jeszcze, gdy podnosząc oczy od gazety spoglądał na młodą dziewczynę, siedzącą naprzeciw niego.

Mogła ona mieć zaledwie lat osiemnaście i wiek ten opromieniał ją blaskami

wiosny. Zresztą rysy jej nie miały klasycznej regularności, były tylko wdzięczne w ten sposób, że wzrok zatrzymywał się na nich z przyjemnością. Życie nie wyszczerbiło ich jeszcze twardem dłutem, nie nadało im wyraźniejszej charakterystyki, nie starło okrągłości zarysów, a nadewszystko nie położyło na nich sygmatu cierpienia.

Widocznie tak jak ojciec, tylko żywej, swobodniej, namiętniej, uśmiechała się do świata, który odpowiadał jej uśmiechem wiosny, promieniami słońca, pogodą nieba, woinami kwiatów i całą harmonią natury. Widocznie młodość jej płynęła dotąd torem szczęścia, nie zaznała ani trudności, ani niepokojów, ani walk żadnych, a obowiązki jej i uczucia nie stanęły nigdy z sobą w sprzeczności.

To też wyraz jej czarnych oczu był niezmacony, świadczył o tej niczem niezachwianej wewnętrznej harmonii serca, które nie zaznało walki żadnej, które ko-



chało, ufało i niezrażone nigdy, nie było zmuszone zamknąć się w sobie.

W twarzy jej zresztą przebijała się pewna stanowczość i energia napół dziecinna, świadcząca o żywotnej sile. Purpurowe wargi rozchyłały się trochę dumnie, z wyzywającym wyrazem. Wprawdzie nigdy nie zmierzyła się z niebezpieczeństwem żadnem, chyba w krainie marzeń, ale z wyrazu tego można było sądzić, że nie cofnęłaby się i przed rzeczywistością.

Przez cerę bladawą przybijały zaledwie lekkie rumieńce, a matowy jej kolor dodawał delikatności rysom. Cera ta biała, z odbłyskami perłowej masy na skroniach, przy powiekach zabarwiała się brudnym cieniem, który powiększał rozmiar oka i wraz z długą, ciemną, jedwabistą rzęsą dodawał łagodności spojrzeniu, tak iż mogło ono zapalić się blaskiem, lub pociągać dziwną słodyczą.

Łuk brwi ciemnych zarysowany wyraźnie pod gładkiem, szerokim czołem, zdawał się świadczyć, że wola, uśpiona może jeszcze, istniała przecież w tej półdziecinnej istocie i w danym razie rozwinąć się mogła.

Wszystko to jednak były dopiero zarodki; przyszłość nie mogła ich nigdy powołać do życia, mogły one zamrzeć nieświadome siebie, nierozumiane nawet przez tę, która je nosiła w swojej moralnej istocie.

Na teraz była ona więcej jeszcze zatopiona w książce którą trzymała w ręku, niż ojciec jej w gazecie.

Książka dobiegała do końca i snać była niezmiernie zajmującą, bo młoda dziewczyna przewracała jej karty z gorączkowym niepokojem. W miarę czytania rumieńce wybiegały na jej policzki, a nawet łzy toczyły się po nich i padały na karty. Pływały one zapewne bezwiednie, wyci-

śnięte wzruszeniem, bo nie zatrzymywała się, żeby je ocierać, ale dalej pochłaniała książkę, obca wszystkiemu co się koło niej działo. Aż wreszcie doszła do ostatniej strony, powstała gwałtownie i odrzuciła ją precz od siebie, z wyrazem oburzenia i wstętu.

Ten ruch i szelest odsuniętego krzesła wyrwał jej ojca z politycznych kombinacyj. Odwrócił oczy od gazety i spojrział na wzburzoną postać córki, z wyrazem łagodnego pytania.

— Cóż się stało, Reginko?

— Nic, mój ojcze — zawołała zagadniona. — To bardzo źle, tak być nie powinno!

Głos jej drżał, gdy wymawiała te wyrazy, oczy błyszczały.

— Cóż to być nie powinno? — zapytał.

— Nic, mój ojcze, nic; ale takich książek być nie powinno.

Spojrzał na nią z lekkim niepokojem.

— Cóż to za książka? — zapytał, wyciągając po nią rękę.

Ale sam jej widok uspokoił go zupełnie: był to tomik angielskich wydawnictw Tauchnitza.

— Wszak to jedna z powieści angielskich, które pani Julska wybrała dla ciebie i przysłała z Warszawy?

— Tak, „Rośnie jak kwiat“. Ale to szkaradna książka!

— Pani Julska nie przysłała ci złej książki.

— Osądź sam, mój ojciec — mówiła dziewczyna z gwałtownem oburzeniem, które nie uspokoiło się wcale. — Ta szkaradna, fałszywa, niegodziwa Dolly udaje tylko od początku do końca, nie kocha ojca, nie kocha siostry, rozłącza się ohydny podstępem z Ryszardem, kocha tylko samą siebie i nigdy nikt jej przewrotności nie wykaże, przeciwnie, idzie za mąż szczę-



śliwie i zamiast ją nienawidzieć, wszyscy ją ubóstwiają. Tak przecież być nie może!

Trzymała teraz książkę w drobnych dłoniach, które drżały szlachetnym gniewem.

Ojciec spoglądał na nią z wyrazem nieokreślonym miłości i dumy.

— Reginko — wyrzekł wreszcie — niezawsze na świecie tak się dzieje, jakbyśmy chcieli.

— I cóż ztąd? przynajmniej w książkach tak być nie powinno, bo to źle, to niesprawiedliwie!

— Ależ, Reginko, na świecie także zdarzają się niesprawiedliwości...

— Przecież prawda zawsze powinna odnieść tryumf, niesprawiedliwość zawsze być zwyciężoną, bo inaczej... inaczej... byłoby bardzo źle, mój ojciec.

Ojciec nie odpowiedział; może zgadzał się z córką, pomimo to, iż wiedział, że złe istnieje rzeczywiście.

— A tymczasem — mówiła dalej Regina — biedny Ryszard, biedna Nelly, kochająca Nelly, ona umarła, umarła z żalu, a Dolly żyje i jest szczęśliwa...

Na myśl o tragicznej śmierci bohaterki nowe łzy puściły się z jej oczów.

— To okropność! — powtarzała. — Ja takich rzeczy czytać nie mogę!

— Nie możesz czytać o tem, by kochająca para rozłączoną została? — zapytał z żartobliwym przyciskiem ojciec.

— Nie mogę znieść tego, co niesprawiedliwe, a potem...

Śniada twarzyczka oblała się gorącym rumieńcem.

— Więc Ryszarda rozłączono z tą biedną Dolly? — mówił ciągle uśmiechając się ojciec.

— Nie, nie z Dolly, z Nelly — poprawiła go córka. — Dolly, to ta niegodziwa.

— Wszystko jedno... tu chodzi o niego i o nią, nieprawdaż? A moja Reginka

musi mieć współczucie dla podobnej niedoli.

— Mój ojciec, któżby go nie miał? — zawołała z silnem przekonaniem — wszak nie okropniejszego być nie może.

Uśmiechnął się znowu z tą odrobiną sceptycyzmu, którą najpogodniejszym naturom nadaje doświadczenie.

— Założyłbym się, iż wyobrażasz sobie zaraz, że ty jesteś Dolly...

— Nie Dolly, mój ojciec, tylko Nelly.

— A więc Nelly. A Ryszard?... No, poszukawszy, znaleźlibyśmy bez trudu i Ryszarda...

Spoglądała na ojca z błagalnym wyrazem, jakim bronią się czasem młode serca przed szorstkiem dotknięciem ich najdroższych tajemnic. Wstydliva i dumna, stała tak przez chwilę; potem zakryła oczy firankami jedwabnych rzes i tylko widać było pod tkaniną sukni serce bijące gwał-

townie, jakby wewnętrzna burza niem wstrząsała.

— Niema w tem przecież nie złego, Reginko — wtrącił ojciec łagodnie, nie rozumiejąc wyraźnie tego, co się w niej działo.

Skinęła ręką, jakby prosząc by nie mówił o tem, ale daremnie. Uczuciowa skłonność córki widocznie radowała jego serce.

— Niechnoby jaka Dolly czy Nelly spróbowała rozdzielić cię z twoim Ryszardem — ciągnął dalej niezręcznie, a wesoło...

Ale ona nie była usposobioną do żartów.

— Nie mów tego, ojczy — przerwała.

— Oh! oh! i cóżbyś wtedy zrobiła, Reginko?

Rzuciła mu z za długich rzęs spojrzenie podobne do błyskawicy.



— Umarłabym — szepnęła przez zacisnięte wargi.

W głosie jej dzwięczała namiętność nieświadoma może samej siebie, potężna i ponura jak zapowiedź burzy, namiętność, kipiąca w tej półdziecinnej istocie.

— Dziecko moje — zawołał ojciec, tknięty tem złowrogiem słowem, a może sposobem jakim je wyrzekła — śmierć w książkach tylko przychodzi na zawołanie, a ludzie... ludzie wszystko znieść mogą.

Patrzyła na niego, jak gdyby zasłuchana we własnych marzeniach.

— Ja nie zniosłabym tego, czuję żebym nie zniosła!

— Uspokój się, Reginko, wszakże mówimy o tem co nie będzie nigdy, co być nie może, bo przecież ani ja, ani pani Julska, ani nikt na świecie nie myśli cię rozdzielić z Wacławem.

Milczała zamysłona i trudno było odgadnąć, jakie wrażenie robiły na niej słowa ojcowskie. Widocznie istniały tam jakieś wewnętrzne czynniki, wprowadzone w ruch drobnymi okolicznościami potocznego życia, i te nie mogły tak łatwo powrócić do równowagi. Widocznie pod spokojnym pozorem młoda jej główka kryła rozmarzone myśli, a rozkołysane serce mierzyło wypadki i słowa nie miarą istotnych faktów; ale własnych namiętnych uderzeń.

— Doprawdy, Reginko — wyrzekł ojciec po chwili — nie powinabyś tak brać do serca rzeczy, które na to nie zasługują. Książka czyni na tobie wrażenie podobne do prawdziwego nieszczęścia, płaczesz nad urojonymi wypadkami.

— Kiedy ja czuję, że one stać się mogły; wszakże to właśnie stanowi wartość książki.

— Ale pocóż płakać i martwić się?

Patrzyła znowu na ojca wielkimi, zadumanemi oczyma.

— Mnie z tem dobrze, ja to lubię!

— Lubisz płakać? Co też ty mówisz, Reginko?

— Ja lubię czytać to, co mi się zdaje prawdą, choćby ta prawda była najsmutniejszą. Zdaje mi się — nie śmieję się ze mnie ojciec, zdaje mi się wtedy, że nie jestem sobą, że to ja cierpię, walczę lub raduję się, i jest mi jakoś tak dziwnie, jak kiedy śni mi się że latam po powietrzu, lub wstępuję na cudowną górę...

Mówiła to rozmarzonym wyrazem i rozognioną twarzą, jak gdyby słowa nabierały w jej myśli głębszego znaczenia, odpowiadały jakimś wewnętrznym potrzebom. płynęły ze skrytego źródła, które nurtowało jej wyobraźnię, a zdradzało się tylko drobnemi wskazówkami na zewnątrz.

Ojciec, słuchając jej, uśmiechał się rzeczywiście; słowa córki były dla niego



dziecinnym szczebiotem, niczem więcej; nie zastanawiał się nad tem, że były one symptomatem pewnego stanu umysłu. I tutaj także wzrtek jego sięgał tylko powierzchni.

— Waclaw powinienby już przyjechać — wyrzekł, spoglądając na drogę, która biegła poza stawami i pomiędzy nimi skręcała do dworu.

Nie odpowiedziała nic, tylko fala krwi oblała jej twarz różowym obłokiem. Powróciła zwolna na swoje miejsce i wsparła głowę na rękach, tak jednak, iż mogła widzieć drogę.

Ojciec znowu czytał gazetę. I była pomiędzy nimi długa cisza, przerywana tylko głosami, którymi wieś ożywia się zwykle w wieczornych godzinach.

Kilka razy Regina dawała widoczne oznaki niecierpliwości. Gdy tuman kurzu powstał na drodze, lub doleciał turkot daleki, główka jej pochylała się w tę stro-



nę, jakby pociągnięta magnetyczną siłą; i znów gdy ujrzała wóz chłopski, albo pędzoną trzodę, opadały jej ręce. Powoli postawa jej przybrała wyraz zniechęcenia, a ruchliwe rysy stały się posępne. Chwilami także i ojciec odwracał głowę od swego czytania i spoglądał na drogę, jakby chciał mówić:

— Wacław się spóźnia.

Córka parę razy zainterpelować go chciała, usta jej składały się do zapytania, ale zawsze to pytanie zostało niewymieinionem. Aż odezwała się wreszcie.

— Czy ojciec jest pewny, że dziś przyjedzie?

— Tak napisał.

— Czy tylko pewno napisał że dzisiaj?

Patrzyła na ojca z rodzajem gorączkowego niepokoju i tak uparcie, iż ten zachwiały się w swoim przekonaniu.

— No, tak mi się zdawało — wyrzekł po chwili; — ale zobaczę, list mam przy sobie.

I zaczął szukać po kieszeniach, aż znalazł list z warszawską pieczętką, wyjął z koperty i rozłożył na stole.

Dziewczyna widać tego tylko pragnęła; pochyliła się cała rumiana i drżąca nad listem i pożerała oczyma litery, składające się na pismo równe, czytelne, pełne swobody. List był krótki i donosił o przyjeździe na dzień dzisiejszy.

— Widzisz że się nie omylił — wyrzekł ojciec Reginy.

Ale ona zapewne nie wątpiła o tem. Chodziło jej może raczej o ukojenie tęsknoty widokiem drogiego pisma, o odczytanie słów skreślonych ukochaną ręką i tego imienia: Wacław Julski, które powtarzało każde uderzenie jej serca.

— On powinien już tu być, mój ojcze — wybuchnęła wreszcie.

Zaczęto rachować godziny nadejścia pociągów kilkumilową odległość od kolei, a wreszcie nawyknięcia nieobecnego,

które znali dobrze, gdyż bywał częstym gościem w Jasionnej.

— Może go co zatrzymało — wyrzekł ojciec, który równie optymistycznie zapatrywał się na domowe, jak na ogólne sprawy.

— Cóżby zatrzymać go mogło? — zawołała gwałtownie z odcieniem namiętnego niepokoju.

— Och! przeszkody bywają czasem rozmaite. Nie powinnaś przestraszać się zaraz — dodał, spostrzegając wyraz jej oczu.

Wstrząsnęła głową, niezdolna nie odpowiedzieć, Przeszkoda która mogła zatrzymać go zdala od niej, musiała być ważną, więc lekceważyć jej nie mogła.

— Może się spóźnił na kolej — przedstawiał ojciec

Ale temu także wierzyć było jej niepodobna; alboż kto spóźnia się, kiedy dąży do ukochanej, alboż minuty nie są godzinami, alboż ona spóźniłaby się w ta-

kim wypadku? Nie, prędzej mogła przypuścić wszystko inne, a może nawet wolała wszystko inne przypuścić, niż opieśzałość, która graniczy zawsze z obojętnością i byłaby w jej oczach zbrodnią nie do darowania.

— Może spóźnił się pociąg — ciągnął dalej swoje domysły ojciec.

Tu już wchodziła w grę siła wyższa i dlatego przypuszczenie to trafiło więcej do przekonania Reginy, ale razem nasunęło jej nową trwogę, która wywołała śmiertelną bladość na lica. A gdyby jaki wypadek?... Nie mogła znieść tej myśli, bujna wyobraźnia przedstawiała jej pogru-chotane wagony, a wśród nich skrwawio-ne ciało ukochanego.

— Mój ojciec — zawołała, topiąc w niego wzrok pełen przerażenia. — Ty przecież nie przypuszczasz ..

— Ależ Reginko, cóż ci znowu do głowy przychodzi? — przerwał jej niemal



gniewnie. — Niema tu żadnego powodu do niepokoju...

Ona jednak nie słuchała go i nowe już łzy cisnęły się do jej oczu, gdy wśród ryku trzód zganianych do obór, wśród odgłosów wierzbowych ligawek, doleciały zdaleka dźwięki trąbki pocztowej. Dłoń dziewczyny opadła na ramię ojca, którego prosiła tym ruchem i spojrzeniem o ciszę, a sama z główką pochyloną nadśluchiwała tych dźwięków, które wiatr wieczorny niósł z przestrzeni.

— Widzisz, Wacław jedzie — wyrzekł uradowany pan domu.

Nie odpowiedziała nic, tylko w miarę jak przybliżał się głos trąbki i brzmiał coraz wyraźniej, wypogodzały się jej rysy boleśnie nateżone i zdawało się, że można było widzieć fale krwi, uderzające naprzemian i schodzące z jej twarzy, w miarę jak wzmagała się lub słabła nadzieja. Trwało to zaledwie minutę, ale któż nie wie ile

minuta może mieć wzruszeń sprzecznych w młodem, zakochanem sercu? Dopiero gdy na drodze, wśród tumanu kurzawy, ukazała się szybko jadąca bryczka, a w niej młody podróżny, zwrócony ku dworowi, wyraz niewypowiedzianego szczęścia wybił jej na twarz. Szalonym ruchem rzuciła się ojcu na piersi, ściskając go i powtarzając bezwiednie zaledwie słyszalnym głosem:

— Waclaw! Waclaw! Waclaw!

I wybuchnęła długo tłumionemi łzami, w których zmieszały się wszystkie męczarnie oczekiwania, ze szczęściem którym teraz promieniała.

— Mój ojczy! — szepnęła jeszcze — ja myślałam, że już nie zobaczę go nigdy!

On spojrzał na nią zdumiony. Gwałtowne uczucia tej pięknej, samowolnej, rozpieszczonej istoty były dla niego zupełnie niezrozumiałe. Nie zdawał sobie sprawy z tej niesłychanej drażliwości uczuć i

wyobraźni, która chociażby najprzelotniejsze wrażenie podnosiła do potęgi, wytwarzała męczarnie z chwilowej zwłoki i przedstawiała myśli najstraszliwsze obrazy.

— Ale dlaczegoż, dlaczegoż? — pytał.

Miała już czas uspokoić się trochę, śpiesznie otarła błyszczące oczy, z których łzy zniknęły bez śladu, jak krople wiosennego deszczu pod ożywczym promieniem słońca, i uśmiechnęła się cała zarumieniona.

— Dlaczegoż? — powtarzał ojciec, dla którego spokojnej natury córka stanowiła nieustanną zagadkę.

— Alboż ja wiem? — odparła z odcieniem niecierpliwości, bo teraz była już zupełnie ogarniona uczuciem szczęścia.

Zwracała się ku drzwiom prowadzącym wewnątrz domu, nasłuchując turkotu i kroków szybkich. Minuty, konieczne ażeby podróżny zajechał przed dom, wyskoczył

z bryczki, zrzucił zakurzoną wierzchnią szatę i przyszedł ją powitać, zdawały jej się wiekami, a jednak za nic w świecie nie byłaby uczyniła w tej chwili kroku na jego spotkanie. Przeciwnie, im gwałtowniej-sze były jej uczucia, tem więcej, z rodzajem nieokreślonego i niewyrozumowanego wstydu, starała się je ukrywać, chociażby przed tym tylko, który je wywołał.

Jemu jednak z pewnością było równie pilno ją zobaczyć, bo zaledwie zdołała uspokoić się trochę, już szybkie kroki odezwały się wewnątrz domu i na werendzie ukazał się młody mężczyzna.

I dla niego także chwila ta pełną była wzruszeń; mówiły to jego oczy, rozpromienione wilgotnymi blaskami, usta drżące od słów niewymówionych i cała postać pełna tej bujnej, młodej szczęśliwości, jaką daje miłość wzajemna w latach pierwszego o rozkwitu uczuć.



— Regino! — wołał, wyciągając ku niej ręce, jak gdyby na całym świecie widział tylko ją jedną.

Ale w tej chwili wzrok jego padł na jej ojca.

— Panno Regino! — poprawił się zmieszany.

Ona nie odpowiedziała, tylko zwróciła się ku niemu jak kwiat do słońca i jak kwiat nabierała od niego barw i blasków. Błada dziewczyna była przetworzoną, promieniała szczęściem, a nieregularna twarz jej mogła w tej chwili mierzyć się z najpiękniejszymi i otrzymać palmę pierwszeństwa: wyrzeźbiło ją szczęście, spotęgowało jej dodatnie szczegóły. Oczy zamglone a płonące zdawały się zwiększone, przyciągały magnetycznie i przykuwały wzrok promiennym blaskiem, rozchylone wargi miały barwę żywego koloru, lica zabarwione lekko czyniły bielszem czoło i skronie, na których rysowały się wyraźnie

niebieskawe żyłki, tętniące krwi napływem. Każdy najdrobniejszy rys, każdy mięsień stawał się odbiciem uczuć i czynił ją piękną tem uwydatnieniem wewnętrznego życia, której każdej twarzy może nadać wdzięk nadzwyczajny.

Wyciągnęła do niego obie ręce, które on pochwycił i przyciskał do ust, znowu zapominając o całym świecie. Zapomnieli o nim oboje, tonąc oczami w oczach i wypowiadając sobie tym sposobem stokroć więcej, niżby słowa uczynić mogły.

— Ślicznie! A zemną to się już wcale nie przywitasz, Wacławie? — odezwał się żartobliwie pan domu.

Młody człowiek odwrócił się zmieszany, puścił ręce narzeczonej i zaczął witać jej ojca, który spoglądał na niego jak na syna.

Rzeczywiście miał on jedną z tych szczęśliwych twarzy, które budzą ufność i sympatyę. Malowało się na niej zdrowie

duszy i zdrowie ciała, przy pewnej miękości, cechującej zwykle pieszczone dzieci losu.

Pod tym względem Regina i Wacław nie mieli sobie nic do wyrzucenia: oboje należeli do pokolenia szczęśliwych, sytych, spokojnych, którzy jeżeli walczą, to jedynie dla przyjemności i zabawki. Życie uśmiechało im się wszystkimi powabami, otwierało się przed nimi jak szeroka jasna i barwista wstęga.

Rozmowa zaczęła się, jak zwykle po dłuższem niewidzeniu, urywana, pełna zapytań, odpowiedzi, opowiadań. Głównie toczyła się ona pomiędzy teściem a przyszłym zięciem; Regina mieszała się do niej jedynie monosylabami. Jakby zmęczona nadmiarem uczuć i tą burzą, która rozegrała się w głębi jej serca, spoczywała teraz na krześle, z głową wspartą o poręcz, z rękami założonemi na kolanach, ze wzrokiem utkwionym w ukochanego,

rozkoszując się cichem, skupionem szczęściem, które budziło w niej każde słowo jego, a nawet sam dźwięk głosu.

W tej chwili miała ona jakąś miękkość dziecienną. Żywość jej była uspioną pozornie i tylko silne uderzenia serca zdradzały potęgę uczuć.

— A mama! — wtrąciła wreszcie, korzystając z chwilowej przerwy w rozmowie.

— Mama! — powtórzył Wacław — ach! kazała mi pannie Reginie, ukochanej pannie Reginie, bo ona tak zawsze panią nazywa, tysiące pięknych serdecznych słów powiedzieć. Ale... jest też i paczka tajemnicza. Jakiż ja roztargniony! zapomniałem ją wręczyć.

Zerwał się z żywością, wybiegł z wendy i wkrótce powrócił równie pośpiesznie, niosąc duże pudełko, na którem był adres napisany kobiecą ręką: *Dla mojej drogiej Reginy od matki.*



Młoda dziewczyna pochwyciła je ciekawie; ale gdy odczytała napis, zatrzymała na nim wzrok z widocznem wzruszeniem.

— Jaka mama dobra! — Szepnęła. — Jak ja ją kocham!

Nie chodziło jej wcale o zawartość pudełka; daleko miłszymi od darów były dla niej serdeczne wyrazy. Spoglądając na nie, leniwo rozplątywała niebieską opasującą je wstążeczkę. Na wierzchu była blado-niebieska chusteczka, staranną wykonaną ręką, jedno z tych arcydzieł kobiecej cierpliwości, którym czasem panie w późniejszym wieku poświęcają czas swój cały.

Pani Julska była mistrzynią w tego rodzaju robotach, a miękka ciepła, lekka chusteczka zdawała się świadczyć, iż robiąc ją, każdej chwili miała na myśli zdrowie i wygodę przyszłej synowej.

— Ach jaka śliczna! — wołała rozrzuwniona Regina — jaka mama dobra!

— Mama śpieszyła się bardzo, żeby ją wykończyć — pochwycił Wacław. — Znając panią, wiedząc jak mało uważasz na siebie, lękała się chłodnych majowych wieczorów.

I łącząc uczynek do słów, zarzucał na jej ramiona miękką wełnę i otulał ją przed wymarzonym chłodem, istniejącym na teraz jedynie w tkliwej jego wyobraźni.

— Mama — mówił ciszej Wacław, pochylając się nad nią tak, by słowa te ona jedna usłyszała — wiedziała dobrze, iż będzie ci ślicznie w jej ulubionym kolorze.

Podziękowała mu uśmiechem. Czowała się szczęśliwą, iż wydawała się piękną jego oczom, oczom jego matki; pragnęła być piękną dla wszystkich, ale dlatego tylko, by wszyscy mówili to jemu. On stanowił dla niej świat cały.

Chustka jednak nie była całą zawartością pudełka; pod nią leżało safianowe

jubilerskie puzderko, które Regina otworzyła z dziecięcą skwapliwością, a w niem na grubym złotym łańcuchu medalion, w kształcie wielkiego emaliowanego bratka.

— To dla mnie? — zawołała Regina. — Ja nigdy nie równie pięknego nie miałam. Patrz, ojcze!

Pan Jasiennicki zbliżył się i także oglądał kosztowny podarunek. Nie był jednak wcale zdziwiony, iż matka przyszłego męża Reginy kochała ją jak własną córkę, obsypywała pieścizotami i darami. Bo czyż córka jego nie stanowiła najkosztowniejszego klejnotu?

Młody człowiek otworzył medalion. Umieszczona w nim była miniatura niemłodej kobiety, o delikatnych, arystokratycznych rysach i niebieskich oczach, w których nieco sentymentalny wyraz nie wykluczał pewnej dumy. Wyraz tej twarzy był skomplikowany, tak iż z trudnością przychodziło odczytać go wyraźnie

z drobnej i może niezbyt wiernej miniatury. W każdym razie kobieta ta musiała być niegdyś piękną była nią może nawet jeszcze w pewnych chwilach. Regina wpatrywała się czas jakiś w blade rysy, zamknięte w medalionie, z którymi Waław przedstawiał nieokreślone podobieństwo rodzinne, aż wreszcie, wiedzioną niepowściągnionem uczuciem, podniosła je do ust.

Ruch ten stanowił tak wymowne podziękowanie, że Waław pochwycił jej rękę i oddał pocałunek, zwrócony może do nieobecnej, a może i do tego, który był do niej podobnym. Oboje zatopili znowu w serdecznej zadumie, z ręką w rękę, z oczyma złączonemi promieniami wzroku.

— Ale to nie wszystko jeszcze — zawołał ojciec, zaglądając do pudełka.

Na dnie jego były książki, a wybór ich świadczył zarówno o upodobaniach tej co je wybierała, jak i tej, dla której je przeznaczono. Były tam poezye Ellego



w kosztownej oprawie, Marya z rysunkami Andriollego, a wreszcie bajki czarodziej-skie Perraulta, ilustrowane przez Dore'go.

— Ach! jakież to piękne — wołała Regina. — Mama pomyślała o wszystkim.

— A kiedyż mama przyjedzie? — za-pytał pan domu.

— Mama! — zawołał Wacław — Mama nie ma teraz godziny wolnego czasu; urzą-dza przecież nasze mieszkanie, a zajmuje się niem tak drobiazgowo, tak jest we wszy-stkiem wybredna, iż zaledwie na piętnastego tutaj przyjedzie i zaraz po ślubie do War-szawy powróci, tak byśmy za powrotem z zagranicy około września zastali wszy-stko gotowe na nasze przyjęcie.

I zaczął opowiadać najdrobniejsze szczegóły urządzającego się mieszkania, w którym wygoda, dobry smak i elegan-cya składały się na to, by przyszłe gnia-zdko młodej pary godne było Reginy.

Nie stawały temu na przeszkodzie materialne środki, które widać były znaczne, jak świadczyły o tem kosztowne podarunki, kosztowne zamiary, a przede wszystkim zupełna swoboda co do tej ważnej strony życia, widoczna w nawyknieniach zarówno młodych narzeczonych, jak ich rodziców,

Mówiąc o urządzeniu mieszkania, Wacław nigdy nie wspomniał o kosztowności jakiego materiału lub sprzętu, zapytywał tylko o gust Reginy; wahał się czasem w wyborze, ale nigdy nie wahał się z powodu ceny.

Pan Jasiennicki także nieraz wzywany był na naradę i zastanawiał się nad ważnymi kwestyami obić lub kształtu mebli.

Regina mniej nierównie tem się zajmowała, może dlatego, że tu właśnie głównie chodziło o nią. Ona spoglądała tylko na Wacława i była zawsze jednego z nim zdania. Wszakże tam wszędzie gdzie

był on, było szczęście, a jego obecność sama rzucała promienne blaski na wszystko i wszystko pięknem czyniła. Słowem można było powiedzieć, że nad tym wiejskim dworem unosił się najrzadszy gość w dzisiejszym czasie... szczęście.

Szczęście to było zupełne, niezmaćcone żadnym obcym pierwiastkiem, żadną troską, żadnem smutnem przewidywaniem.

Wszystko składało się na nie; miłość dwojga młodych, której przyklasneli rodzice, jednakie położenie społeczne, a wreszcie przyjaźń powszechna, otaczająca zarówno dwie rodziny.

Pan Jasiennicki należał do rodzaju ludzi, którzy nie mają nieprzyjaciół, którym uprzejmość, dobroduszość, umysłowy zresztą poziom, nieprzechodzący ogólnej normy, jednaję powszechny szacunek i sympatya.

Nie zgrzeszył on nigdy orlim polotem rzutem wzroku odkrywającym szersze ho-

ryzonty, niż te które dostępne były wszystkim oczom; nie badał ludzi, nie dochodził nigdy tego, co się kryć mogło pod pozorem ich uczuć; przyjmował z dobrą wiarą liczmany za prawdziwą monetę i płacił je czystem złotem przyjaźni lub przysługi. Nie podejrzewał, nie wątpił, nie dobadywał się niczego nad to, co odrazu uderzało na pierwsze spojrzenie.

Przebaczano mu też położenie jego społeczne, bo używał go na korzyść każdego, który tego potrzebował; przebaczano majątek, bo dom jego i kieszeń stały otworem; przebaczano pomyślność jaką go los obdarzył, bo okupywał ją swoim postępowaniem. Miękki charakter, pozbawiony wyraźnych konturów, chronił go od staré wszelkich i zapewniał mu niezmiennie zadowolenie, tem szacowniejsze, iż posiadał wykształcenie, dowcip, smak nawet, ale w takich dozach, które nikogo



nie rażą, a czynią wszystkim miłe złudzenia istotnej wartości.

Pan Dyonizy Jasiennicki był zawsze w zgodzie z ogółem, podzielał jego zdania, pojęcia i zapatrywania i naturalnie nosił miano świecznika obywatelstwa. Ilekroć była mowa o jakich ulepszeniach rolniczych czy przemysłowych, on pierwszy zaprowadził je u siebie; gdy wynaleziono nowe narzędzie lub maszynę, z pewnością można je było spotkać w Jasionnej, a gdy wszczął się ruch przemysłowy, on jeden z pierwszych rzucił swoje kapitały w różne akcyjne przedsiębiorstwa, dowodząc głośno, iż rolnictwo i przemysł wspierać się winno i że tym sposobem jedynie stanąć może na stanowisku właściwym dzisiejszym potrzebom.

Wdowiec od lat kilku, kochał jedy-naczkę swoją Reginę całą siłą uczuć do jakich był zdolny i wydawał ją za męża może więcej wedle jej własnej, niż swojej

woli. Ale wola jego tak przywykłą była podlegać rozmaitym wolom ludzkim, a zwłaszcza też woli pieszczonej córki, iż stracił zupełnie subtelne rozróżnienie tego, co pochodziło od niego samego lub od drugich; cieszył się więc małżeństwem córki, gdyż cieszyła się niem ona, i kochał Wacława jak syna tylko dlatego, że go kochała Regina.

Radość jego i uczucie były rzeczami odbitemi; ale ponieważ takimi były niemal wszystkie jego tak umysłowe, jak sercowe objawy, trudno było żądać, by w tym względzie istniały wyjątki.

Niektórzy wprawdzie utrzymywali, że dotąd jedyną specjalnością Wacława Julskiego było bawić się, podróżować i używać nie majątku, gdyż tego właściwie nie posiadał, ale bardzo wysokiej emerytury, którą pobierała matka jego jako wdowa po znakomitym urzędniku.

Ale Wacław miał zaledwie lat dwadzieścia pięć, czas mu więc było wyrobić sobie karierę i utorować drogę życia wedle zdolności, a tych przecie zabraknąć mu nie mogło. Wszyscy co go znali podziwiali jego dowcip, żywość, wykształcenie. Wykształcenie to wprawdzie miało głównie dyletancką cechę. Ojciec odumał go wczesnie, a matka daleko większy kładła nacisk w wychowaniu na powierzchowne strony, niż na gruntowną wiedzę. Wacław, podróżując po świecie, zatrzymywał się w wielkich miastach, słuchał kursów w uniwersytecie, ale czynił to kapryśnie, wedle fantazyi, nigdy nie troszcząc się o korzyści praktyczne, jakieby nauka przynieść mu mogła.

Pod tym względem czyniono niejednokrotnie przedstawienia pani Julskiej co do przyszłości syna; ale ona patrzyła na piękną, inteligentną głowę jedynaka i uśmiechała się tylko. Trzeba przyznać, iż

sama pochodząc z arystokratycznej rodziny miała niczem nieprzewyciężony wstręt do każdego jarzma przymusowej pracy, choćby nią była nawet praca umysłowa. Syn jej przecież był pięknym, wychowanym starannie, zacnym i szlachetnym; czyż to wszystko nie stanowiło także rodzaju kapitału? Czyż przez małżeństwo syna z bogatą dziedziczką, jaką była Regina, kapitał ten nie miał zostać spożytkowanym właściwie? Nie było to przecież wcale brudnym wyrachowaniem, frymarką serca i uczuć. Regina i bez majątku była godną kochania, a miłość wzajemna dwojga młodych stanowiła rodzaj sielanki, rzadkiej, według zapewnienia poetów, w dziewiętnastym stuleciu. Czyż sielanka ta była mniej tkliwą dlatego, że ją otaczały ściany zamożnego domu, lub kwietne kobierce starannie utrzymywanego ogrodu?

\*

\*

\*



Pani Julska była bardzo zajęta.

Dotąd zajmowała ona mieszkanie skromne, na drugim piętrze przy Wareckiej ulicy. W mieszkaniu tem, urządzone starannie, dobry smak zastępował bogactwo, dobór i harmonia barw kosztowność użytych materyałów. Przestrzeni nie było zbyt wiele, bo pani Julska nie dawała wieczorów, nie należała do tak zwanego światowego ruchu; na teatrze na koncertach, widowiskach nie bywała, wymawiając się zawsze słabem zdrowiem, jakkolwiek nie pamiętano, by kiedykolwiek chorowała, lub zmieniała codzienne nawyknięcia.

Dzięki też temu słabemu zdrowiu wychodziła z domu w dzień jedynie. Mało oddawała odwiedzin, wybierając zawsze takie dni i godziny, w których nie potrzebowała spotykać się ze światem, chociaż na świat bynajmniej uskarżać się nie potrzebowała, gdyż świat ten uwielbiał ją poprostu uwielbiał, może na wiarę, lub

może z powodu wrodzonej ludzkiej przekory, i szukał jej tem gorliwiej, im więcej ona odsuwała się od niego. Świat zresztą miał słuszne powody do takiego uwielbienia. Pani Julska owdowiała młodo poświęciła się zupełnie wychowaniu jedynego syna i nie tylko postanowiła nigdy więcej nie iść za mąż, ale nawet zaraz po śmierci męża odsunęła się od świata i zajęła poważne stanowisko, jakie do dzisiaj zachowała, nie zbaczając ani na jedną linię od wytkniętego sposobu postępowania. Dzielila czas swój pomiędzy obowiązki matki i obowiązki miłosierdzia, gdyż stała się uczestniczką wszystkich dobroczynnych stowarzyszeń, a nawet wkrótce ich duszą. Datki jej atoli nie należały do zbyt hojnych, gdyż nie miała żadnego osobistego majątku, a przyszłość syna zmuszała ją do czynienia oszczędności na czas, gdy wychowanie i postanowienie wymagać będą wielkich materyalnych środków.

ków. Słabe zdrowie znowu i zupełne zaparcie się światowych rozrywek przeszkadzało jej wedle chęci zajmować się kwestami, urządzaniem loteryj, koncertów dobroczynnych i t. p. Ale zato była niewyczerpana w pomysłach, umiała zachęcać i poruszać innych w sposób zadziwiająco skuteczny.

Trzeba też przyznać, że korzystając z licznych stosunków swoich, miała sposobność oddawać wiele przysług i tym sposobem zjednywała sobie wdzięczność i przyjaźń powszechną, bo nawet w razie gdy żądanej przysługi wyświadczyć nie mogła, ubolewała nad tem tak szczerze, sprawiało jej to tak wielką przykrość, iż musiała zyskiwać sobie wszystkie serca, jeśli nie przez to co uczyniła, to przez to co uczynić pragnęła.

Właściwie nawet mówiąc, przysługi przez nią oddawane ograniczały się głównie na dobrych chęciach. W każdym

kłopotcie, gdy kto udał się do niej, miała gotową radę i znajomych, którzy skutecznie ją mogli. Zajmowała się tem nawet bardzo gorliwie, ale, niestety, usiłowania jej najczęściej były daremne.

Czyż można przecież było winić ją o to, kiedy ze łzami w oczach opowiadała o swoich niepowodzeniach? Jakikolwiek nastąpił skutek, wdzięczność dla niej musiała być jednaką i ludzie nie byli tak niesprawiedliwi, ażeby jej tej wdzięczności odmawiać. Pomimo słabego zdrowia i lat swoich, pani Julska mogła do dziś dnia nazywać się piękną, a poważny strój i czarne barwy, jakie nosiła wyłącznie, można było uważać za rodzaj wyrafinowanej kokieteryi, bo one uwydatniały matową białosć cery i tem potężniejszemi czyniły kobietę, która, pomimo zupełnego zapomnienia o sobie, piękną przecież być nie przestała.



Szczupła, wysoka, zachowała powiewny wdzięk kibici, a ruchy nieco powolne może, nawet z pozoru wyszukane, miały jakąś falistą rytmiczność i pieszczony, sobie właściwy urok, który przykuwał wzrok i pieścił go w podobny sposób, jak muzyka pieści ucho.

Rysy jej regularne mogły uderzać chłodem, gdyby nie delikatne wyrzeźbienie szczegółów i uśmiech pełen uprzejmości, który gościł zwykle na jej ustach i był w harmonii z wdziękiem ruchów — uśmiech może także nieco wystudyowany jak one, a jednak uroczy i pociągający subtelnym wyrazem. Bogate płowo-blond włosy może tylko z wiekiem stały się bardziej jasne i płowe przymieszką srebrnych nici, a pani Julska nosiła je zwykle gładko zaczesane nad czołem i zaplecione w gruby węzeł nad karkiem. Najczęściej narzucała na nie czarną koronkę, przez której delikatną tkanekę widać było ich jasny kolor i całe

bogactwo tem wydatniejsze, iż włosy te łącały się w naturalnych karbach, a mnóstwo krótkich niesfornych kosmyczków zwijało się koło skroni, ożywiając chłodne rysy jakimś dziwnym niemal zalotnym wdziękiem.

Owe niesfornne włosy, które długo przyprowadzały do rozpaczyc panią Julską, nie licowały bowiem z jej usposobieniem, powagą, wdowieństwem i stanowiskiem, a nawet rodzajem twarzy, miały coś fluter nego niemal zalotnego. To też przysrzy gała je, pomadowała, zwilżała, podczesy wała... nadaremnie, aż wreszcie znudzona zostawiła im swobodę, tak iż okrażały jak im się podobało jej czoło i skronie.

Ci co znali panią Julską za młodu, nie znajdowali jej wówczas piękną; z wiekiem jednak nabierała ona pozorów mi nionej piękności w ten sposób, iż widząc ją dzisiaj, każdy przypisywał jej w prze szłości wdzięki, jakich nigdy nie posia-

dała. Szczególnej tej przemianie uległy w dziwny sposób nawet oczy wdowy. Oczy to były niewielkie, nieco zbyt jasnej barwy, nieokreślonego wyrazu, więcej widzące, niż pozwalające dopatrzeć. Wiek złagodził je nieco, zatarł zbyt wyraźny kolor, pogłębił oczodoły, a nadewszystko podkrawał je sinawą obwódką, która czyniła je wyraźniejszymi i całej twarzy nadawała jakiś wyraz zmęczenia.

Obecnie, jak wiemy, pani Julska była bardzo zajęta. Urządzała apartament dla syna i przyszłej synowej, a zadanie to było niełatwe. Trzeba było młodym gustom i potrzebom dogodzić, nie abdykując ze swoich w zupełności, i stworzyć coś uderzająco wdzięcznego dla tych nawet, którzy się na to sadzą, a rozporządzają stokroć większymi środkami.

Znała przytem wybornie wpływ jaki wywiera otoczenie, jaki tło podkłada pod osobistości i jak dalece zdolne jest pod-

wyższyć lub zniżyć ich znaczenie; postępowwała więc stosownie i nie szczędziła trudu, by stworzyć jedno z tych wdzięcznych schronień ludzkich, które z góry uprzedzają na korzyść mieszkańców i zjednywają im sympatye.

Czyniąc to wszystko, pani Julska nie mogła jednak zaniedbywać zwykłych swoich zatrudnień. ani też nadużywać słabego zdrowia. To też, jak mówi przysłowie, śpieszyła się powoli i nie miała chwili wytchnienia.

I teraz właśnie w kapeluszu i okrywce zabierała się do wyjścia, notując w myśli co i jakim porządkiem skutecznie miała, kiedy spotkała się oko w oko z idącą do niej siostrzenicą mężowską, panną Teodozyą.

Panna Teodozya stanowiła żywy kontrast z piękną jeszcze i wykwinną kobietą, której każdy drobny nawet szczegół surowego z pozoru stroju odznaczał się



wybornym smakiem. Była to osoba nie-  
 pierwszej młodości, o przewiedłej twarzy  
 i zaostrzonych rysach, z oczyma, w któ-  
 rych błyszczał spryt, zmieszany ze złośli-  
 wością.

Niewiadomo jakie właściwie wrażenie  
 sprawiło to spotkanie na pani Julskiej;  
 na widok jej jednak ubrała usta najpię-  
 kniejszym uśmiechem.

— Kochana Dosiu — zawołała — cóż  
 to za niespodzianka! Dawno jesteś w War-  
 szawie?

Głos jej miał matowe, przysłonione  
 brzmienie, wymowa była lekko przymu-  
 szona, w ten sposób, że harmonizowała  
 ze spojrzeniem i ruchami, pełnymi mie-  
 rzonego wdzięku.

— Wczoraj przyjechałam — odparła  
 siostrzenica — i zaraz przybiegłam do-  
 wiedzieć się o Waława. Żeni się podobno?

Pytanie to świadczyło, iż panna Teo-  
 dyza nie została uwiadomioną urzędo-

wnie o tym ważnym familijnym fakecie, a zatem iż ciotka, pomimo bliskiego pokrewieństwa, miała jakieś powody zostawiania jej na uboczu.

Ale pani Julska ubrała usta w najpiękniejszy, najśłodszy, niemal serafinowy uśmiech i nie kładąc nacisku na tę drobną okoliczność, wyrzekła:

— Tak jest, Dosiu, żeni się. Znasz przysłówie, że wczesnego ożenku nikt jeszcze nie żałował.

Panna Teodozja spoglądała na ciotkę w sposób dość dwuznaczny, a co najmniej nie podzielała pod tym względem jej bezwzględnego zachwyty, do którego zresztą nie nadawały się wcale jej krogulcze rysy i suche wargi, ocienione ciemnym męszkiem.

— Podobno żeni się bardzo bogato — zagadnęła krótko.

— Bardzo bogato nie; tego powiedzieć nie mogę. Regina jest jedynaczką, ojciec

jej ma piękny majątek, ale daleko mu do wielkiego bogactwa. Może mieć milion, conajwięcej półtora miliona złotych.

— Zawsze to nieźle dla Wacława, który nie ma nic.

Twarz pani Julskiej zabarwiła się lekko.

— Zapominasz — odparła głosem nieco przyciszonym — że w dzisiejszych czasach wykształcenie, stosunki, dobre imię, zdolności stanowią znakomity kapitał i że mój syn wnosi go do małżeńskiej spółki.

— Ha! ha! — zaśmiała się ostro Teodozya, pokazując wielkie, białe zęby. — Z takimi kapitałami nie zajechałoby się daleko. No, ale Wacław poszukał sobie innego. Niema co mówić, zrobił praktycznie. Winszuję, winszuję!

Niewiadomo czy w tym tonie prowadzona rozmowa mogła być bardzo przyjemną dla Pani Julskiej; nie dała przecież poznać po sobie żadnej przykrości, zdjęła kapelusz i usiadła napowrót na swoim

zwykłym miejscu w przyciemnionym saloniku, wskazując gościowi krzesło obok siebie.

— Ciocia się śpieszy, ciocia gdzieś wychodziła — wyrzekła Teodozja, opierając się jej życzeniu.

Ale ciocia, biorąc jej ręce i sadzając ją obok siebie, odparła z ujmującą słodyczą:

— Zajęcia moje przed tak rzadkim gościem ustąpić muszą. Siadaj, moja droga, i mówmy o Waclawie. Zdaje mi się, że zupełnie fałszywie pojmujesz jego ożenienie.

— Cóż tu trudnego do pojęcia? — odparła wcale nieudobruchana panna Teodozja. — Wiadoma to rzecz, iż młodzież bez majątku musi się starać o bogate panny.

— Mężczyzna jest głową domu, na nim leży utrzymanie rodziny, pamiętaj o tem. Nie zapominaj także jaką boleścią byłoby dla kochającego serca, gdyby ci, których



strzedz, bronić, uszczęśliwiać się winno, cierpieci jakibądź niedostatek. W dzisiejszych czasach żenić się nieopatrzenie jest to niemal popełniać zbrodnię.

— O, może być ciocia spokojna, zbrodnia to coraz rzadsza — odparła szyderczo Teodozya. — Wacław jej nie popełni tembardziej — dodała po chwili — że wychowanie, jakie odebrał, nie daje żadnego chleba. Mówiłam to cioci tyle razy.

— Mówiłaś nietylko mnie, mówiłaś i jemu; nawet starałaś się go nakłonić, by wbrew moim radom, wybrał sobie zawód prawny, lekarski, lub technologiczny. Czy sądzisz, że o tem nie wiem?

Tym razem szyderstwo było po stronie ciotki, ale szyderstwo tak delikatne, tak zmiękczone światowymi formami, iż było ono zaledwie dostrzegalne, dla bystrego oka panny Teodozyi.

— Niema w tem przecież nic złego — odrzekła. Kocham mego kuzyna, więc

chciałam ażeby był prawdziwym człowiekiem.

Pani Julska uśmiechnęła się słodziej jeszcze niż zwykle i kładąc rękę na ramieniu swego gościa, wyrzekła łagodnie:

— Powiedz mi, czy tak bardzo ci na tem zależy, ażeby Wacław Julski pomnożył liczbę adwokatów bez spraw, doktorów bez pacjentów, lub inżynierów bez pracy, których widzimy tylu na bruku warszawskim?

— Dlaczegoż ciocia w tak smutnych kolorach maluje przyszłość jego? — zapytała zdziwiona.

Pani Julska spojrzała jej w oczy.

— Bo — wyrzekła — w dzisiejszych czasach początki są zawsze trudne; powinnaś wiedzieć o tem, Dosiu.

Czarne brwi kobiety się zbiegły. Tak ona rozumiała to doskonale, wiedziała o tem z własnego doświadczenia.

— A podobne początki rzucają cień na człowieka; nietylko świat wydaje mu się gorszym niż jest, ale i on niepodoba się światu. Ludzie lubią powodzenie i mają słuszność; powodzenie daje siły, rozwija wrodzone przymioty, nadaje nam nawet często te, których nie mamy. Niech sobie powieściopisarze mówią co chcą o trudnościach życia, które hartują ludzi, w rzeczywistości wygląda to trochę inaczej; trudności psują charakter i cerę, przyprawiają o stan żółciowy i przedwczesną łysinę.

To praktyczne rozumowanie nie przekonało odrazu panny Teodozyi.

— Wszyscy jednak, ciociu, wybierają sobie stan jakiś.

— Och! moja droga, niechaj wszyscy idą jak owce ubitym gościńcem, mnie to wszystko jedno. Ja dla syna mego wybieram drogę, którą iść mu będzie najłatwiej i najwygodniej.

— Bogate ożenienie — odparła z nieskrywaną pogardą stara panna. — Daruj mi ciotko, wolałabym żeby Wacław sprzedawał swój czas, niż osobę.

Ale nawet tak nieparlamentarne wyrażenie nie zdołało wytrącić pani Julskiej z kolei zwykłego spokoju. Falistym ruchem, niezdradzającym najłżejszego wzburzenia, wyciągnęła rękę i sięgnęła na biurko, gdzie w ozdobnych rzeźbionych ramach stała wielka fotografia kobieca. Spojrzała na nią z upodobaniem, a uśmiech jej nabrał więcej jeszcze wdzięku i słodyczy gdy z kolei podała ją pannie Teodyzyi mówiąc te słowa jedynie:

— Oto fotografia Reginy.

Był odblask tryumfu w jej oczach, gdy dawała to faktyczne zaprzeczenie przypuszczeniom starej panny, a ta z widocznym zachwytem przypatrywała się wdzięcznej, wyrazistej twarzy przyszłej kuzynki.



Teodozja otrząsnęła się jednak szybko z tego wrażenia i wyrzekła z właściwą sobie szorstkością:

— Jednak ludzie tak powiedzą.

— Ludzie! och, ludzie! — powtórzyła pani Julska — ludzie powstają najgłośniej na tych, którym zazdroszczą. A ja chcę, by Wacławowi zazdroszczono i, obaczysz, zazdrościć będą!

Teodozja nie zdawała się o tem zupełnie przekonaną.

— Życ z majątku żony — wyrzekła z pewnym rodzajem powątpiewania.

Pani Julska położyła macierzyńskim ruchem rękę na jej kolanach.

— Dosiu droga, że też nie możesz się pozbyć tych dziwnych uprzedzeń, że też nie możesz zrozumieć życia! Któż ci powiada, że Wacław żyć będzie z majątku żony? Świetnaby też to była przyszłość — dodała pogardliwie — zwłaszcza na dzisiejsze czasy, procent od pięciukroć stu

tysięcy, które Jasiennicki daje za córką. Procent ten wyrównywałyby zaledwie mojej emeryturze...

— Ależ cioci emerytura stanowi wielki majątek — zawołała Teodyzja, której ciotka wydawała się ideałem bogactwa.

— Tak sądzisz? — odparła przeciągle starsza kobieta. — Zapewne masz słuszność, dla mnie to było majątkiem i musiało mi starczyć, bo odsunęłam się od świata i żyję w zaciszu... Czyż mogłaś jednak sądzić, że takie liche położenie gotuję dla swego jedynaka? On musi być potężny, musi mózdz uczynić to, czego zapragnie. Wszystkich oczy muszą się zwracać ku niemu z zazdrością. Na to go chowałam.

Była chwila milczenia.

— Nie rozumiesz tego, Dosiu — mówiła znowu — nie rozumiesz czemu nie chciałam nigdy przykuć go do specjalnej nauki. Na co mu to? Wolałam żeby kształcił się w tem wszystkim, co za potrze-

bniejsze uważałam, wolałam żeby zapano-  
wał nad światem nie powolną, nużącą,  
zużywającą pracę, ale prawem podboju.  
Pracowałam na to, odmawiałam sobie  
wszystkiego, by jemu nigdy niczego nie  
zbrakło.

— Ciocia — zawołała ze wzrastającym  
zdziwieniem Teodozja — ciocia była zmu-  
szona czegokolwiek sobie odmówić?

— Jest to gorzka, upokorzająca rzecz,  
Dosiu — odparła. — Doznawałam jej przez,  
całe życie, więc chciałam, żeby przynaj-  
mniej Wacław nie zaznał nigdy. W dniu,  
w którym środki nie sprostają chęciom,  
człowiek czuje się poniżonym, skrepowa-  
nym, traci ową pewność siebie, będącą  
najlepszą rękojmią powodzenia. Dzisiaj bu-  
dują się kolosalne fortuny w przemysło-  
wym świecie, trzeba tylko mieć stosunki  
i kapitał. Majątek Reginy będzie tą bryłką  
śniegu, która w danym razie zmienia się

w lawinę. Ona wówczas będzie mu winna wszystko, a nie on jej, pamiętaj o tem.

Mówiła to ze spokojem pozornym, ale z odcięciem tryumfu w głosie. Panna Teodozja jednak była uparta w swoich zdaniach i dlatego zagadnęła znowu:

— Przecież i w przemyśle istnieje konkurencya, bywają niepowodzenia.

Pani Julska uśmiechnęła się pogardliwie.

— Zapewne, zapewne — odparła z charakterystycznym ruchem ramion, świadczącym, że ona nie potrzebywała obawiać się dla Waława takiej katastrofy.

— I ciocia jest pewną, że nie podobnego dotknąć go nie może?

— Są interesa nieomyłne; są firmy niezachwiane.

— Dopóki się nie zachwieją — wtrąciła stara panna, która miała zastarzałe prowincjonalne uprzedzenia przeciwko światu finansowemu.



— Zachwiane jest najczęściej rzeczą nieprzezorności, a ja przez całe życie miałam oczy otwarte i upatrywałam ludzi, z którymi mogłabym związać los Wacława. Przedsiębiorstw korzystnych i bez ryzyka jest wiele. Kupuje się przeważną liczbę akcji w jednym z nich i tym sposobem można mieć odrazu posadę nienużącą a korzystną, oprócz procentów zaś i dywidendy, jakie kapitał przynosi, udział w kierownictwie interesu. Jest więc zajęcie, jest stanowisko, a to wszystko w najlepszym razie mógłby mieć w fachowej pracy dopiero na starość, po długich latach i przy zbiegu wielu szczęśliwych okoliczności.

Widać pierwszy raz wypowiedała się tak wyraźnie wobec Teodozyi, bo ta zawołała :

— Ciocia mi nigdy o tych zamiarach nie mówiła.

— Pocóż mówić miałam? Było to rzeczą przedwczesną. Wierz mi, zamiary ludzkie najczęściej nie przychodzą do skutku, że są rozgadane.

— Przecież na mnie ciocia rachować mogła; kocham Wacława z całego serca.

— Właśnie dlatego; kochając go, mogłaś zdradzić się przed nim.

Stara panna wlepiała w nią swoje bystre oczy.

— Jakto, ciociu? — spytała.

— Przecież — mówiła z uśmiechem pani Julska — zamiary moje nie były zamiarami Wacława.

— Prawda — zawołała Teodozja, uderzona tą myślą.

I patrzyła na ciotkę zdziwiona.

— Och! Wacław miał pełno zamiarów, wiem o tem, i musiał się z nimi przed tobą zwierzać.

— Rzeczywiście — powtórzyła stara panna — zamierzał z czasem wejść do re-

dakcyi jakiego dziennika, to znów napisać powieść społeczną, rozpoczął poemat...

— Wiem o tem dobrze, Wacław jest zdolny i ma pociąg do literatury. Rada byłam bardzo, że się nią zajmował.

— Więc on nigdy nie przypuszczał przyszłości, jaką mu ciocia gotowała?

— Naturalnie, powiedzieć mu o tem znaczyło wszystko popsuć. Gdyby był zrozumiał, że posag żony ma stanowić podstawę jego przyszłości, byłby z pewnością oburzył się na to i niechciał patrzeć na żadną bogatą pannę. Przecież mój Wacław nie jest zręcznym komedyantem o wytartem czole, nie spekuluje na cudzy majątek; uczucie jego jest zupełnie bezinteresowne. Kwestya pieniężna nie grała żadnej roli w jego sercu. Znasz go dość, by o tem nie wątpić.

— Prawda, on taki szlachetny — szepnęła na wpeł przekonana Teodozya. — A jednak te projekta przemysłowe ..

Spojrzała badawczo na panią Julską, ale spotkała tak plastyczny wyraz i wejście tak niezmacone, iż umilkła.

— Te projekta nasuną mu same okoliczności, w jakich się znajdzie, bogdaj nawet czy nie nasunie ich pierwszy pan Jasiennicki.

Panna Teodozja teraz naprawdę zaczęła uwielbiać głębokie kombinacje ciotki, które tak świetne wydawały rezultaty.

— Hm! — wyrzekła jednak — czy tylko Wacław potrafi zająć stanowisko, jakie mu ciocia przeznacza?

Pani Julska jedynie przez grzeczność nie roześmiała się w oczy starej pannie, ale spojrzenie, jakim ją zmierzyła, miało toż samo znaczenie.

— A to dlaczego? — spytała.

— Bo... no, bo nie przygotował się do tego.



I znowu pogardliwie dobrotliwy uśmiech zarysował się na bladych wargach kobiety.

— Moja Dosiu — wyrzekła — czyż nie wiesz jeszcze, że właśnie to stanowi sko starczy na fachowe przygotowanie? W hierarchii ludzkiej praca i nauka wymagana jest od tych tylko, co nic innego nie posiadają; ale na szczytach są to już rzeczy zbyt kowne.

Stara panna westchnęła; może wiedziała o tem z własnego doświadczenia, a nie przyszło jej na myśl, że podlegała nie wyjątkowej doli, lecz prawom ogólnym, stosującym się zarówno do niej, jak do każdej innej jednostki w jej położeniu.

— Ale ja jestem egoistką — wyrzekła znowu po chwili pani Julska, zwracając się do niej z nowem zajęciem — mówię ci o sobie, o Warszawie, a nie zapytałam o twoje powodzenie.

— Och! moje powodzenie... — szepnęła.

Pani Julska wzięła ją za obie ręce i patrzyła jej w oczy spłowiałemi źrenicami, którym wyraz nadawały jedynie powieki i sine kręgi u dołu. Czy było w nich spółczucie, czy jaka inna troska, tego nikt wyczytać nie mógł, ale głos, którym przemawiała, brzmiał miękko.

— Moja droga, moja biedna Dosiu, wiesz jak mnie los twój obchodzi, wiesz że jeśli nie mogłam pożyczyć ci kilkunastu tysięcy złotych, których potrzebowałeś na założenie pensyi, to sama nad tem bolałam najwięcej.

— Nie mówmy o tem, proszę — przerwała Teodozja.

— Przeciwnie, mówmy, moja droga, bo jest to wieczna rana mego serca. Ot widzisz żywy przykład tego com mówiła: chcieć, a nie módz. Chcieć a nie módz, to największa męczarnia życia.

Zapewne Teodozja nie była dość głęboko przekonaną o tej niemożności, bo pani Julska mówiła dalej:

— Wiesz jednak, iż pomagałam ci zawsze radą, rekomendacją, czem mogłam tylko, i słyszałam nawet, że zakład, idzie ci wcale nieźle.

— Ja się też nie skarżę, ciociu...

— Och! jesteś odważną i zaradną kobietą!

— Ja się nie skarżę — powtórzyła stara panna — źle mnie ciocia zrozumiała. O mojej doli niema co mówić, bo jest najzupełniej zwyczajną: raz mi gorzej, raz lepiej, ot i wszystko. Radzić sobie muszę.

— Wiem że wszyscy chwalą twoją pensją.

Teodozja nie pokazała jednak, by ją ta pochwała ułagodziła.

— Robię co mogę, ciociu, chciałabym wszystko co uczciwe i rozumne wszczepić w moje uczennice, a co tam ludzie sądzą...

Zrobiła ruch, wyrażający pod tym względem wielką obojętność.

— Pochwała ludzka jest potrzebną. Dosiu, bardzo potrzebną; źle czynisz, jeśli nie dbasz o nią — monitowała ją łagodnie pani Julska.

— Ja ani dbam, ani nie dbam; robię swoje i koniec.

Spojrzenie ciotki mówiło wyraźnie, że to nie dość, że tym sposobem kochana Dosia nigdy do niczego nie dojdzie. Była ona jednak zbyt delikatna i dyskretna, żeby narzucać swoje zdanie, szczególniej osobie tak mało zdolnej je ocenić. Milczała więc, usiłując ogarnąć swym łagodnym wpływem starą pannę, widocznie zgorzkniałą i przyuczoną szorstko stawić czoło szorstkim okolicznościom, bo wszyscy wiedzieli, iż zkądinąd miała prawdziwie anielską pobłażliwość dla wad i niedoskonałości ludzkich. Zaczęła więc w inny sposób



rozmowę. Zapytała czy nadługo kochana Dosią przyjechała do Warszawy.

— Nadługo? — zaśmiała się stara panna — alboż ja mam czas na to? Wpadłam tylko z jedną z wychowanek, cierpiącą na oczy, poradzić się dobrego okulisty, i przy tej sposobności wybrać książki na nagrody, a ponieważ słyszałam o małżeństwie Wacława, przyszłam dowiedzieć się czy to prawda.

Słowa te nie były zbyt grzeczne dla pani Julskiej; widocznie w tej wizycie najmniej o nią chodziło. Musiało ją to zranić dotkliwie, bo westchnęła cicho i rzekła z łagodnym uśmiechem, kładąc dłoń na jej rękę:

— Nie potrzebujesz mi tego przypominać, Dosiu, wiem, że nigdy nie umiałam zyskać sobie twego serca. I teraz jednak, choć odwiedziny twoje położę tylko na karb Wacława, nie możesz mi przeszkodzić z nich korzystać.

— Cioci nie po mnie — odrzekła panna Teodozja, nieskruszona wcale delikatną przymówką pani Julskiej — i ja też tak mało mam czasu...

Z taktem sobie właściwym matka Wacława porzuciła ten drażliwy przedmiot, nie kładąc już nacisku na uczucia i sposób zachowania się starej panny.

— Spodziewam się jednak, że będziesz na ślubie Wacława. Właśnie miałam pisać do ciebie...

— A ja tam po co? Wacław wie o tem, że go kocham. Życzę mu największego szczęścia, ale na ślubie na nic wam się nie zdam. I koszt, i strata czasu i wreszcie co wam tam wszystkim po starej biednej kuzynce? Ja nie do świata. A Reginę... no, Reginę poznam przecie, jak będę w Warszawie.

Pani Julska nalegała, a gdy Teodozja powstała i żegnać się zaczęła, nie zatrzymywała jej wcale, lecz ściskając ręce Te-

odozyi, odprowadziła ją aż do drzwi wchodowych.

Po jej odejściu powróciła do saloniku, w którym ją przyjmowała i spojrzała na zegarek. Wizyta Dosi trwała blisko godzinę. Włożyła napowrót zdjęty kapelusz i okrywkę, a chociaż śpieszno jej było, uczyniła to wszystko ze zwykłą starannością. Potem podążyła do przyszłego mieszkania młodej pary, które zaprzętało ją teraz wyłącznie.

Mieszkanie to wybrała w eleganckim punkcie, w jednym z tych nowo wzniesionych domów, zastosowanych do nowożytnych wymagań i potrzeb. Wyklejono je właśnie, bo wykwintny smak tych, co go zamieszkać mieli, nie mógł się pogodzić z powszednimi obiciami, jakie się spotyka w każdym niemal salonie, jadalni lub sypialnym pokoju. Obicia które wybrała pani Julska, po długiej naradzie z Wacławem, a nawet po listownem porozumieniu się

z Reginą, były umyślnie robione i przystosowane ściśle do obicia mebli, a sypialny pokój Reginy, tapicer obwieszał właśnie blado-błękitnym kretonem, zastępującym obicie i sufit nawet zasłaniającym fałdami zebranymi w wielką rozetę, ze środka której spuszczała się alabastrowa lampa.

Pokój ten podobny był do gniazdka z błękitu. Pani Julska zatrzymała się w nim z upodobaniem i ustawiało w myśli na dywanie hebanową toaletę, niskie fotele taborety i szeslong. Nagliła o pośpiech. Dzień ślubu się zbliżał; za tydzień miała wyjechać na wieś, a tu tyle jeszcze było do zrobienia!

Poszła do jadalnego pokoju, który był już urządzony. Rzeźbiony kredens z gruszkowego drzewa, wysokie krzesła o rzeźbionych poręczach i ściany powleczone ciemno-orzechową wyciskaną skórą, tworzyły całość wytworną i harmonijną.



Kobieta przechodziła się po nim z zadowoleniem, jak gdyby znalazła się w otoczeniu sobie właściwym, jak gdyby ziściły się wreszcie długo pieszczone jej marzenia.

Przyglądając się okiem znawczyni salonowi, przysła do przekonania, że brakuje jeszcze w jednym z rogów tego czegoś, coby zaokrągliło całość harmonijnie, i zastanawiała się nad ważnym problematem, czy potrzeba tu żardynierki z kwiatami, czy konsoli z jakim ładnym sprzętem, czy wreszcie pięknego wazonu na wysokim postumencie? Przywołała do rady tapicera, właściciela eleganckiej firmy, który właśnie przyszedł doglądać roboty i chociaż wazon był rzeczą najkosztowniejszą, zdecydowała się na niego.

Widocznie więc wyrazy „chcieć a nie módz,” które z taką goryczą wypowiedziała przed siostrzenicą męża, nie miały tutaj swego zastosowania.

Powziąwszy postanowienie kupienia wazonu, nie tracąc czasu udała się za tem kupnem. Przechodząc wstąpiła do magazynu, gdzie obstalowane były wyprawne suknie Reginy, obejrzała je, zrobiła niektóre uwagi i powracała już do domu, gdy we drzwiach przedpokoju spotkała roznosiciela telegramów.

— Ha! — pomyślała — pewno jaki nowy sprawunek.

Telegram jednak był tego rodzaju, że czytając go, stanęła jak wryta. Przysłał go Wacław, a zawierał tylko te słowa:

„Pan Jasiennicki jest umierający, doktorzy nie robią nadziei. Przyjeżdżaj jak najprędzej.“

Przeczytawszy te słowa, nie krzyknęła, nie zapłakała, ani też nie szukała przyjaciółki, przed którą wypowiedziećby mogła tę straszną wiadomość. Była to przedewszystkiem kobieta praktyczna, a ponieważ nie mogła nic poradzić na nie-

szcęście, jakie dotykało jej przyszłą synową, więc zaczęła się na nie zapatrywać ze strony praktycznej. Skoro pan Jasienicki miał umrzeć, czemuż śmierć ta niewypadła choć o dwa tygodnie później, po ślubie jedynaczki, o której los przynajmniej umarłby zupełnie spokojny? A teraz przyszła jej na myśl żałoba, konieczne odłożenie ślubu, opieka dalekich krewnych, możliwe trudności i straty majątkowe, jakie podobne okoliczności pociągają zwykle za sobą.

Następstwem tych niepokojących obrazów była myśl, czyby w obec tych okoliczności nie należało przyspieszyć małżeństwa co prawdopodobnie nawet musiało być pragnieniem umierającego; zamiar podobny jednak wymagał usunięcia pewnych legalnych trudności, a Wacław z pewnością tego nie uskutečnił.

Jakkolwiek strapioną była mocno pani Julska, strapienie nie przeszkodziło

jej to wszystko rozważyć i dojść do pewnych kombinacyj. Pomyślała o indulcie i byłaby niezawodnie zajęła się jego wyrobieniem, ażeby w danym razie nie napotkać żadnych trudności, gdyby nie to, że indult zależał od właściwego biskupa.

I na to jednak znalazła radę. Dzięki szeroko rozgałęzionym stosunkom, wszędzie miała do kogo się udać. Posłała więc telegram do Lublina, prosząc ażeby w tak ważnych okolicznościach skrócono formalności i przyniesiono jej indult na kolej, gdyż droga wypadła jej przez Lublin. Uczyniwszy to, wydawszy rozporządzenie rzemieślnikom i zleciwszy mnóstwo pomniejszych interesów panu Borowskiemu, który zajmował stanowisko pośrednie pomiędzy totumfackim a starym przyjacielem domu, wybrała się w drogę.

Wyjazd ten był tak nagły, iż dopiero znalazłszy się w wagonie, odetchnęła nieco spokojniej. Myślała o nieszczęściu jakie



stało się w Jasionnie i niezawodnie bolała nad niem bardzo. Jednakże nieszczęście było tego rodzaju, że nie można było na nie zaradzić, że trzeba było znieść je i przecierpieć. Złagodzenie tej rany było rzeczą czasu, bo wszakże przeznaczeniem człowieka jest tracić ukochanych. I ona przecież niejedną już przeniosła stratę. Straciła męża!

Wspomnienie to, jakkolwiek bolesne, przywiodło jej na myśl, że śmierć jest nietylko stratą moralną, że zmienia ona zwykle położenie materyalne pozostałych, bądź to ujmując im, bądź przynależając dostatków. W tem ostatniem położeniu stawiła Reginę strata ojca. Zamiast pięciokroć stu tysięcy złotych, stanowiących posag jaki on jej przeznaczył, miała odziedziczyć całe jego mienie, wynoszące trzy razy tyle. Tym sposobem Waclaw mógł rzucić w przemyśl daleko większe kapi-

tały i szybciej zrealizować ambitne marzenia matki.

Pod tym względem śmierć Jasiennickiego należało uważać za wypadek pomyslny; był to człowiek młody jeszcze, pełen sił, mógł żyć długo, a kto wie, może ożenić się nawet.

Zdanie to nie sformułowało się zapewne w myśli pani Julskiej w sposób tak jasny; gdyby jednak teraz nagle dowiedziała się, że niebezpieczeństwo minęło, że chory powróci do zrowia, to wieść ta radosna byłaby na niej wywarła wrażenie dziwne, podobne do omylonej nadziei.

Była już pod Lublinem, gdy przyszło jej nagle na myśl, iż należało było może z Warszawy przywieść jakiego sławnego lekarza. W prawdzie syn nie telegrafował o to, ale z jej strony taki dowód troskliwości stawał się niemal obowiązkiem. Im bardziej zastanawiała się, tem mniej darować sobie mogła owo zaniedbanie,

prawdziwie niepojęte. Stało się jednak, rzecz była nie do naprawienia.

Już pociąg miał ruszyć dalej, kiedy przyniesiono jej żądany indult. Miała za ledwie czas wypowiedzieć kilka słów podziękowania. Oddawca, wspólny znajomy jej i ojca Reginy, ścisnął jej ręce, mówiąc z uczuciem:

— To pięknie, to szlachetnie z państwa strony.

— Ależ -- zawołała — każda na naszym miejscu to samoby uczyniła.

Odpowiedział jej coś, ale słów jego dosłyszeć nie mogła, przygłuszył je świst lokomotywy. Pociąg ruszył i miała czas przez godziną blisko jazdę układać w myśli dalsze postępowanie.

Na stacyi zastała czekający na nią powóz. Zapytała woźnicę o zdrowie pana Jasiennickiego. Było źle bardzo; we dworze mówiono że umiera; leczyło go dwóch lekarzy a w południe przyjmował ostatnie

sakramenta. Oto było wszystko, co jej mógł powiedzieć ten człowiek, powtarzający tylko dworskie echa.

Cichy, rozkoszny wieczór zapadł tak samo jak wówczas, gdy Wacław, rozpromieniony i szczęśliwy, przyjeżdżał tutaj do szczęśliwych. Od tego czasu upłynęło zaledwie kilka tygodni. Jasiennica ustroiła się we wszystkie wdzięki; zamiast bzów i narcyzów, kwitły teraz róże, akacje, jaśminy, a woń ich napełniała balsamicznymi wyziewami powietrze. Na werendzie, którą sploty dzikiego wina ocieniały, nie było nikogo. Dom przybrał już ten wyraz opuszczenia i nieładu, cechujący zawsze siedzibę choroby lub troski.

Nikt nie dosłyszał turkotu powozu, nikt nie wybiegł przed ganek. Pani Julska wysiadła i weszła do sieni, znając zaś dobrze rozkład domu, wiedziała gdzie się kierować. Wprost drzwi wchodowych był pokój jadalny, a za nim gabinet i sy-



pialnia pana, tam więc teraz musiał się skupiać cały ruch domowy.

Nie omyliła się; przy chorym byli lekarze z Wacławem; odbywała się jakaś narada, próbować chciano jakiegoś ostatniego środka. Reginy nie przypuszczono widać w tej chwili do ojca, była w gabinecie. Stała przy fotelu osłupiała, pochylona naprzód, nasłuchując widocznie najłżejszego szmeru, jaki od łóżka chorego dochodził.

Biedna Regina! Jakże strasznie zmienioną była od chwili, gdy tak rześiste łzy wylewała nad książkową bohaterką! Oczy jej zapadłe świeciły gorączkowym blaskiem wśród marmurowo-bladej twarzy. Nie było w nich łez, tylko jakieś postanowienie rozpaczliwe niepoddawania się bolesti, zapanowania nad sobą. Ręce złożone razem, zaciśnięte były bolesnie. Ufna, szczęśliwa, pochwycona została niespodzianie nieubłaganem technieniem cierpienia i

wyglądała jak kwiat, zwarzony nagłym mrozem.

— Reginko, droga Reginko! zawołała pani Julska.

Nie słyszała jej, zdawała się głuchą na wszystko, co się mieściło poza obrębem ojcowskiego pokoju.

— Regino, dziecko drogie! — powtórzyła kobieta, chwytając ją w objęcia.

Teraz dopiero wzrok Reginy padł na nią i widok ten zbudził ją do rzeczywistości. Z tłumionym okrzykiem, który się w łkanie zamienił, rzuciła się jej na piersi, uwiśla na nich całym ciężarem, a usta jej wśród łkań szeptały urywanie: „Matko! o matko!“

Ruch ten był wymowny, wypowiedział niejako całą moralną istotę dziewczyny. W tej chwili matka ukochanego, ta matka, której to imię dawała w chwili rozpacz, była jedyną istotą, mogącą dać jej jeśli nie pociechę, to siłę i ukojenie;

jej serce było jedynem miejscem, na jakim spocząć mogła i odnaleźć łzy, do tej pory dalekie od jej powiek.

Próbowała wypowiedzieć skargi i bóle swoje, ale brakło jej słów. Szeptiała ciągle: „matko! matko!“ jakby w tym jednym wyrazie zamykały się wszystkie inne. Była w nim namiętna rozpacz istoty, która pierwszy raz poznawała straszne znaczenie tego słowa tracić, i tęsknota sierotego serca, a może jeszcze i ostatnie echo nadziei, niemogącej nawet wobec rzeczywistości zagasnąć w młodej myśli.

— Dziecko moje, dziecko najdroższe! — powtarzała pani Julska, obsypując ją pieszczotami.

Nie mogła o nic pytać wobec jej rozpacz i może w tej chwili narzeczona syna absorbowwała ją wyłącznie, gdy we drzwiach pokoju chorego ukazał się Wacław, zwaibiony odgłosem jej łkań, albo szmerem słów matki.

On także był blady i zmieszany bardzo.

— Jesteś wreszcie, mamó — zawołał, zbliżając się do niej — jesteś tutaj. Z tobą lżej nam będzie znieść wszystko.

Wskazywał jej oczyma dziewczynę.

— Najdroższa — szepnął, obejmując ją lekko i próbując przygarnąć do siebie.

Ale ona w tej chwili głuchą była nawet na głos jego; nie mogła się oderwać od pani Julskiej, chwytając się jej, jak tonący zbawczej ręki.

Skinęła na syna, by zostawił ją jej staraniom. Zwolna zaprowadziła ją na sofę, usiadła, posadziła obok siebie Reginę i starając się uspokoić jej spazmatyczne łkanie, położyła głowę dziewczyny na swoich piersiach. Ponad jej głową jednak zwróciła na syna badawcze spojrzenie, a spojrzenie to mówiło wyraźnie:

— Cóż się dzieje z chorym?

Wacław zrozumiał je dobrze i odpowiedział równie wymownym ruchem, świad-



czącym że niema żadnej nadziei. O więcej w ten sposób pytać nie mogła, a przecież miała tyle pytań do zadania, tyle spraw do przeprowadzenia.

Tymczasem w pokoju chorego robił się ruch jakiś, lekarze obydwoj wychodzili. Jeden, sprowadzony z Lublina, miał zaraz odjeżdżać, drugi pozostawał. Naradzali się po cichu. Regina usłyszała ich, wyrwała się z objęcia pani Julskiej, podniosła głowę i wlepiła w nich spojrzenie pełne trwogi i prośby, spojrzenie jakie lekarze spotykają tyle razy przy łożu ukochanych.

Spojrzenie to dopraszało się odpowiedzi; przecież jej nie uzyskało. Oni nie mogli powiedzieć jej nic pocieszającego, chcieli przeciwnie przygotować ją do ciosu, jaki musiał ją spotkać niechybnie. Ale dziewczyna na tem nie przestała. Zdawało jej się, że dopóki jest życie, i nadzieja jeszcze być musi. Daremnie mówiono jej o niebezpieczeństwie, daremnie czytała je w za-

trwożonych twarzach obecnych, zmienionych rysach ojca, w jego bezładnych słowach, w błędnym spojrzeniu, które córki nawet nie poznawało. Ona nie mogła utracić nadziei. Nieszczęście było w jej życiu nowością straszną, nie pojmowała go. Śmierci nie widziała dotąd nigdy, matki nie pamiętała nawet. Ludzie wprawdzie umierali, ale to nie byli ci, których ona kochała, których zdawała się bronić miłosnym objęciem, wzrokiem pełnym trwogi, modlitwą gorącą. Wyobraźnia mogła jej stawiać na oczy straszne mary w chwili spóźnienia przyjazdu Wacława, ale mary te nie miały z rzeczywistością wspólnego. Ojciec jej w pełni sił, otoczony staraniem, nie mógł umrzeć w jej oczach.

Powstała z miejsca, które zajmowała przez chwilę przy pani Julskiej, i zbliżyła się chwiejącym krokiem do doktorów, stojących w zagłębieniu okna. Jeden z nich

był starym przyjacielem ich domu, zwróciła się do niego.

— Panie! — szepnęła.

Nie mogła więcej mówić, spazmatyczne łkanie wstrząsało nią całą.

Nie odpowiedział nic, odwrócił oczy od tej bladej postaci, dopraszającej się gwałtem nadziei, której on dać jej nie mógł.

— Panno Regino — rzekł wzruszony, biorąc w swoje dłonie jej zimne złożone rączki — bądź mężną. Bóg cię nie opuści. Patrz, nie jesteś przecie sama, masz rodzinę.

Przez chwilę jeszcze patrzyła na niego, jakby niezdolna odrazu znaczenia słów tych zrozumieć, jakby umysł bronił się przed ich pojęciem; aż wreszcie wyrwała mu ręce i z głuchym jękiem pobiegła do pokoju ojca. Wacław udał się za nią; w gabinecie została tylko matka jego z lekarzami.

Skorzystała szybko z tej sposobności. Ona także zbliżyła się do starego lekarza, do którego zwracała się w tak wymowny sposób biedna Regina.

— Przyjeżdżam w tej chwili — rzekła.  
— Cóż się tu stało? Mów pan!

Lekarz znał panią Julską oddawna, wiedział jakie stosunki łączyły dwie te rodziny; przecież zdawał się wahać przez chwilę.

— Nerwowe porażenie mózgu, z którym walczyliśmy napróżno od dni trzech.

Czas przeszły użyty w tym razie prze-  
raził ją nadewszystko.

— Jako? — spytała — więc już...

Nie dokończyła, ale on ją rozumiał.

— Wyczerpaliśmy wszystkie środki —  
odparł smutno.

— I niema żadnej, choćby najsłabszej  
nadziei?

— Przynajmniej według ludzkich obra-  
chowań. Przygotuj pani do tej ciężkiej



straty to biedne dziecko, które zrozumieć jej nie może. Bądź dla niej dobrą!

Mówił to wzruszonym głosem. Był przyzwyczajony widzieć z bliska nieszczęście; ale to, które teraz miał przed oczami uderzało w istotę tak młodą, tak do niego nieprzyuczoną, iż budziło litość wyjątkową.

Pani Julska nie dała mu żadnej odpowiedzi. Stała ze spuszczonemi nadół powiekami.

— Czy panowie możecie obliczyć, ile życia jeszcze pozostaje choremu? — spytała.

Dwaj lekarze przez chwilę spoglądali wzajem na siebie, zdziwieni tem pytaniem. Wreszcie odezwał się znajomy:

-- Tego nikt napewno nie oznaczy. Śmierć może nastąpić lada chwilę, lub też agonia trwać dosyć długo.

— Jak długo?

Widocznie zdziwienie zapytanego wzrastało; nie miał jednak żadnego powodu ukrywania przed nią istotnego stanu rzeczy.

— Dwadzieścia cztery, trzydzieści godzin najwyżej.

— A więc panowie róbcie co można, byle go jak najdłużej zachować.

— Nie czekaliśmy na prośbę pani, ażeby to zrobić — odezwał się milczący do-  
tąd młody lekarz, z odcieniem dumy. —  
Mój kolega nie odstąpi chorego i jego ro-  
dziny. Niestety jest to wszystko, co  
uczynić możemy.

Słowa te zrobiły pewne wrażenie na  
pani Julskiej. Dowiedziawszy się tego co  
wiedzieć pragnęła, powróciła do zwykłego  
sobie, miękkiego tonu, o którym zapo-  
mniała na chwilę, pod naciskiem gwał-  
townych okoliczności.

— Och! wiem o tem, nie wątpię —  
wyrzekła, wyciągając ku staremu leka-  
rzowi i jego koledze rękę obciśniętą duń-  
ską rękawiczką. — Przecież zbytek tro-  
skliwości mojej panów obrażać nie po-  
winien

Był w głosie jej rzewny odcień, ręka wyciągnięta drżała lekko, zapewne od głębokiego wzruszenia.

Dodała parę słów ubolewania nad umierającym, z którym prócz związków zamierzonych, wiązała ją długoletnia przyjaźń; potem spytała czy jest przytomny. Niestety, chwile przytomności były coraz radsze, coraz krótsze i znowu nikt nie mógł przewidzieć czy przyjdzie jeszcze taka, w której mógłby poznać otaczających.

Wiedziała już wszystko, co wiedzieć potrzebowała; przecież nie wyrzekła słowa o swoich zamiarach. Czowała dobrze, iż projekt połączenia natychmiast węzłem małżeńskim młodej pary powinien być wyjść od chorego. Ona tylko dopomódz mu i przyspieszyć go mogła.

Nie zapytała o przebieg choroby, o jej powody, wszystko to bowiem były rzeczy mniejszej wagi wobec zamiaru, jaki postanowiła czemprowadzić

do skutku. Teraz udała się do pokoju pana Jasiennickiego.

Pokój ten, zwykle tak symetryczny, tak pełny wykwitnego smaku, teraz przedstawiał nieład, charekteryzujący ciężką chorobę. Flaszki, ręczniki, bandaże walały się po wszystkich stolikach, pomiędzy cygarnicami i gratami wytworzeni. Miednica z lodem stała na biurku. Świeca potrzebna do baniek, którą zapomniano zgasić, dopalała się w kącie, kłócąc się z szarem światłem zapadającego wieczoru. Choremu potrzeba było powietrza; to też dwa wielkie okna, otwarte na ogród, wpuszczały balsamiczne wonie drzew i krzewów kwitnących, a zapach ich mieszał się z przykrym odorem aptecznych substancyj, który unosił się w pokoju i oddech zapierał w piersiach.

Pokój, położony na wschód i ocieniony zewsząd staremi drzewami, wewnątrz zaś ciężkimi firankami, w tej



chwili pogrążony był w takiej pomroce, iż z pewną trudnością przychodziło rozoznać przedmioty, bo świeca stojąca w kącie rozjaśniała zaledwie małą przestrzeń.

Wśród sprzętów nagromadzonych nagłą chorobą, widać było jeszcze zwykłe nawyki pana domu. Na biurku rozłożone były gazety, a pod marmurowym lwem spoczywała paka listów, które tutaj zwykle oczekiwały odpisu. Niedopalone cygaro leżało na brązowej podstawce; rozpoczęty rachunek przy kałamarzu, w którym tkwiło pióro, jakby tylko co umoczone.

Wszystkie te drobne rzeczy sprawiały niewypowiedzianie przykre wrażenie wobec śmierci, która zdawała się już rozpościerać swoje panowanie w głuchej ciszy tego pokoju.

Pani Julska zatrzymała się w progu; dywan rozesłany po całym pokoju tłumił szelest kroków; można było sądzić, że cienie tylko przesuwały się tutaj. Szukała

oczyma chorego, Reginy, Wacława i zrazu nie dostrzedz nie mogła.

Łóżko poruszono z miejsca i zwrócono ku otwartym oknom. Na stosie poduszek, z blado-sinem obliczem leżał umierający. Za ledwie zdołała poznać człowieka, który przed kilku dniami jeszcze jaśniał zdrowiem, siłą, wykwentem. Dzisiaj twarz ta, porosła siwiejącą brodą, miała charakterystyczny wyraz osłupienia, właściwy chorobie jakiej uległ.

Skoro wzrok pani Julskiej przyzwyczaił się do półcienia zalegającego pokój, wzdrygnęła się na ten widok, szczególnie przykry dla jej wykwentnej natury. A jednak Regina, klęcząc przy łóżku, obejmowała to bezwładne ciało, opasywała je rękoma i spoglądała w twarz jego z wyrazem niewypowiedzianej miłości.

Pani Julska zrozumiała dobrze, iż tutaj powinna była pozostać. Trzeba jej oddać nawet sprawiedliwość, że w tej chwili

zapomniała zupełnie o swoim słabem zdrowiu; pamiętała tylko o tem, że te kilkanaście godzin mogły stanowić o przyszłości jej syna.

Pomimo straconej nadziei uratowania chorego, nie ustawały starania: czyniono co kazała nauka. Regina nie pozwalała nikomu wyręczyć się w tych posługach, które jeszcze ojcu oddać mogła: zmieniała synapizmy i lodowe okłady, usiłowała w ścięte usta wlać przepisane krople. Od chwili choroby ojca nie spoczęła ani na chwilę. Daremnie Wacław zaklinał ją, by pamiętała o sobie i na niego zdawała czuwanie; nie słucha go i w tem jednym utrzymywała swoją wolę.

W przeciągu kwadransa pani Julska objęła całe położenie, pokonała nerwowe wstręty, usiadła na fotelu przy łóżku, jak kobieta która zajmuje swoje stanowisko, i rozciągnęła znowu nad samą sobą i nad

otaczającymi panowanie, do którego przywykła we wszystkich stosunkach.

— Regino — odezwała się, widząc, że dziewczyna klęczy ciągle, zapatrzona w ojca.

Regina szybko zwróciła ku niej głowę; raził ją głos donośny, jakim słowo to wymówione było. Ludziła się myślą że ojciec śpi i wzdrygała się na każdy dźwięk silniejszy, jak gdyby ten mógł go zbudzić.

Ale pani Julska nie miała poczucia tych odcieni.

— Regino — powtórzyła, nie rozumiejąc jej wzroku.

— Ciszej, przez litość! — szepnęła dziewczyna.

Kobieta uśmiechnęła się smutnie i próbowała przyciągnąć ją do siebie.

— Bądź spokojną — wyrzekła — on słyszeć nas nie może i dlatego właśnie powinnaś spocząć. To jest nad twoje siły. Jak też Wacław mógł ci pozwolić czuwać tak długo!



— Ja ztąd nie odejdę — zawołała Regina — za nic w świecie dopóki... dopóki nie zobaczę, że ojcu jest lepiej.

Pani Julska zaczęła jej przekładać, że choroba długą być musi, że sił oszczędzać należy, że wreszcie teraz ona zastąpić ją może.

Ale na to wszystko dziewczyna wstrząsała głową; łagodna zwykle, w tym razie okazywała się upartą, głuchą na rady i prośby i odpowiadała tylko:

— Ja nie chcę żeby on, odzyskawszy na chwilę przytomność, nie znalazł mnie przy sobie.

Matka Wacława musiała jej przyrzec, iż jeśli przytomność wróci, przywoła ją natychmiast. Wówczas dopiero dała się nakłonić do spoczynku i wyszła do przyległego pokoju. odprowadzona przez panią Julską, która troskliwie ułożyła ją na kanapie, przykryła szalem od wieczornego chłodu, za poradą lekarza dała parę kro-

pel laurowych, i uspiła niemal, szepcząc wyrazy nadziei i powtarzając obietnicę obudzenia jej natychmiast, gdyby tego zaszła potrzeba.

Potem powróciła na swoje miejsce, przy łóżku chorego. Noc już zapadła; postawiono w rogu pokoju lampę z zieloną osłoną, która rzucała na przedmioty mdłe jakieś światło. Noc była cicha i spokojna. Księżyc w pełni wypłynął na niebo; przez drżące liście akacyj przedzierały się gdzie-niegdzie srebrne białe promienie i padały na kształt płatów śniegu na kobierzec, lub drobne sprzęty rozłożone na biurku. Doktor, przyzwyczajony do podobnych czuwaniań, pił herbatę w jadalnym pokoju. Wacław zdrzemał się na szezłagu; tylko pani Julska, siedząc na fotelu, zwilżała niekiedy skronie chorego, śledząc w jego oczach iskry przytomności.

Głucha cisza panowała w pokoju; tylko słowiki w ogrodzie odzywały się

rozkosznym chórem, jakby śpiewały hymn szczęścia, miłości, życia, wobec najsmutniejszej rzeczywistości zgonu człowieka.

Nagle umierający wyszedł ze swojej automatycznej nieruchomości: poruszył powieki, rzucił naprzód niespokojnie rękoma, jak gdyby próbował wśród ogarniającego uczucia próżni pochwycić przedmiot jakiś.

Pani Julska pośpieszyła wlać mu w usta orzeźwiające lekarstwo i oczekiwała z bijącym sercem, czy wywrze pożądaną skutek. Zrazu przytomność ta zaczęła się ważyć i można było śledzić w rozwartych szklisto oczach chorego przebłyśki pamięci, które jak fale ukazywały się i znikały. Aż wreszcie oczy jego, słupem wbite przed siebie, zaczęły tracić swą nieruchomość. Powiódł wokoło wzrokiem półsennym, półzdumionym, jakby zapytywał otaczających przedmiotów o to co się z nim działo, lub szukał kogo. Wzrok chorego

spotkał panią Julską, troskliwie nachylił ją ku sobie.

Przez chwilę oczy jego zatrzymały się na niej. Widocznie budziły się z letargu władze pamięci, aż poznał ją wreszcie. Świadczył o tem wyraźniejszy błysk źrenicy i uśmiech, a raczej usiłowanie uśmiechu, które poruszyło zwiśniętą wargą.

Kobieta skorzystała z tej chwili. Schwyciła ten chwiejny przebłysk przytomności i próbowała dopomódz mu ruchem i dźwiękiem głosu.

Wzięła rękę chorego i wyrzekła:

— Przybiegłam na wieść o chorobie pana.

Pochylił głowę nabok, usiłując pochwycić wyrazy i ich znaczenia w ten sposób, jakby one dochodziły do niego z niezmiernego oddalenia. Zmysły jego były stępione, tak samo jak władze umysłowe.



Pani Julska usiłowała na nie podzia-  
łać, bez względu na to, jakie wrażenie  
wywołać mogła; wyrzekła więc znowu:

— Choroba pana zaniepokoiła mnie o  
naszą drogą Reginę.

Imię córki przedarło się do myśli  
umierającego, próbował przemówić.

Ale nsta jego wydały tylko urywane  
dźwięki, wśród których można było je-  
dnak rozpoznać imię córki.

I nagle, jakby dłuższe zatrzymanie  
myśli na tem imieniu pobudziło cały sze-  
reg wrażeń, głuchy jęk wyrwał się z jego  
piersi. Zrobił widoczne wysilenie i wymó-  
wił wyraźniej.

— Regina!

W głosie jego dźwięczał niespokój  
straszny.

— Czy mam ją tu przywołać? — spy-  
tała pani Julska.

Umierający wstrząsnął głową ener-  
gicznym przeczeniem, a zarazem ręką jego,

spoczywająca bezwładnie w jej dłoniach, ścisnęła je gwałtownie takim ruchem, jakim tonący ścisną rękę wyciągniętą ku sobie.

Pani Julska nie była zabobonna ani nerwową; przecież uścisk ten przejął ją dreszczem trwogi, jak gdyby to zimne ujęcie, niby już z poza grobu, pociągało ją z sobą. Wzdrygnęła się cała.

— Regina! — powtórzył jeszcze Jasiennicki — opuszczona... sierota!

Umilkł wyczerpany, ale wzrok jego zawisnął na matce Waława pytający, niemal błagalny.

— Och! — zawołała, odpowiadając mu słowami — możesz być o nią spokojny. Regina ma we mnie matkę.

A po chwili dodała nagle.

— Czy chcesz ażeby zaraz połączyła się z Waławem? To panu da spokój, a spokój to zdrowie.

Uścisk jego ręki stał się gorączkowy. Poruszał się na poduszkach, chcąc dopomóc słowu, które uwieźło mu w piersiach i nie mogło wydobyć się dźwiękiem wyraźnym

— Tak... ksiądz... ślub... umrę spokojny.

Uścisk ręki się rozwiązał, a wśród obumarłej twarzy oczy stały się wymownemi; wzrok zdawał się przynaglać, prosić, błagać, rozkazywać kolejną.

— Regina... Wacław.. ślub... — te słowa urywane, zaledwie usłyszalne, wymawiały drżące wargi chorego.

— Więc połączymy ich zaraz. Chory chce tego — rzekła, przywołując doktora.

— Wacław ma indult, poszlę po księdza proboszcza.

Pani Julska, wyrzekłszy to, odeszła od łóżka w głąb pokoju. Chciała posłać syna do proboszcza, który mieszkał w drugiej wsi, o małe ćwierć mili od Jasionnej. Ale Wacław, znużony, spał na szezłagu snem

młodości. Pocóż go miała budzić? Proboszcza znała dobrze: był to przyjaciel całej rodziny, wtajemniczony dokładnie w jej stosunki. Dostyc było przecież napisać słów parę.

Wzięła lampę, postawiła ją na biurku, odsunęła niepotrzebne sprzęty i zaczęła szukać papieru, w miejscu gdzie znajdował się zwykle — kiedy wzrok jej padł przypadkiem na list zmięty gwałtownie i plik papierów, widocznie noszący urzędowy charakter pozwów czy wyroku.

Co to mogło znaczyć? Podobne papiery nie pojawiały się nigdy w domu zamężnego właściciela ziemskiego, który posiadał znaczne kapitały, z nikim nie miał żadnego zatargu i wolał tracić sam, niżeli mieć spór sądowy.

Pani Julska nie znała języka, w którym napisane były urzędowe papiery, przyszło jej jednak na myśl, że papiery te mogły być w związku z listem zgniecionym



co przy nich leżał, a kto wie, może i z nagłą chorobą człowieka, cieszącego się dotąd doskonałym zdrowiem.

W innych okolicznościach pani Julska byłaby się zawahała przed podobnie niedelikatnym czynem, jak czytanie cudzych listów, lub nawet dotknięcie cudzych papierów. Interesa jednak, które tu w grę wchodziły, były zbyt ważne, podejrzenie jakie się w niej zrodziło zbyt niepokojące, ażeby zatrzymała się przed podobnym skrupulem. Pochwyciła go, wyprostowała zmiętą kartę i czytała.

List pochodził od jednego z przyjaciół i sąsiadów pana Jasiennickiego, który, jako radca towarzystwa kredytowego, mieszkał w mieście, a którego osobę i wiarygodność znała dobrze.

W miarę jak czytała, kolejną uderzały jej na twarz i schodziły spłomienne kolory tak gwałtownie, że zmiany te widne były nawet przy zielonem świetle lampy,

a ręce drżały tak, iż można się było lękać, by i ona także nie padła rażona apoplektycznym lub sercowym atakiem. List zawierał rzeczywiście piorunującą wiadomość, iż cały majątek, tak ruchomy jak nieruchomy pana Jasiennickiego, podlegał sekwestrowi, z powodu nieszczęśliwej spółki handlowej, która nietylko zbankrutowała, wskutek czego wszystkie kapitały rzucone w to przedsięwzięcie były stracone, ale której spółnicy firmowi odpowiadali prócz tego majątku za wszystkie niedobory. O bankructwie tem słyszała coś pani Julska. Było ono ogromne: nadużyto dobrej wiary i niedoświadczenia spółników i zmarnowano ogromne sumy; ale ponieważ nazwisko Jasiennickiego nie znajdowało się, jak mniemała, pomiędzy nazwiskami firmowemi, nie domyślała się dotąd, jak bardzo obchodziła ją ta sprawa.

Teraz, jak gdyby przepaść otwarła się nagle pod jej nogami, zerwała się od

biurka. Teraz rozumiała wszystko: nagła choroba Jasiennickiego, który tego ciosu przeżyć nie mógł, bezładne wyrazy jakie wymawiał, a wreszcie nawet owe słowa wypowiedziane przez starego znajomego, w chwili wręczenia indultu: „To pięknie, to szlachetnie z państwa strony,“ które pozostały jej w pamięci.

Cóż za szaleństwo niepowrotne gotowa była popełnić! Przecież nikt nie mógł żądać by to uczyniła i pozwoliła tym sposobem na zniweczenie syna. A jednak.. gdyby wzrok jej nie był padł na ten papier!

Gotową była widzieć w tym wypadku jawne wmieszanie się Opatrzności.

W tej chwili zapomniała zupełnie o umierającym człowieku, nad którym czuwać miała. Ale czyż można się było temu dziwić? Myśl jej zajęta była wcale innemi, stokroć ważniejszymi sprawami. Wiedziała że tu nie chodzi o nią, ani nawet o jej osobistą wolę, ale że wchodziły w grę

czynniki od niej niezależne: miłość dwojga młodych, słowo dane, potwierdzone nijako w tej ostatniej chwili indultem, o który wystarała się sama, wreszcie przyjazdem jej tutaj.

W tej chwili znienawidziła prawie człowieka, który dogorywał w tym pokoju. Wszakże to on, jego nieopatrzność, była powodem klęski jaka ją dotykała w najdroższych, tak pracowicie przeprowadzonych planach.

Wzrok jej padł na śpiącego Wacława. Na jego zbledzonej twarzy znać było znużenie tylko, ale nie było tam tego głębokiego rozdarcia, jakieby sprawić musiało nowe położenie, wytworzone majątkową katastrofą Reginy i koniecznością wyrzeczenia się jej. Widocznie on nie wiedział o niczem; Jasiennicki snadź zachował ruinę swoją w tajemnicy, albo też nie miał już czasu podzielić się tą smutną wiadomością.



Spojrzała na datę listu; pisany był przed sześciu dniami, a choroba trwała dni trzy. Pani Julska wszystko to obliczyła, odrachowała czas konieczny na dojscie listu i przyszła do przekonania, że ojciec Reginy grał względem jej syna rolę oszusta.

Oburzenie jej nie znało granic; z załamaniem rękoma chodziła po pokoju, tracąc nad sobą panowanie, które stanowiło główną cechą jej charakteru.

Zatrzymała się przed łóżkiem Jasienickiego i spojrzała na niego wzrokiem, w którym malowały się wszystkie nowe uczucia, zbudzone odkrytym faktem. Głowa jego była teraz nieruchoma, ale oczy zdawały się ją śledzić, jakby skupiło się w nich uciekające życie.

Przyszło jej na myśl, że on rozumie może w tej chwili co się w niej dzieje; ale myśl ta nie przeraziła jej bynajmniej. Wobec rozbicia nadziei wypiastowanych

od tak dawna, wobec położenia w jakim się nagle znalazła, wygasły w niej miększe uczucia, a przeciwnie odezwały się okrutne instykta. Nienawidziła tego dogorywającego człowieka i nie mogła litować się nad nim.

Oczy jego były w nią wlepione z dziwnym wyrazem. Malowały się w nich z kolei prośba, zdziwienie, trwoga, oburzenie i rozpacz.

Poruszał ustami, ale bez dźwięku; siłił się poruszyć, sięgnąć po coś, ale członki odmawiały mu posłuszeństwa.

Aż wreszcie ostateczne wysilenie.

— Regina. Regina.. ślub... — wyjąkał.

Te słowa do ostateczności doprowadziły kobietę.

— Ślub? — powtórzyła — nigdy... nigdy!..

Były to szalone, nieludzkie wyrazy. Któż sprzecza się z umierającym? Któż odbiera mu ostatnią pociechę i zasmuca

odchodzącą duszę? A jednak pani Julska to uczyniła. zanim zdołała wyrozumować swoje postępowanie, lub pohamować oburzenie.

Umierający nie mógł odpowiedzieć, tylko potoczył wzrokiem dokoła, jakby, kogoś szukał, jakby czegoś wyglądał; w oczach jego gasnących błyskała wielka łza i stoczyła się zwolna po stygnącej twarzy.

Ale wzruszenie to wyczerpało zaledwie tlejące życie; źrenica stała się szklistą, usta otworzyły się konwulsyjnie, chwytając uciekający oddech. Po chwili... skonał.

Pani Julska spoglądając na to szeroko rozwartemi oczyma, opamiętała się nagle i krzyknęła przerażona. Łza, tocząca się jeszcze po twarzy umarłego, zdawała się ją oskarżać.

Wacław zerwał się z szezlongu: nadbiegł doktor. Stało się to, co przewidywał. Ale pani Julska drżała całym ciałem

i czempredzej, wsparta na ramieniu syna, wyszła z tego pokoju, pełnego dla niej grozy nieopisanej. Wacław chciał zamknąć oczy umarłemu, w którym widział ojca; matka jednak, wstrząsana nerwowym dreszczem, trzymała ręce jego i nie pozwoliła mu oddalić się choćby na chwilę.

Regina spała snem kamiennym. Pierwsza myśl Wacława była o niej, ale któżby miał serce ją budzić? Nie mogła już odebrać ostatniego błogosławieństwa, ostatniego pożegnania, ani nawet ostatniego spojrzenia ojca; o nieszczęściu musiała zawsze dowiedzieć się aż nadto wcześnie i miała czas oplakać je przez długie lata sieroctwa.

W ciszy więc i bez łez rozpoczęło się w jasiennickiem dworze panowanie śmierci.



Na rozkaz doktora Wacław odprowadził panią Julską do pokoju zajmowanego przez nią zwykle, ile razy odwiedzała Jasionnę.

Pokój ten, zaciszny i wygodny, znajdował się po drugiej stronie domu za salonem, tak aby nie dochodził do niego gwar żaden i aby pani Julska mogła używać snu rannego, do którego przyzwyczajeni są mieszkańcy miast.

Pokój ten ustrojony był przez Reginę z trosliwością córki w to wszystko, co tylko wygodnem lub przyjemnem być mogło.

Służba liczna i znająca dobrze swoje obowiązki przygotowała go za przyjazdem pani Julskiej, nie czekając rozkazu, tak iż łóżko było posłane, świece paliły się przed toaletą, a nawet służąca Reginy była na zawołanie.

Pani Julska odesłała ją zaraz, ażeby czuwała nad swoją młodą panią. Wacław

wprawdzie nie chciał zostawić jej w podobnej chwili na łasce sług; ale Regina spała, a matka była w takim stanie rozdrażnienia, iż nie puszczała go od siebie. Z śmiertelnym niepokojem w sercu przykazał służącej, by nie dopuściła do niej wieści o śmierci ojca i za pierwszym znakiem przebudzenia dała mu znać natychmiast.

Był ponury i pogiębiony, serce jego pękało nad stratą Reginy i nad własną; przerażał go widok śmierci, z którą spotkał się po raz pierwszy tak nagle, tak niespodzianie. Zwrócony ku oknu, patrzył nieruchomie w głęboką kopułę nieba, biejącą ku wschodowi, na której gdzieniegdzie świeciły blade gwiazdy, zgaszone blaskiem księżyca.

Świat cały wydawał mu się teraz kirem powleczoney. Było mu straszno. Do tej chwili mógł trzeźwić się koniecznością, udawać siłę, by dodać jej ukocha-

nej; teraz miał ochotę rzucić się jak dziecko w objęcia matki i zapłakać, zapłakać jak poeta nad znikomością życia. Zdawało mu się, że ona także musi szukać jego uścisku, że wobec okrutnej śmierci żyjący powinni połączyć się silniejszymi jeszcze węzłami, większą jeszcze miłością, bo czuł że ona jedna mogła być balsamem na nędze tej ziemi. I zbliżył się do niej z wzbranem sercem.

Pani Julska siedziała nieporuszona, z głową wspartą na dłoni. A gdy on, przypominając sobie lata dzieciństwa, usiadł przy jej nogach na niskim taburecie i chciał głowę zmęczoną oprzeć na jej kolanach, odezwała się niespodzianie głosem ostrym, suchym, w którym nie drgało żadne ze smutnych ani serdecznych uczuć, przepelniających pierś jego.

— Waclawie, czy wiesz jaki był powód choroby Jasiennickiego?

Spojrzał na nią łzawemi oczyma, nie rozumiejąc ku czemu zmierzała, z wyraźnym zdziwieniem, z wyrzutem nawet.

Nie patrzyła na niego, nie widziała tego spojrzenia i wyrzekła znowu:

— Odpowiadaj że mi, czyż nie słyszysz?

— Powód choroby, powód śmierci — powtórzył ze zdwojonym smutkiem — wiedzą przecie o tem wszyscy. On padł ofiarą swojej dobrej wiary, swego dobrego serca, swojej uczciwości...

Słuchała go z przygryzioną wargą.

— Więc ty wiedziałeś o tej katastrofie majątkowej?

— Naturalnie! on przecież nie czynił z niej tajemnicy. Och! mamó, największą gwałtą jego było to, że zrujnował córkę, że posag, jaki jej dać zamierzał, pochłonięty został tem bankructwem.

Wspomnienie zmarłego wycisło mu łzy z oczu.



— I dlaczego — spytała znowu — nie doniosłeś mi o tem?

— Czyż nie doniosłem? — zapytał z kolei.

Wstrząsnęła głową przecząco.

— Wobec tak wielkiego nieszczęścia — mówił dalej Waclaw — wobec tej choroby, wobec śmierci cóż znaczyły majątkowe straty? Zapomniałem o nich.

Widać w nim było to szlachetne lekceważenie materialnych warunków bytu, o którym matka mówiła Teodozyi.

W tej chwili jednak lekceważenie to boleśnie zadrasnęło matkę. Nie był to właściwy czas do rozbierania spraw majątkowych: ale sprawy te były dla niej tak ważne i tak naglące, iż nie mogła powstrzymać się od zapytania:

— Czy można było przynajmniej coś uratować z tej ruiny?

— Cóż ratować, mamó? Nie wiem czy to było możliwe, ale to pewna, że pan Jasiennicki nigdy nie byłby próbował ura-

tować jakim bądź podstępem majątku, skoro wierzycieli spółki mieli do niego prawo. Uczciwość jego była bez zarzutu. Został oszukany, ale sam nigdy nie oszukałby nikogo.

Mówił to z rodzajem dumy, jednocząc się widocznie z zasadami tego, którego uważał za ojca. Honor jego obchodził go jak własny.

Doniosłość klęski przenosiła wszystko, co pani Julska wyobrazić sobie mogła. Wiedział że Regina nie posiada żadnego osobistego majątku.

— Jakto? — zawołała przygnębiona — więc...

— Regina nie ma nic, mamó, nic wcale, bo nawet sprzęty domowe lada chwila zajęte zostaną sądownie. Pozostanie jej tylko za całe mienie nieposzlakowane imię ojcowskie. Ależ nie sądzisz przecież, że bym ją dlatego mniej kochał?

Pani Julska milczała, patrząc z pogębieniem na swego jedynaka. Jakże on był pięknym w tej chwili! Z czoła przeglądała mu ta święta duma, ta prawdziwa rycerskość, która tak przystoi młodości.

— I ty, mamó — mówił dalej Wacław — ty, tak dobra, podwójnie teraz kochać będziesz ubogą sierotę. Przysiągłem jej to w twojem imieniu, bo ona dzisiaj podwójnie potrzebuje serca. Nieprawdaż?

Słuchała go w ponurem milczeniu i czuła niepodobieństwo powiedzenia mu wręcz: „ty nie możesz już ożenić się z Reginą.“

A jednak powiedzieć to musiała.

— Nieprawdaż, mamó — powtarzał Wacław, nie mogąc doczekać się słowa z jej ust — ty ją podwójnie kochać będziesz?

Domagał się odpowiedzi z natarczywością pieszczonego dziecka, które upo-

mina się o rzecz słuszną, dopóki pani Julska nie wyrzekła:

— Bezwątpienia, Waclawie, bo cóż ona temu winna?

— Ty nie możesz wyobrazić sobie, mamó — mówił młody człowiek, odzyskując żywość wrodzoną — jak ona była mężna w tych strasznych chwilach. Kiedy ojciec odebrał pierwszą wiadomość o nieszczęściu, które jak grom zważyło się na niego, kiedy bładź śmiertelnie rzucił list odebrany na stół i ze łzami w głosie zaledwie zdołał wymówić: „Jesteśmy zgubieni, Regino, straciłem wszystko!“ — ona, która śledziła z trwogą zmianę jego twarzy, rzuciła mu się na szyję, zaklinała, by się nie trapił, bo dopóki kogo ma kochać, nie nazwie się ani ubogą, ani nieszczęśliwą.

— A ty, Waclawie?

— Ja, matko — odparł, podnosząc głowę — mam zdrowe ręce i przysięgłem,



że dopóki żyję, niedostatek ani jemu, ani jej nie dokuczy.

Kobieta załamała ręce, a wargi jej poruszyły się jakimś słowem, które nie sformułowało się dźwiękiem.

Ale Wacław nie zważał na to i mówił dalej:

— On nas nie słuchał i powtarzał nieustannie: „Ja was zgubiłem, ja was zgubiłem!“ A przecież przekładaliśmy mu oboje, że szczęście niezależne jest od pieniędzy, że byle mieć czyste sumienie, można nie lękać się ubóstwa i pracy. Mamo, ty nie wyobrazisz sobie, jaką w tej chwili była Regina. Zdaje mi się że kochałbym ją od tej chwili więcej jeszcze, niż dotąd gdyby to było możliwe. Oczy jej były jeszcze pełne łez nad smutkiem ojca, a usta uśmiechały się, żeby go uspokoić. Wyglądała jak splakany promień słoneczny, jak kwiat nadziei, podnoszący główkę po burzy. Mówiła o przyszłości. Układała jak

będziemy mieszkali w dwóch skromnych pokojach na trzecim lub czwartym piętrze i mieć jedną sługę. Sama miała myśleć o ładzie w mieszkaniu, o naszej wygodzie; miała chodzić tylko w perkalikach i zaraz zrzuciła bareżową suknię i włożyła jaką miała najskromniejszą. A tak jej z tem było ślicznie, że pomyślał na prawdę: na co nam zbytki, na co nam ludzie? Im ciaśniej mieszkanie, tem bliżej będziemy siebie, im mniej będziemy ze światem, tem więcej ze sobą. A czegoż nam więcej potrzeba? Wszak o szczęście tak łatwo dla tych, co się kochają.

— Dzieci wy, — dzieci! — szepnęła pani Julska.

— Nie było w niej — ciągnął dalej Wacław — chwili wahania się, zniechęcenia, trwogi; myślała tylko o ojcu, bo prośby, zaklęcia i zamiary nasze nie mogły uspokoić go ani na chwilę. Pojechał do Lublina. Interesa wymagały tego, chciał się

przekonać jak rzeczy stoją, naradzić z prawnikami. Miał jeszcze nadzieję, że obrót sprawy nie będzie tak fatalny i powrócił — powrócił, ażeby paść w oczach naszych ofiarą moralnego cierpienia,

— Bo i cóż mu innego pozostawało?  
— wybuchnęła pani Julska.

Wacław spojrział na nią z najwyższem zdumieniem.

— Nie pojmuję cię, matko — wyrzekł z odcieniem oburzenia, które nie uszło jej uwagi.

— Och! ty tylu rzeczy nie pojmujesz jeszcze, Wacławie; życie nie pokazało ci dotąd nigdy twardych rzeczywistości swoich, nie domyślasz się jeszcze najelementarniejszej mechaniki jego. Pan Jasiennicki był pod tym względem daleko doświadczeńszy od ciebie i od córki. On zrozumiał położenie.

— Zdaje się, matko że i ja rozumiem je dobrze. Wiem jakie obowiązki ciężą dziś na mnie i, na Boga, podolać im potrafię!

— Jakim sposobem im podolasz? Czy wyobrażasz sobie, że ludzie ocenią cię według wartości i zasługi? Czyż nie wiesz, że skoro tylko zapotrzebujesz kęsa chleba zdobytego pracą własną, skoro będziesz musiał brać, nie rozdawać, i z pracodawcy zmienisz się w pracownika, spotkasz na każdym kroku współzawodnictwo, niechęć, zawiść, nieprzebierające w środkach?

— Tylu przecie ludzi pracuje i zdobywa sobie położenie.

— Ale ci ludzie mają umysł przebiegły, kark giętki i twarde pięści. Ci ludzie nie pytają czy potracą kogo, odepchną lub zdepczą. Ci ludzie nie są podobni do ciebie, Waclawie.

Patrzył na matkę zasmucony. Mógł jej zapytać czemu, wiedząc to wszystko, nie uzbroidła go lepiej do walki życia.



Przecież lękał się wypowiedzieć cokolwiek, coby mogło być podobne do wyrzutu.

A ona mówiła dalej, ze wzrastającą goryczą:

— Mówisz o obóstwie, o pracy, jak dziecko o żelaznym wilku; nie pojmujesz nawet znaczenia tych wyrazów. Ty, tak dumny, nie wiesz że począwszy od tych co zmierzają szyderczo twój paltot lub mniej modny kapelusz, od tych co śmiać się będą, gdy powstrzymasz się od jakiego wydatku, spotka cię na każdym kroku lekceważenie.

— Do lekceważenia nikomu nie dam prawa — zawołał zarumieniony — a podobne szyderstwa mnie nie dotkną.

— Szyderstwo zawsze dotyka. A czy będziesz obojętny na to także, gdy czyste złoto mądrości w twoich ustach zamieni się w plewę, gdy zdanie każdego głupca, choćby nie miał pojęcia o tem co mówi, przeważy twoje?

— A dlaczegóżby tak być miało?

Załamala ręce nad naiwnością tego pytania, zdradzającą tak wspaniałą nieświadomość.

— Dlatego, że tak jest — zawołała gwałtownie — dlatego że świat składa się z ludzi, którzy sami nie rozumieją, tylko idą za powagą, a powagę największą, niezakwestyjonowaną nigdy przez ogół, daje pieniądz, pieniądz i tylko pieniądz!

W innej chwili byłby z pewnością roześmiał się w oczy każdemu, ktoby mu powiedział podobne słowo. Teraz jednak do śmiechu było mu bardzo daleko. Słowa matki wydały mu się pesymistyczne, fałszywe, a pomimo to niewypowiedzianie drażniące. Chciał przerwać rozmowę, której powodu nie mógł zrozumieć w tej chwili, i biedz do Reginy; ale matka mówiła dalej:

— Tobie się zdaje, że powagę stanowią rozum, nauka, talent, stanowisko. Słyszysz

wokoło te wyrazy, a nie wiesz że są to najczęściej odmiany jednego wszechwładnego wyrazu — pieniądź. I niedziw. jest to wartość realna, która trafia do każdego przekonania, gdy tamte są nieujęte, więc chwiejne.

— Dlaczego mówisz mi teraz to wszystko? — wybuchnął Wacław tknięty uporem, z jakim powracała do tej kwestyi,

— Dlaczego? — powtórzyła — dlaczego? Ty tego nie pojmujesz? Położyła ręce na jego ramionach i pochyliła nad nim twarz zbladłą, w której oczy pałały gorączkowym blaskiem. Odwrócił wzrok, lękając się ją zrozumieć.

— Ty przecież nie sądzisz... — wyjąkał.

Nie dokończył zaczętej myśli; była ona tego rodzaju, że nie chciał jej zformułować słowem żadnem.

Ale pani Julska nie zważała na to; ręce jej wpiły się w jego ramiona.

— Chcę żebyś wiedział — szepnęła dobitnym głosem — że ruina Jasiennickiego jest pod każdym względem i twoją ruiną. Chcę żebyś się nie łudził... Nie ocalisz z niej nic... nie wcale!

Wypowiedziawszy te ostatnie słowa, pani Julska przechyliła się na poręcz fotelu, wybuchając spazmatycznym płaczem.

Wacław zerwał się przerażony, chcąc jej być pomocny. Pochwyił karafkę, nalał szkanke wody i podał ją matce.

Przerażenie jego było tem gwałtowniejsze, że pani Julska posiadała rozważną i chłodną naturę, że umiała nad sobą panować.

Powątpiewał o słuszności przewidywań matczynych, a jednak to dla niej musiały być pewniki, skoro wywołały niewidzialne u niej nigdy objawy rozpaczy. Teraz dopiero obecność i przyszłość zaciężyły nad nim siłą nieznanego dotąd cierpienia. Czuł że zagrażają mu rzeczy



najwięcej przerażające, bo nieokreślone. Był to rodzaj niebezpieczeństwa, przed którem bronić się nie umiał, i niezbyt energiczna natura jego, skazana tym sposobem na bezczynność, uległa jakiemuś beznadziejnemu odrętwieniu. Zdawało mu się, że pomiędzy nim a tem szczęściem, które jeszcze przed kilku godzinami było jego udziałem, roztwierała się przepaść jakaś i pochłaniała wszystkie nadzieje i marzenia. Zdawało mu się, że wszystkie słoneczne promienie zagasły mu w duszy, a pozostała jedynie na ich miejscu noc czarna. Matka była w takim stanie rozdrażnienia i rozpacz, że odstąpić jej nie mógł, a jednakowoż widział wszędzie przed sobą bladą twarz Reginy, która spała, nie domyślając się ostatecznych nieszczęść które jej groziły.

Sen jej był długi bardzo. Nasłuchiwał bacznie chwilami, czy nie przyjdzie pokojówka z wieścią jaką, lub czy nie

dosłyszcy ruchu z drugiej strony domu. Ale cisza była głucha.

Czuł jednak, że ciążyły na nim obowiązki niecierpiące zwłoki, że śmierć każda, choćby najstraszniej rozdarła serca żyjących, ma swoją stronę realną, wymagającą pewnych starań. Na niebie widne już były pierwsze promienie świtu.

— Mamo — szepnął, zbliżając się do niej — połóż się, odpocznij; ja muszę odejść.

Zaczął koleją wyliczać rozkazy jakie wydać musi, szczegóły pogrzebu, którymi trzeba było się zająć. Ale pani Julska nie słuchała go; wstrząsana nerwowem drżeniem, ścisnęła w swoich jego ręce, tak, iż wysunąć ich nie mógł, i powtarzała, ilekroć próbował to uczynić:

— Nie zostawiaj mnie, nie odchodź!

Zrozumiał, iż wszelkie słowa i przełożenia jego były daremne; nie zdawała się go słyszeć i powtarzała ciągle te jedne

wyraży. Musiał więc doczekać się tutaj pomocy jakiej, przyjscia kogoś komuby nad nią zostawić opiekę.

---

Kiedy przebudziła się Regina, pokój pogrążony był w półcieniu letniej księżycowej nocy. Sen jej był krótki, niespokojny, jak bywa zwykle wówczas, gdy znużenie ciała zwycięża palącą troskę. Sen podobny trwa zwykle dopóty, dopóki siły orzeźwione spoczynkiem nie odzyskają zdolności cierpienia. Zapewniono ją że obudzą ją natychmiast, za najlżejszą zmianą, zaszła w stanie chorego; widocznie więc nie wypadło nic, skoro sama otworzyła oczy. Przez chwilę nasłuchiwała, czy nie doleci jej ucha szmer jaki. Ale głucha cisza panowała w całym domu, cisza taka, jak gdyby ona była tutaj jedyną duszą żyjącą. Pokój jej oddzielony był od pokoju ojca tylko jadalnią. Dziwiła się, że nie

dochodził jej ztamtąd szmer kroków, lub jakibądź odgłos, świadczący, że ludzie czuwają.

Po chwili ta niczem niezmacona cisza zdała jej się nienaturalną, zbudziła jakiś niepojęty przestrah, z którego sama nie zdawała sobie sprawy. Potrzebowała zobaczyć jakąś twarz ludzką przyjazną, potrzebowała uczuć uścisk serdecznej dłoni, potrzebowała nadewszystko ujrzeć ojca i utonąć wzrokiem w tem zmienionem obliczu, na którym jednak każda myśl przytomna była zawsze objawem miłości dla niej.

Powstała szybko i udała się do ojcowskiego pokoju. W jadalni przygasła wiśząca lampa, do której zapomniano dolać nafty, i rzucała zaledwie mdłe, migotliwe światło na bliższe przedmioty, zostawiając w zupełnym cieniu dalsze zakątki.

Nie było tutaj nikogo; od ojca także nie dolatywał jej szmer żaden. Szła coraz



bardziej strwożona. W pokoju ojca paliła się zielona lampa na biurku, tak jak ją zostawiła; ale na szeszłagu koło niej nie było ani Wacława, ani doktora, którzy do tej chwili zmieniali się tu nieustannie. Zbliżyła się do łóżka; przy niem także nie było nikogo, chociaż pani Julska przyrzekła nie odstępować chorego i wykonywać wszystkie przepisy.

Co to miało znaczyć? Regina stanęła jak wryta, przejęta grozą nieopisaną. Głowa pana Jasiennickiego spoczywała na poduszkach, zwrócona ku ścianie, tak iż dojrzeć jej dobrze nie mogła.

Po chwili dopiero zbliżyła się na palcach i wstrzymując oddech, pochyliła nad ojcem. Serce jej uderzało gwałtownie, krew tętniała na ustach, czerwone płatki biegały przed oczyma. Pochyliła się i ujrziała rozwarte, bielmem zasłte źrenice.

Dotąd nie widziała nigdy śmierci, nie poznała jej strasznych znamion. Zdjęta

trwogą, stała przez chwilę jak skamieniała. Chciała krzyknąć — lecz nie znajdowała głosu, cofnąć się — nie miała siły. Wszystko wirowało jej w oczach i pół martwa osunęła się na dywan przy łóżku.

Łoskot sprawiony tym upadkiem nikogo nie zwabił. Cisza w domu była niezmacona, tylko zegar, wiszący w jadalnym pokoju, wydzwonił powoli godzinę.

Po chwili Regina odzyskała przytomność. Była ona zdrowa i silna. Opierając się na rękach, dźwignęła się z ziemi po łową ciała. I straszna rzeczywistość uderzyła jej myśl błyskawicą. Ten spokój, ta nieruchomość chorego, te oczy szeroko rozwarte, szkliste, bez spojrzenia — to była śmierć!

Drżącymi palcami dotknęła ręki ojca, zwieszanej ku ziemi. Ręka ta była sztywną i zimną jak lód. Jak szalona rzuciła się na nią i okrywała pocałunkami tę rękę, która już nigdy przytulić jej nie miała, i

te oczy przerażające w martwocie swojej, co niegdyś spoglądały na nią tak miłośnie. I ona nie odebrała ich ostatniego wejrzenia, nie słyszała ostatniego słowa tych ust ukochanych.

W tej chwili nie zdołała jeszcze odczuć całej goryczy swej straty; miała tylko niewypowiedziany żal do tych, co tak źle czuwali i nad nim i nad nią, co pozwolili jej spać, kiedy ojciec konał, i co tak nie-miłosiernie porzucili jego zwłoki, nie zadając sobie nawet trudu zamknięcia mu powiek.

Martwe ciało, które zwykle przejmuje żyjących trwogą i grozą, nie miało ich dla niej. Oparła czoło o krawędź łóżka i pozostała nieruchoma, w osłupieniu, jakie powoduje czasem cios gwałtowny.

Cały świat zniknął jej z oczu; czuła się samą jedną, opuszczoną od wszystkich, nawet od tych co byli najbliższymi jej sercu. Zdawało jej się, że niema już dla

niej ani przyszłości ani nadziei, ani miłości, ani nic z tego, co posiadała jeszcze przed kilku godzinami, że na całej ziemi należał do niej tylko ten trup zimny i że on zabierał z sobą do grobu wszystko, co ukochała.

Stała się koło niej jakaś niepojęta przemiana. Do tej chwili była celem wszystkich zabiegów, wszystkich starań. Pie-szczone dziecię ludzi i losu, uczuła nagle straszną próżnię, straszną samotność sierotwa i opuszczenia. A uczucie to było tak gorzkie, tak okropnie przygnębiające, iż wszystko na świecie wydawało jej się groźnym chaosem.

Już mdłe promienie świtu rozpraszały ciemność krótkiej nocy i przedmioty rysowały się wyraźniej wśród szarej pomroki, kiedy nagle usłyszała nad sobą głos dobrze znany, wymawiający z przerażeniem jej imię.

Usłyszała go, ale nie podniosła głowy; było jej tak, jak gdyby głos ten do-



chodził ją z dalekiej przestrzeni, z jakiegoś świata, do którego ona przestała należeć, który był dla niej już tylko wspomnieniem. A jednak on wstrząsał nią do głębi, cisnął łzy do suchych powiek i budził jakiś żal straszny, a bez nazwy.

— Regino! — powtórzył głos z namiętnym odcieniem — czy mnie nie słyszysz?

Nie mogła odpowiedzieć, ani uczynić ruchu żadnego. Przymknęła oczy, ogarniona sprzecznymi uczuciami i nie mogąc rozpoznać rzeczywistości od marzeń. Nie wiedziała czy żywy, czy umarły do niej przemawiał.

— Regino! — zadrżał głos najwyższym niepokojem i dwoje ramion opasało ją, gwałtem prawie unosząc z ziemi.

Nie otwierała oczu. Jeśli to był sen, to przynosił jej ulgę. Jak kwiat ścięty chyliła się w rękach Wacława, z głową opartą o jego ramię.

— Regino! Regino! — powtarzał tylko, nie mogąc zdobyć się na inne słowo. — Regino moja! Sądziłem że ty spisz spokojnie.

Wyniósł ją z żałobnego pokoju, położył na sofie i łamał ręce, widząc jej bezwładność.

— Przemów do mnie, spojrzysz przynajmniej — błagał, nie odbierając żadnej odpowiedzi.

Była posłuszną: otworzyła powieki. Spotkał znowu jej wzrok łagodny, ale teraz były w nim przepaście bólu.

Rzucił się na kolana, całował zdrętwiałe ręce, tłumaczył jakim sposobem nie było go przy niej, kiedy najczęściej potrzebowała kochającego serca.

Słuchała słów jego jak rzeczy nowej, jak słucha powracający do zmysłów dźwięków otaczającego świata. Więc nie była samą, więc pozostało jej coś jeszcze na ziemi.

Ale mowa jego nie budziła w niej dawnej otuchy. Pomiedzy nią a całym zewnętrznym światem rozpostarła się czarna zasłona smutku, rzucając kir swój na wszystko. Był to pierwszy owoc cierpienia.

Milczała ponuro, z szeroko otwartymi oczyma, z których nie zeszło jeszcze osłupienie boleści, oddając martwe ręce uściśkom jego.

— Powiedz, że mi przebaczasz — prosił Wacław namiętnie — powiedz to jedno słowo?

— Przebaczyć? powtórzyła bezdźwięcznym głosem. — Cóż ja ci mogę przebaczyć?

— Jam cię nie powinien był odstąpić.

Wstrząsnęła głową z dziwnym spokojem.

— Jesteś dobry — szepnęła — ale cóż ty możesz przeciw nieszczęściu? Straciłam ojca, a zdawało mi się że i ciebie straciłam także.

— Nigdy! — zawołał — nigdy, Regino moja! Jak mogła ci przyjść myśl podobna.

Patrzyła przez chwilę w oczy jego głębokim wzrokiem. Potem rzuciła mu ręce na ramiona, jakby chciała upewnić się tem ujęciem ukochanej istoty, że nie był to sen marny, tylko rzeczywistość. Ale ręce jej opadły po chwili.

— Trzymałam tak i ojca — wyrzekła — a pomimo to śmierć go zabrała.

Milczał, przestraszony słowami, które świadczyły więcej niżeli o rozpacz, bo o zupełnem zniechęceniu, i spoglądał na nią smutnie, nie znajdując słów odpowiedzi.

Myśl jej pracowała wyraźnie i cała istność zdawała się budzić z letargicznego odrętwienia, po długiej bowiem chwili pochwyciła ręce jego gwałtownie.

— Waławie! Waławie! — zawołała, wybuchając namiętym płaczem. — Nie odstępuj mnie, bo ja tego przeżyć nie potrafię!



Te łzy zupełnie były naturalne; dziwić im się nie mógł, przeciwnie, stanowiły one przełom boleści, wyrwały ją z tego martwego pokoju, który go trwogą przejmował.

— Regino! — wyrzekł z całą siłą przekonania — nie powinnaś nigdy przypuścić nawet myśli podobnej. Mnie z tobą nie rozłączyć nie zdoła. Pamiętaj o tem, pamiętaj zawsze!

Miała w niego oczy wlepione i rzecz dziwna, ta przysięga, której nie myślała zadać, zabrzmiała w jej sercu żalobnie. Dlaczego on jej mówił takie rzeczy, dlaczego zapewniał? Alboż ona wątpiła? Słowa jej ściągały się raczej do chwilowej nieobecności, niż do myśli rozłąki. Myśl podobna nie sformułowała się nigdy w jej głowie wyraźnie; mogła być tylko trwogą, przecuciem nieokreślonem. On zranił ją śmiertelnie, dodając jej kształt słowa, wypowiadając jasno to, czego lękała się wy-

powiedzieć samej sobie. Widocznie więc myśl rozłąki przedstawiała mu się już, skoro jej zaprzeczał. Może już stoczył walkę sam z sobą, może tylko nie chciał przygnębiać jej w tej chwili.

Regina jednak raczej odczuwała to wszystko, niż wypowiedzieć umiała. Patrzyła na niego smutno, żałośnie.

— Ty nigdy nie mówiłeś mi nic podobnego — wyrzekła wreszcie.

Mógł odpowiedzieć, że nigdy i ona także nie zaklinała go, by jej nie opuszczał; ale nie uczynił tego. Czuł dobrze że odpowiadał nie jej, lecz raczej myślom własnym, i pod jej spojrzeniem, któremu cierpienie nadało dziwną przenikliwość, rumieniec wystąpił mu na twarz.

I tak jedno obok drugiego patrzyli smutnie na wstający dzień, który zapowiadał się jako dzień bólu, ciężki do przebycia. On objął ramieniem jej kibić i ciśnął ją do siebie coraz bliżej, coraz silniej,

jakby chciał tym sposobem wlać w nią otuchę, której nie umiał dać słowami. Oboje zapatrzyli się w daleki horyzont, na blaski dnia, rozlewające się wesoło po widnokregu, budzące do życia uszpioną naturę, Ptaki otrzepały z piór swoich rosę nocną i rozpoczynały pieśń poranną; kwiaty wonią witały dzień nowy; gdziegdzie słychać było głos ludzki, nawołujący trzodę, tentent kopyta końskiego, albo ryk bydła wypędzanego z obory.

Powoli słońce, oswobodzone z mgieł porannych, rzucało złote promienie na przedmioty i tęczowymi blaskami odbijało się w kroplach rosy.

Wacław i Regina spoglądali na radosny brzask dnia letniego, na to wiekuiste urągowisko nieśmiertelnej natury wobec znikomości człowieka. Usta ich były ścięte, jakby oboje lękali się zranić wzajemnie słowem niebacznem, kiedy niespodzianie usłyszeli zbliżające się kroki.

Instyktowym ruchem ramiona ich się rozplotły; tylko ręka Wacława zatrzymała wyrywającą mu się dłoń dziewczyny. Do pokoju weszła pani Julska. Wprawmem okiem zmierzyła młodą parę i odgadła z łatwością scenę, jaka rozegrała się między nimi. Brwi jej się zbiegły. Stało się właśnie to, czemu pragnęła usilnie zapobiec; nastąpiło widocznie potwierdzenie dawnych przysięg, wobec nowych okoliczności.

Ujrawszy ją, Wacław podbiegł niepokojny, puszczać rękę Reginy, która bezwładnie zwisała ku ziemi.

— Sądziłem że spoczywasz, mamó — wyrzekł z troskliwością.

Nie odpowiadała nic, wstrząsnęła tylko głową. Reczywiście była niezmiernie bladą, a sine kręgi pod oczyma nabrały niemal czarnej barwy i rozpostarły się szeroko.



Pani Julska zbliżyła się do Reginy, która zapomniała jej powitać, i wyrzekła parę słów pociechy, ściskając ją według zwyczaju.

Uczyła wszystko co do niej należało; pozornie trudno było dopatrzeć w obejściu jej zmiany; a jednak Regina uczuła się niem zamrożona. Zmysły jej, zaostrome cierpieniem, nabrały nadzwyczajnej wrażliwości, stały się tkliwe na najlżejsze odcienie.

Pani Julska uścisnęła ją, jak to zwykła była czynić, ale sierota nie odczuła w jej uścisku tego serdecznego ciepła, tego prawdziwego współczucia, coby zdolne było stać się dla niej balsamem pociechy, coby pochwyliło ją za serce i rzuciło w objęcia kobiety, w której oddawna nauczyła się widzieć matkę.

Owa zasłona nieszczęścia, jaka rozpostarła się pomiędzy nią a światem całym, tutaj była gęstą, nieprzebitą; czuła ją

w każdym słowie, widziała w każdym spojrzeniu. A jednak było to coś niepodobnego do określenia. Pani Julska umiała panować nad sobą, była mistrzynią w sztuce władania głosem, ruchem, w sztuce cieniowania wyrażen, pieszczot, spojrzeń nawet; umiała dać do zrozumienia wiele bardzo, a przecież nie powiedzieć nic więcej nad to, co chciała. Niepodobna było określić, w czym leżała właściwie różnica jej obejścia; ale różnica ta była dotkliwą. Wczoraj, przy pierwszym przywitaniu, Regina czuła w jej piersi drgające macierzyńskie serce i mogła rzucić się na nie, jak córka szukająca ukojenia; dziś było to współzucie sztywne, urzędowe, które odpychało wszelkie wylanie.

Zwracała do niej wprawdzie wyrazy tkliwe, jak wczoraj; ale uleciała z nich wszelka woń serdeczna i dziewczyna uczuła odrazu, że miłość matki Wacława była rzeczą minioną, że oddalała się od niej

coraz bardziej w niedościgłą krainę przyszłości.

Tak rozpoczął się dla niej pierwszy dzień sieroctwa, dzień straszny. Dotąd myśl jej cała zaabsorbowaną była chorobą ojca; myśl i serce ważyły się pomiędzy trwogą a nadzieją; czas był wypełniony tysiącem drobnych usług i zajęć około chorego. Teraz troskę zastąpił ból niepowetowanej straty i ciężył na niej przez długi ciąg godzin, których nie przerywało żadne obowiązkowe zajęcie, a każda chwila straszną próżnię swoją przypominała tego, co wypełniał ją wczoraj jeszcze

Na Waclawa spadły wszystkie drobiazgowy zajęcia, nieodłączne od śmierci, które w podobnych chwilach przygniatają żyjących. Nie było z kim się niemi podzielić. Krewnych blizkich Jasiennicki nie posiadał, a przyjaciele, których miał niegdyś bardzo wielu, nie pokazywali się obecnie. Zresztą o cóż kłopotać się mieli? Regina

zostawała przecież pod opieką narzeczonego i jego matki; właściwszej ani troskliwszej znaleźć nie mogła. A przytem... szanowano jej boleść.

Szanowała ją i pani Julska tak dalece, iż sierota kilka dni, oddzielających śmierć od pogrzebu, przeżyła niemal samotnie w swoim pokoju. Od ciała ojca odstraszał ją tłum odwiedzających, należących do niższych warstw społecznych, ciekawość jaką wzbudziła i urzędowe słowa pociechy.

Pomiędzy nią a panią Julską chłód zwiększał się z chwilą każdą, tak iż po upływie dni kilku bez zamienionego przyjaznego słowa, dwie te kobiety stały się niemal zupełnie obce sobie.

Wacław był jednakowo troskliwy, myślał o niej, upominał by pamiętała o sobie, bo wszakże jej zdrowie było jego zdrowiem i życiem; ale zaledwie miał czas zamienić z nią słów kilka, gdy ktoś przychodził żądać jakiegoś rozkazu, zapytywał



o coś i odwoływał go w końcu. On oddawał ją opiece matki, błagał by jej nie odstępowala. Pani Julska jednak twierdziła, że obecność jej rozżalała więcej jeszcze Reginę, że samotność była dla niej najlepszą i najskuteczniej podziałać mogła na ukojenie smutku.

Nadszedł wreszcie dzień pogrzebu, który odbył się jak wszystkie tego rodzaju obrzędy. Zjechało się liczne sąsiedztwo, zebrali się księża z kilkomilowego obwodu, ustawiono w kościele parafialnym wysoki katafalk, otworzono grób rodzinny na cmentarzu i wśród szumnych mów pogrzebowych, wśród dźwięku dzwonów i pieśni żałobnych, oddano ziemi śmiertelne szczątki człowieka, który za życia posiadał przyjaźń ogólną, a po śmierci szybko został zapomniany, jak niemal każdy zwyczajony.

Przed pogrzebem jeszcze urzędnicy sądowi dopełnili zajęcia majątku, inwentarzy i wszystkich domowych sprzętów,

które zapełniały dom w Jasionnej. Pan jej atoli nie patrzył już na to i pogrzebiony został jeszcze wedle położenia społecznego, jakie przez całe życie zajmował.

Ostatni raz cug bułanych koni, który nie miał równego sobie w okolicy, zajechał do pana swego, zaprzężony do karawanu, i zawiózł go do rodzinnego grobu, gdzie miał spocząć obok liczego szeregu przodków. Ostatni raz liczny tłum gości zasiadł w wielkiej jadalnej sali, na stypie wywłaszczonego dziedzica. Ostatni raz stoły zasłane wykwintną bielizną, zastawione porcelaną, kryształami i srebrem, obsiedli przyjaciele, sąsiedzi, znajomi. Rzeczy te przed sprzedażą publiczną, dzięki względnoci urzędników i tymczasowego administratora, posługiwały tu po raz ostatni. W dniu tym także domownicy kończyli służbę swoją, ze śmiercią pana i upadkiem jego fortuny.

Ze wszystkich dni ubiegłych ten podobno najbardziej gorzkim był dla Reginy. Organizm jej dużo miał żywotności i zdrowia, fizyczne siły nie wypowiedziały jej posłuszeństwa; była zdolną odprowadzić ojca do grobu i nie cofnęła się przed spełnieniem tej ostatniej posługi.

Zesztywniała cierpieniem, z twarzą białą jak kreda, z postawą wyprostowaną, jakby nie chciała się dać ugiąć nieszczęściu, postępowała za trumną. Tłum otaczający zdawał jej się obcy, chociaż tłum ten składał się z samych osób znajomych.

Uzbroiła się na przyjęcie słów pociechy, które każdy czuł się w obowiązku wypowiedzieć; ale słowa te były tak błahе wobec jej bóleści, iż wydawały jej się szyderstwem. Uzbroiła się także przeciwko litości ludzkiej, bo ta ciążyła nad nią kamieniem; przeciwstawiła jej ostatni zbytek nieszczęśliwych — dumę. Tym sposobem do tej zapory, oddzielającej ją i tak już

od świata wesołych i spokojnych, dodała drugą, niemniej silną, a pochodzącą od niej samej.

Regina przyuczona była do roli, jaka jej teraz przypada w udziale; nie widziała, że jałmużnę serca, zarówno jak jałmużnę grosza, z pokorą przyjmować należy. Odpychała ją wymuszonym chłodem obejścia dlatego, że ta sercowa jałmużna daleką była od jej miary. Współczucie, jakie odbierała wobec własnej boleści, wydawało jej się obojętnością, a ona przed obojętnymi ukryć ją usiłowała, niby świętość przed świętokradztwem.

Ludzie jednak darzyli ją współczuciem według własnej swej miary i nie mogli być odpowiedzialni za to, że miara ta dorosć jej nie mogła. Zrażeni, woleli obwinić ją o brak serca, niż przyznać się, że nie umieli znaleźć do niego klucza. Ogół zwykle zaprzecza wszystkiemu, czego pojąć nie potrafi. Tak się i tutaj stało.



Przecież żałowano ją powszechnie, litujący się nad nią podzielili się na dwa obozy: zacnych i mniej zacnych. Pierwsi pochopni byli sądzić innych wedle siebie i byli przekonani, że Regina nie potrzebowała ani schronienia, ani opieki, gdyż wszystko to miała zapewnione u matki narzeczonego. Drudzy, także biorąc z siebie miarę, nie dowierzali zbyt mocno projektom utworzonym w dniach pomyślności; podejrzewali, że małżeństwo jej mogło nigdy nie przyjść do skutku i lękali się, by zajęcie się losem sieroty na nich nie spadło. I dlatego to liczne zgromadzenie tych wszystkich, których jakiebądź związki łączyły ze zmarłym, nie postanowiło o losie jego córki.

---

Kiedy Regina powróciła z cmentarza schroniła się do swego pokoju przed natarczywym tłumem, któremu zastawiono

stypę w jadalni. Teraz nie miała czasu oddawać się beczynnemu żalowi. Wiedziała że dom ten przestał być jej domem, że trzeba jej było porzucić go i szukać gdzieindziej schronienia. Więc cokolwiek z nią być miało, musiała przygotować się do opuszczenia Jasionnej, do opuszczenia jej czempredzej, bo każda chwila spędzona wśród tych ścian, które były świadkami jej szczęścia i miłości, stanowiła daremną męczarnię, dodaną do tylu innych.

Zawołała służącą i kazała pakować w kufry swoje rzeczy, sama zaś zajęła się porządkowaniem tysiąca przedmiotów, papierów, drobnostek, tak drogich marzycielskim dziewczętom, które gromadziła przez całe życie, nie myśląc by kiedykolwiek przyszło jej się z niemi rozstawać.

Z gorączkową gwałtownością otwierała szuflady stolików, szafek, biureczek, zapełniających dwa pokoje, dotąd przeznaczone na jej wyłączny użytek. Drobiazgi

tu pomieszczone miały znaczenie pamiątek, przywodziły jej do myśli kolejną mnóstwo chwil dzieciństwa, pierwszej młodości i tych ostatnich lat, które przeminęły niby sen rozkoszny.

Wszystko to może teraz było nad jej siły; ale ona nie zważała na to. Nie miała miłosierdzia sama nad sobą, targała własnem sercem, jakby chciała wyczerpać ból wszelki, lub upoić się nim do szaleństwa, do omdlenia.

Z odległych pokoi dochodził ją gwar głosów, brzęk talerzy i kieliszków, a nawet nieraz, ponieważ nie było przy stypie zapłakanych twarzy, i wybuch głośnego śmiechu, który zabrzmiewał wśród żalobnego domu i napełniał grozą Reginę, drażniąc ją żywem przypomnieniem obojętności świata i zupełnego zapomnienia o jej istnieniu.

Była pogrążona w zajęciu swoim, czy w bolesnych rozpamiętywaniach, gdy

zastukano do drzwi dyskretnie i po chwili weszła pani Julska.

Młoda dziewczyna nie spodziewała się jej zobaczyć. Od śmierci pana Jasiennickiego stosunki pomiędzy nimi chłody w ten sposób, iż zaledwie zamieniały konieczne wyrazy. Błady rumieniec wybił się jej na twarz, serce uderzyło gwałtownie i dawnym zwyczajem wrywało się do kobiety, którą kochać nawykła. Ale pomiędzy myślą a spełnieniem tej chęci stanęła pamięć wszystkich zimnych spojrzeń i konwencyonalnych wyrazów. Powstała tylko z miejsca swego i osłupiała, niepewna, spoglądała na wchodzącą, jakby pytała co jej przynosi.

Pani Julska za pierwszym spojrzeniem zrozumiała zajęcie Reginy. Zwykłym mierzoną, falistym krokiem zbliżyła się do niej i uścisnęła ją. Pomimo tego serdecznego pozoru, uścisk był aktem urzędowym raczej, niż pieśczętą. Sierota uczuła



ten odcień i oczekiwała w milczeniu, do czego zmierzał.

Pani Julska obejrzała się w około. Elżbietka, służąca Reginy, pilnie składała rzeczy w sypialnym pokoju, czasami tylko zapytując o rozkazy. Pani jej znajdowała się w saloniku przed biurkiem; wzięła ją więc i zaprowadziła w głąb pokoju na kanapkę, stojącą w framudze od okna, gdzie rozmowy ich ciekawe ucho pochwycić nie mogło.

— Przygotowujesz się do drogi? —  
wyrzekła wreszcie po chwili.

Słowa te nie były zapytaniem, miały raczej służyć za wstęp do dalszej rozmowy. Ale wstęp okazał się daremny, Regina bowiem odpowiedziała prostem skinieniem głowy.

Pani Julska odchrząknęła. Jakkowiek wprawna była w omówienia różne, jakkolwiek umiała władać spojrzeniem, ruchem, słowem, to co miała do powiedzenia przed-

stawiało niejake trudności, nawet dla jej wysokiej dyplomacyi.

Regina była blada, poważna.

— Tak, zostać ci tutaj niepodobna — zaczęła pani Julska. — Myślałam długo nad twoją przyszłością.

Wyrazy te mogły się wydawać bardzo dziwne w jej ustach, przecież nie zdziwiły Reginy; ona czuła je już od dni kilku w powietrzu. A jednak nie wysłuchiwała ich bez bólu. Rozbrzmiały one żałościwie w jej sercu, jak echo pogrzebowe dzwonu, który chociaż nie jest śmiercią samą, stwierdza jej istnienie. Dziś więc wszystkie młode nadzieje życia pogrzebione przez nią być miały.

— Tak jest — mówiła dalej pani Julska, kładąc rękę na jej ramieniu, zwykłym sobie macierzyńskim ruchem — zastanawiałam się nad twoją przyszłością.

Regina wzdrygnęła się pod tem dotknięciem i pod wrażeniem jej słów. Mogła

wprawdzie wykrzyknąć: „alboż przestałam być tą, którą kochałaś i nazywała córką?“ Mogła powołać się na prawa swoje, na sieroctwa i na nieszczęście. Przecież nie uczyniła tego. Bolesć i duma zamknęły jej usta.

Przyszło jej na myśl, że miała na palcu zaręczynowy pierścionek Wacława i nie zastanawiając się co czyni, zdjęła go i położyła w milczeniu na hebanowym stoliku, przed jego matką. Była to jedyna odpowiedź, jaką dać mogła. Potem spojrzała na nią wzrokiem, w którym iskry świętego oburzenia paliły się mgłą łez przyćmione. Sądziła, że przygniecie panią Julską gromem tego spojrzenia, że rzuci jej przynajmniej to, czem uciśniony i nieszczęśliwy jedynie pomścić się może — pogardę. Ale kobieta nie okazała ani zdziwienia, ani wstydu, ani zgoła żadnego z uczuć, które postępek Reginy powinien był wywołać. W milczeniu wyciągnęła białą rękę, wzię-

ła pierścionek, w którym oprawiony brylant połyskał tęczowymi ogniami, i spoglądała na niego ze smutkiem. A smutek ten zapewne nie był udany. Westchnęła z głębi piersi:

— Los okazał się bardzo okrutnym dla ciebie i dla Wacława.

— Dlaczegoż mieszasz pani w tę sprawę swego syna? — zawołała Regina, odnajdując w znękanem sercu niespodzianą energię.

Ale w tej chwili miękka i silna zarazem reka pani Julskiej spoczęła na jej ramieniu i łagodną przemocą posadziła ją na dawnem miejscu.

— Czy sądzisz, że ulegając konieczności — spytała cichym, przejmującym głosem, jakim w potrzebie przemawiać umiała — Wacław mniej cierpi od ciebie.

Regina przestała panować nad sobą.

— Gdyby cierpiał, to któżby go zmuszał? — krzyknęła.



Na ustach kobiety zarysował się uśmiech pełen litośnego współczucia.

— Kto? — powtórzyła dobitnie — świat, jego prawa i stosunki, to wszystko co dzieci, jak ty, Regino, znają zaledwie z nazwiska i lekceważą, bo nie pojmują.

— Dość, pani — szepnęła — ja nie żądam tłumaczeń, nie mam do nich prawa ani chęci. Pani i syn twój czynicie to, co wam się stosownem wydaje. Wolno mnie toż samo uczynić.

W tej chwili wzrok jej padł na błękitną chusteczkę, wyrobioną ręką pani Julskiej i na kosztowne podarunki, przywiezione przez Wacława, które wraz z innymi rzeczami leżały na łóżku. Pochwyliła je drżącą ręką.

— Rzeczy te — wyrzekła urywanym głosem — przysłane mi były od matki. Ja nie mam matki i nie miałam jej nigdy. Zaszła tu omyłka, z której korzystać nie będę.

Ale tutaj zawiodły ją siły. Przedmioty wypadły jej z ręki i potoczyły się na ziemię, a ona sama zakryła twarz dłonią, ażeby nie pokazać łez, które pomimo woli wytrysnęły z jej oczu. Przez chwilę mowiała się sama z sobą, usiłując pokonać wzruszenie. Ale usiłowania te były daremne: padła na krzesło i przyciskając rozpaczliwie obie ręce do czoła, łkała gwałtownie.

Nie mogła darować sobie tej słabości, nienawidziła się za nią, nienawidziła tem więcej, że uczuła jak opasały ją ramiona pani Julskiej. Bronić jej się nie mogła. A głos łagodny i stłumiony, pełen umiejętnych modulacyj, rozbrzmiewał w ciszy tego pokoju.

— Uspokój się, moja biedna Regino, nie kryj łez; masz do nich prawo. Czy sądzisz, że mogę ci je brać za złe, ja, co sama płaczę nad wami? Ale żadne łzy, żadne cierpienia zmienić tego co jest nie

są w możności. Zły los rozdziela najsilniej spojone serca i on to, on, nie żadne wyrachowania i nizkie pobudki, staje pomiędzy wami. Życie nie jest sielanką; opiera się ono na twardych realnych warunkach, których lekceważyć nie można. Niestety, pojmował to dobrze twój ojciec, skoro nie przeżył swojej ruiny. Nie odpychaj dobrych rad i szczerzej przyjaźni mojej.

Mówiła to z całym zaparciem się kobiety, niesłusznie obrażonej słowami wyciśniętymi żalem. Zamiast ugiąć się pod brzemieniem widocznej pogardy Reginy, zręcznie przeistoczyła rolę i stanęła na stanowisku spotwarzonej niewinności. Zamiast potrzebować przebaczenia, sama udzielała je wspaniałomyślnie. Przemawiała z taką godnością i pewnością siebie, iż Regina zawahała się w swoich oskarżeniach i zapytała samej siebie, czy cierpienie nie uczyniło jej niesprawiedliwą, czy

miała prawo ją winić. Przecież ona nie była do tyła bezczelną, by podnosić czoło wbrew oczywistości. Musiała czuć się we własnem przekonaniu niewinną.

Pani Julska skorzystała w tej chwili wahania i mówiła dalej swym łagodnym głosem :

— Być może iż nie jest to pora mówić o koniecznościach życia, ale nie mamy wyboru. Daruj mi, jeśli sprawiam ci przykrość.

Nie mogła odpowiedzieć; skinęła tylko, prosząc by mówiła dalej. Słowa te sprawiły jej rodzaj gorzkiej ulgi. Woląla obwinić układ społeczny, świat, ludzi, samą siebie wreszcie, niżeli tych których kochała.

— Daruj mi — wyrzekła jeszcze raz pani Julska, biorąc w swoje jej ręce, jak doktor chcący w czasie bolesnej operacyi nie spuszczać z uwagi pulsu chorego —



daruj jeśli ci się wydam szorstką i nie-miłosierną...

— Mów, pani, mów — szepnęła zaledwie słyszalnym głosem.

— A więc posłuchaj mnie. Kwestye majątkowe są podrzędne jedynie w oczach dzieci lub marzycieli, nie mających pojęcia o życiu. Pieniądz jest najsilniejszą dźwignią naszego wieku; możemy się na to oburzać, ale nie zmienimy rzeczy. Pieniądz to potęga: można jej do najszlachetniejszych, jak i do niskich celów używać; ale szalony jedynie wyrzeka jej się dobrowolnie, skazując się na życie bezsilnych pragnień i bezowocnych usiłowań. Czy mnie pojmujesz?

Nigdy z tej strony nie przedstawiono jej kwestyi pieniężnej; miała o niej dotąd gotowe konwencyonalne pojęcie istoty, której niczego nie braknie i która może pozwolić sobie na wszystkie zbytki — nawet na zupełną bezinteresowność.

— Czy mnie pojmujesz? — powtórzyła dobitnie pani Julska, wpatrując się w nią.

— Tak jest, pojmuję — odparła, wskazując zaręczynowy pierścionek leżący na stole. — Pierścionek ten nie był danym mnie właściwie, tylko wartości pieniężnej, jaką przedstawiałam. To też nie zachowuję rzeczy, do której straciłam prawo.

Te gorzkie wyrazy nie obraziły kobiety. Wstrząsnęła głową ze smutną rezygnacją.

— Kiedyś, Regino — wyrzekła — pomysłisz o tem wszystkim sprawiedliwie. Dziś żądać tego nie mam prawa. Ale ty wiesz dobrze, iż majątek nie stanowił wartości twojej, że nie nazwałabym córką najbogatszej nawet kobiety, gdyby nie posiadała serca, rozumu, wykształcenia, jakie są twoim udziałem.

Mówiła to z przekonaniem, którego jednak Regina uznać nie mogła.

— A jednak — wybuchnęła — miłość jest niczem, wszystkie warunki są niczem, tam gdzie chodzi o pieniądze.

Usta jej drżały szlachetnem wzruszeniem, oczy płonęły, a ręce nerwowym ruchem szarpały chustkę mokrą od łez, którą trzymała w ręku.

Sądziła że tem brutalnem scharakteryzowaniem faktów wywoła protest pani Julskiej, lub chociażby złagodzenie wyrazów. Stało się jednak przeciwnie. Jasnobłękitne jej oczy utkwione w nią były z jednakim, spokojnym smutkiem, z jednakiem postanowieniem niezachwianem. Zamiast zaprzeczać Reginie, powtórzyła jej przeciwnie:

— Dziwnie trafne znalazłaś wyrażenie. Tak jest, moje dziecko, mówmy otwarcie, bo i na cóż ludzi się mamy? W oczach świata wszystkie przymioty rozumu, serca, charakteru mają swoją wartość, ale nakształt zer mają ją wówczas tylko, gdy

pieniądz przed nimi cyfrę swoją stanowi. Jest to źle, jest to haniebnie; ale musimy się poddać temu co jest, bo tego zmienić nie potrafimy.

— Więc cóż mają czynić ci, co tego pieniądza nie posiadają? powiedz mi pani to przynajmniej. Czy pozostaje im tylko umrzeć?

— Regino, nie ja wytworzyłam to położenie. Uważasz mnie za okrutną, bo rzeczy po imieniu nazywam.

— Wszak nie czynię pani wyrzutów. Jest to tylko pytanie, które ja, nieświada i szalona, zadaję osobie tak biegłej w sprawach tego świata.

— Chcę przede wszystkim byś zrozumiała, w obecnych okolicznościach małżeństwo twoje z Wacławem byłoby zarówno nieszczęściem dla niego jak i dla ciebie.

— Dla mnie? — wybuchnęła, mimowolnie doprowadzona do ostateczności temi słowami.



Opamiętała się przecież szybko; palący rumieniec wybił jej na twarz.

— Nie o to chodzi teraz — wyrzekła po chwili zdławionym głosem. — Wszak oddałam pani pierścionek, wszak nieszczęście to nie zacięży nad Waławem. Czy masz pani w zapasie jakąś radę dla mnie? Czekaam na nią.

— Nie wiem czy będziesz mogła wysłuchać jej teraz spokojnie — odparła niezrażona tą gwałtownością — ale zrozumiesz kiedyś, że przemawiam do ciebie po macierzyńsku... Położenia wytwarzają konieczności, jakkolwiekbyśmy się na nie oburzali. Ubogie dziewczyny powinny starać się o bogatych mężów.

— Jak ubodzy mężczyźni o bogate żony? Nieprawdaż?

Mówiła to urywanym, szyderyczym tonem. Ale pani Julska odparła smutnie, wznosząc oczy do góry:

— Wierz mi, nigdy boleśniej jak w tej chwili nie uczułam ubóstwa Wacława. Och! gdyby on miał majątek, jakże bylibyśmy wszyscy szczęśliwi!

Być może iż w podobnym razie teorye jej byłyby inne. Ludzie najczęściej wytwarzają je sobie według potrzeby. Teraz jednak mogła wierzyć naprawdę, iż w tym wypadku postąpiłaby tak, jak mówiła.

— Szczęście Wacława — ciągnęła dalej — moje i twoje własne, sama teraz masz w ręku.

— Ja? — zawołała z największem zdziwieniem.

— Tak jest, ty sama, Regino. Czy sądzisz, że syn mój byłby zdolny cię porzucić w nieszczęściu, zerwać zamierzone małżeństwo, dlatego żeś wszystko straciła? Nie, ty go o to posądzić nie możesz.

Przed oczyma Reginy robiło się nagle jasno i ciemno naprzemian. Doznała nie-

pojętej ulgi, bo te słowa przekonały ją, że w rozmowie obecnej Wacław nie miał udziału. Sąd pani Julskiej mógł nie być jego sądem, jej postanowienie jego postanowieniem. Było to rzeczą niepodobną, by on tak chłodno, tak obojętnie zapatrywał się na ich przyszłość, tembardziej niepodobną, że ta kobieta żądała, by ona sama jej się wyparła. W imię czego ona żądać tego mogła?

Pani Julska odpowiedziała na tę myśl niesformułowaną jeszcze wyrazami, jak gdyby wyczytała ją w jej twarzy.

— Ty sama, Regino — zawołała — ty jedna uczynić to możesz. Tyś powinna przekonać go, że niewolno wam upierać się dzisiaj przy dawnych zamiarach, jakkolwiek one drogie były sercu waszemu.

Wstrząsnęła głową. Nie mogła przemówić; zanadto wiele wyrażen targало jej sercem, Czuła to jedno teraz, że była jeszcze kochaną, że pośród burzy losu, któ-

ra nią wstrząsnęła, kwiat miłości ostał się nietknięty. W innej chwili to samo poczucie byłoby dla niej szczęściem największem; w tym dniu żałoby niesło jej ono w każdym razie niewymowną pociechę. Odetchnęła z głębi piersi, ale nie znajdowała odpowiedzi na słowa pani Julskiej.

Ona też nie przestawała na nich i wymownie malować zaczęła położenie człowieka obarczonego rodziną, którego los zmusza do walki o byt powszedni. Starada się zedrzeć z jej oczu zasłonę niewiadomości, pokazać jej świat nieznany, świat twardy, okrutny, i bolesną dolę tych, co wśród niego drogę sobie torować musieli.

Młoda dziewczyna miała powody nie dowierzać pani Julskiej, a przecież obrazy jakie ona kreśliła przed nią miały taką cechę prawdy, iż zachwiały jej niedowierzaniem.



Przedstawiała jej ubóstwo z moralnej, upokarzającej strony, zwykle najmniej pojmowanej przez tych, co go nie zaznali.

Naraz przypomniała sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszała lub czytała o ubóstwie zabijającym powoli miłość, szczęście i zgodę małżeńską, i przeszły ją zimne dreszcze na myśl, że to stać się mogło z nią i z Wacławem.

Serca ludzkie mają swoje logikę tajemniczą, różną bardzo od tej, jaką świat rzadzi się zwykle. Przed chwilą Reginie zdawało się, że niema już nic do stracenia, że stoczyła się w przepaść rozpaczy. Teraz, gdy zrozumiała że z rozbicia ocalał dla niej najkosztowniejszy klejnot — miłość Wacława, stała się o ten klejnot podwójnie zazdrośną i wołała narazić się na życie cierpienia, tęsknoty i sieroctwa, niż widzieć jak ten kwiat miłości więdnie i opada w jej rękę.

Oczy oschle już z łez, a błyszczące gorączką, zwróciła ku pani Julskiej. Nasunęła jej się myśl nowa. Kiedy przed kilkunastu dniami ojciec zapytał ją półżartem, co uczyniłaby w razie, gdyby jaki zły los rozdzielił ją z Wacławem, odpowiedziała mu bez wahania: „umarłabym.“ Cóż teraz spotkać ją mogło gorszego? Czyż śmierć nie była ostatecznym kresem, do którego zmierzają wszyscy? Czy wiązała ją jeszcze do życia nadzieja jaka? Czuli, że rozstania z nim przeżyć nie zdoła; ale nawet rozstanie to przenosiła jeszcze nad utratę jego serca. Jeśli przeznaczoną była na ofiarę, jeśli miało się nad nią spełnić przekleństwo losu, wolała pozostać w pamięci ukochanego jako sercowe marzenie, jako niedościgła nigdy kochanka, niż jako ofiara obojętności.

Były to szalone myśli, a jednak zapanowały samowładnie w jej rozgorączkowanej głowie. Pani Julska zapewne nie

pojmwował ich wątku, ale z właściwą sobie zręcznością spostrzegła, że zachwiała postanowienie Reginy, że pierwotne oburzenie jej ustępowało zwolna i ze skłonnością była teraz uczynić to, czego żądała. Podwoiła wymowy.

Dziewczyna słuchała w milczeniu ze stanowczością, cechującą ją zwykle, i niewiadomo jaką dałaby odpowiedź, gdy męzkie kroki, szybkie, niecierpliwe słyszeć się dały i Wacław stanął na progu.

Dziedziniec opróżnił się z karet, powozów, bryczek, które napełniały go dzień cały, i tylko ziemia zryta kopytami końskimi świadczyła, że był tutaj zjazd liczny. Wielkie komnaty dworu stały pustkami; służba sprzątała resztki stypy, której woń mieszała się z wyziewami kadzidła, jakim pokoje wszystkie były przepełnione.

Skoro wyjechał gość ostatni, Wacław któremu w żalobnym domu przypadła rola gospodarza, odetchnął głęboko. Skończyło

się wszystko, co zatrzymało go tutaj; mógł już zabrać Reginę wraz z matką i uwieźć ją daleko od smutnych obrzędów i wspomnień, mógł wreszcie poświęcić jej się zupełnie, mógł zacząć pracować nad odbudowaniem tej przyszłości, zburzonej nagle podmuchem nieszczęścia.

Szukał Reginy. Widząc ją z matką, uśmiechnął się jak człowiek, który spotyka razem istoty ukochane, i biegł ku nim z pospiechem — gdy nagle przypomniał sobie wszystko, co zaszło pomiędzy nimi. Spojrzał na matkę z uwagą i pierwszą rzeczą, jaka uderzyła wzrok jego, był zaręczynowy pierścionek leżący na stole.

Któż śmiał bez niego dotykać najważniejszych zagadnień jego losu i serca? Kto śmiał ten pierścionek zdjąć z palca Reginy? Jak ona oddać go mogła w inne ręce niż w te, które go jej włożyły? Pochwycił go i podniósł w górę ku jej oczom,



a ruch ten był tak wymowny, iż nie potrzebował komentarza.

Pani Julska zbladła. Nie rachowała na tak wczesną interwencją. Wobec jasnej, otwartej twarzy narzeczonego, wobec świętego oburzenia płonącego w jego oczach, Regina uczuła się winną i spuściła oczy. Tak, ona zwątpiła o nim, o jego czystej miłości i niezachwianych zamiarach.

Była chwila ciszy, a wśród niej te dwa młode, szlachetne serca, uderzające jednozgodnie, porozumiewały się wzajem; promienie wzroku tworzyły pomiędzy nimi atmosferę, w której drgała tajemnica najskrytszych, najprzelotniejszych uczuć.

— Regino! — zawołał wreszcie głosem pełnym serdecznych wyrzutów i próśb namiętnych — Regino!

Stała przed nim zapatrzona, zapominając o wszystkim. Pierwsza czysta, nieskalana miłość, będąca treścią jej istoty, odezwała się w niej wszechwładnie. Chwytała

szlachetne dźwięki głosu, który w tej chwili rozbrzmiewał dla niej melodyą nieskończonej słodyczy. Nie było już trudności, strat, postanowień rozpacznych, nie było czarnej przyszłości. Wszystko to znikło przed blaskiem jego spojrzenia, niby gorączkowe widma nocy wobec promieni słonecznych.

— Regino! — powtórzył jeszcze, zbliżając się do niej.

Pochwycił jej rękę i napowrót włożył na palec pierścionek, który z niego zdjęła. Nie opierała mu się, nie mogła nawet myśleć o oporze; oczarowana, zachwycona, wyczerpana... zamknęła oczy. Świat cały wirował przed nią. Byłaby upadła, gdyby nie podtrzymało jej jego ramię.

Cała dyplomacya pani Julskiej zniweczona została tą jedno chwilą; miłość okazała się silniejszą niż podejrzenia i trwogi, jakie w sercach obojga zaszcześcić usiłowała. Spoglądała na to nieme pojedna-

nie, wymowniejsze od słów tysiąca, zamysłona ponuro. Bronź jakiej użyła obracała się przeciwko niej. Cóż teraz uczynić miała.

Ale pytanie to nasunęło się nie jej tylko, uczynił je także w myśli Wacław, który pierwszy raz w życiu ujawszy własną ręką ster swego losu, próbował stanąć na wysokości położenia. Regina tutaj pozostać nie mogła, a jeśli matka jego odmawiała jej schronienia w swoim domu, cóż miał uczynić?

Ona pierwsza uczyniła mu zapytanie, dokąd ma się udać.

— Dokąd? — zawołał Wacław, zwracając się ku pani Julskiej. — Wszak dom nasz powinien być jej domem. Nieprawdaż, matko?

Pani Julska milczała, a ręka Reginy, która pozostała w jego uścisku, drżała. Im milczenie trwało dłużej, drżenie jej

stawalo się silniejsze, aż wreszcie zawołała głucho:

— To być nie może! Wszystko co chcesz, Wacławie, byle nie to!

Młody człowiek przez chwilę spoglądał na nią, pragnąc zdać sobie sprawę dokładną ze znaczenia tych słów. Nie patrzył na matkę. Po raz pierwszy w życiu był pomiędzy nimi rozdźwięk, w sercu rodziło się przeciw niej oburzenie, którego jednak pokazać nie śmiał.

— Regino — wyrzekł wreszcie — pomiędzy tobą a mną nikt stanąć nie może, pamiętaj o tem. Pierścionek ten ja ci włożyłem na palec, mnie więc jednemu oddać go miałaś prawo. Jeśli znalazłaś niechęć tam, gdzie powinna być miłość jedynie, jeśli czyje serce sprzeniewierzyło ci się w nieszczęściu, ja za to odpowiedzialnym być nie mogę.

Mówiąc to, obejmował ją ramieniem, jak gdyby dla obrony.



— Wszystko co chcesz, Wacławie, byle nie to — powtórzyła Regina. — Ja nie chcę być ciężarem ani tobie, ani nikomu.

— Ty ciężarem! — zawołał gwałtownie. — Zkąd mogła przyjść ci myśl podobna?

— Ubogi jest zawsze ciężarem. Nieszczęście szybko nauczyło mnie tej prawdy.

Mówiła to z goryczą, która przez te dni próby nagromadziła się w jej sercu i wreszcie wybuchnąć musiała; mówiła z uczuciem godności własnej, tak strasznie poniżonej przez panią Julską.

Wacław stał osłupiały. Słowa jej raniły go boleśnie, tem boleśniej, że w głębi ducha czuł się tutaj współwinnym. Chciał stanąć w obronie swojej i swojego szczęścia; ale ona go nie słuchała. W jej dumnym, nieopatrzonym sercu rodziło się postanowienie niezłomne, którem chciała pogodzić sprzeczne targające ją uczucia.

Nieszczęście nauczyło ją nietylko znaczenia ubóstwa, ale wielu bardzo innych rzeczy. Było to pierwsze dotknięcie twardego dłuta, którem świat-rzeźbiarz urabia ludzi, pierwsze kroki przeciw prądowi.

— Regino! — wyrzekł wreszcie Wacław — będziemy mieli czas później mówić o przyszłości naszej, o wspólnej przyszłości — dodał z przyciskiem — bo dla mnie inna nie istnieje. Przysięgnij mi, że nigdy nie zdejmiesz z palca tej obrączki, która jest godłem miłości naszej!

Słuchała go, jak gdyby powtarzała w myśli każde wyrzeczone przezeń słowo, aż wyrzekła za nim uroczyście:

— Przysięgam ci to!

Pani Julska pozostawioną była zupełnie na boku. Zrozumiała ona od razu, że tutaj jakakolwiek interwencya z jej strony, zamiast pożądanego skutku, mogłaby wprost sprzeczne z jej pragnieniem postanowienie wywołać.

Milczała, nie dając oznak gniewu ani żalu. Nie należała do tych, co dziwią się czemukolwiek na świecie, ani do tych, co chowają urazę za porażkę. Wacław był tak piękny w tej chwili, z oczyma płonącemi szlachetnem oburzeniem, iż rozumiała dobrze, jak trudno go się było wyrzec i nie mogła Reginie tego brać za złe. Pobita przecież na razie, nie dawała za wygraną, przeciwnie, gotowała się do odwetu; rachowała na czas, na powolne działanie doświadczenia i rozsądku, które mogło zniweczyć jeszcze sercowe porozumienie młodej pary.

Miała też prawo rachować na nie tem śmielej, że przysięgi i postanowienia młodej pary pozostawały dotąd w sferze idealnej, że oboje ani jednym słowem nie zaczepiali o praktyczne trudności, o których nie mieli jeszcze jasnego pojęcia.

Niespodzianie jednak Regina zwróciła się do niej. Twarz jej zachowała poważny,

uroczysty wyraz, jaki przybrała przysięgając, że nigdy nie zdejmie z palca pierścionka Wacława; ale usta jej były przycięte, a wzrok, z taką słodyczą zawieszony przed chwilą na jego twarzy, błyszczał teraz ponurym ogniem.

— Ale przysięgam także — dodała z siłą nieugiętego postanowienia — że nie zamienię tego pierścionka na ślubną obrączkę, dopóki zostawać będę w obecnem położeniu, dopóki nie dobieję się własnego mienia, i że nie zgodzę się nigdy wnieść ci w posagu nieszczęście i poniżenie!

Wzrok jej był skierowany prosto na panią Julską, gdy to mówiła.

— Ty marzysz, Regino — zawołał Wacław zdumiony. — Zkąd ci się wzięły podobne myśli?

Zwróciła się do niego i patrzyła nań przez chwilę smutno i głęboko.



— Zkąd? — szepnęła — zkąd? Och! Wacławie, ja nie chcę żadnej ofiary, nie chcę być w twojem życiu zawadą i troską.

— Alboż nie jesteś dla mnie wszystkim? — zawołał — alboż mógłbym bez ciebie znaleźć chwilę szczęścia? Zdaj na mnie przyszłość, ja się nie lękam.

Wstrząsnęła głową, z wyrazem dumy i postanowienia półdziecinnego jeszcze.

— Tak być musi — wyrzekła — Zdobę sobie położenie społeczne, albo twoją nie będę nigdy.

— Mówisz jak dziecko — zawołał. — Ty nie masz ku temu ani sił, ani środków.

Spojrzała na niego okiem, które pomimo jej woli zachodziło mgłą łzawą:

— Więc nie będę niczyją!

— I cóż ty zamierzasz? — spytał ze smutnym uśmiechem. Na jaką drogę chcesz się rzucić, by dopiąć podobnego przedsięwzięcia.

Było w tych słowach łagodne szyderstwo, które przecież nie obraziło jej, ani odwiodło od szalonych zamysłów

— Alboż sądzisz, że miałam czas zastanawiać się nad tem? — pochwyciła gorączkowo. — Wiem tylko, że to muszę uczynić.

— Ale zanim się nad tem zastanowisz, musisz przyjąć moją opiekę. Czy sądzisz, że mógłbym cię odstąpić, zanim wynajdę ci tymczasowe schronienie i opiekunkę?

— I gdzież ty mi ją znajdziesz? — zapytała.

Obejrzał się na matkę: nie było jej w pokoju. Korzystając z tego, że oboje zajęci byli sobą i tragiczną sytuacją, jaka wytworzyła się pomiędzy nimi, wysunęła się po eichu.

Regina uśmiechnęła się z nieskończoną goryczą.

— Twoja matka mnie nie chce — zawoła. — Wszak odwołałeś się już do niej,

a ona odpowiedziała ci wymownem milczeniem. To jasne! to bardzo jasne! Ale gdyby nawet prosiła mnie o to, przysięgam ci, że nie przestąpię progę jej domu. Zdławiłoby mnie powietrze i chleb łaski, a ty, Wacławie, nie możesz mi dać innego schronienia. Zostaw mnie więc memu losowi. Wiem już, że jestem samotna i opuszczona, że na samą siebie tylko rachować mogę. Ale teraz przynajmniej w drodze życia świecić mi będzie twoja miłość. Wiem teraz, żeś ty nie opuścił mnie, jak inni.

Oparła głowę na jego ramieniu. i płakała cicho, gwałtownie; a były to łzy bólu i szczęścia zarazem. Cóż dla niej znaczyły teraz trudności, przeszkody, rozłącznie nawet, skoro mogła wierzyć mu, tak jak wierzyła niegdyś?

— Czyż mógłbym cię opuścić? — zawołał.

Patrzył na nią zachwycony i dumny. Podniesiony jej siłą, czując w piersi powstające nowe porywy, czuł się zdolnym do czynów wielkich, do łamania się z życiem, do wywalczenia sobie miejsca w społeczeństwie.

Wszystko to jednak nie rozwiązywało praktycznej trudności położenia Reginy. Elżbieta upakowała jej rzeczy, walizy stały pozamykane; ale dokąd powiezione być miały?

Było to pierwsze, najpilniejsze zagadnienie, nad którym zastanawiali się oboje, bo Waław, wobec postawy dwóch kobiet, musiał porzucić myśl zostawienia narzeczonej pod opieką matki.

Regina chciała wprost pojechać do Warszawy i zatrzymać się w hotelu, dopóki nie wynajdzie sobie stosownego pomieszczenia i zajęcia. Wiedziała że w wielkim mieście najłatwiej o chleb, o pracę. Ale Waław rozumiał, że była zbyt mło-



da, zbyt piękną, zbyt niedoświadczoną, by pierwsze kroki stawiać o własnej sile... ona, co nie miała nawet pojęcia niebezpieczeństw, jakie otoczyć ją mogły.

Powody te były dostateczne, ażeby nie pozwolić Reginie na wykonanie nieogłędnych zamiarów. Prócz tych jednak, miał jeszcze inne. Nie wątpił że potrafi przewyciężyć dumę sieroty, z którą w tej chwili walczyć było niepodobna; nie wątpił, że matka jego nie będzie opierała się w końcu spełnienia tego, co uważał za święty obowiązek honoru i co być nie przestało najgorętszem pragnieniem jego serca. Ale nie chciał wtajemniczać świata w domowe zatargi, które wybuchnęły nagle nad świeżą mogiłą Jasiennickiego. Czuł dobrze, iż zatargi te były hańbiące dla niego samego i dla pani Julskiej.

Regina więc nie mogła mieć w Warszawie innego schronienia nad dom jego matki, a skoro to było niemożliwe, nie

powinna była być w Warszawie, aż wówczas gdy przyjmie jego nazwisko. Ale dokąd teraz udać się miała?

Nagle przyszła mu na myśl panna Teodozya, jedyna prawie krewna, okazująca mu zawsze szczególne przywiązanie. Nie miała ona świetnego majątkowego położenia, nie mogła otoczyć Reginy wykwintem do jakiego przywykła, była szorstką w obejściu, ale kochała go szczerze. a przytem stawała zawsze w opozycji względem pani Julskiej i marzyła dla wujecznego brata, który według wieku wyglądał raczej na jej synowca, wcale inną przyszłość i kierunek, niż ten, jaki mu matka zgotowała.

Panna Teodozya miała pensją żeńską w prowincjonalnem mieście, połączonem koleją z Warszawą. Komunikacya więc była ułatwiona i Regina mogła pozostać tam dopóty, dopóki by nie powzięła jakiego stanowczego zamiaru.

Planu tego nie przyjęła Regina bez trudności. Miałaż rozpocząć życie samodzielnej pracy od narzucenia się obcej osobie, od łaski ludzkiej? A jednak zgodzić się na to musiała. W Jasionej Wacław pozostawić jej nie mógł, jakkolwiek administracya ofiarowała jej schronienie i wszelką pomoc. Ale miejsca te zbyt były przepełnione wspomnieniami; czuł, że każda chwila tu przebyta rozkrwawiałaby jej serce daremnie. Musiała więc zgodzić się na plan jego, obiecując sobie jaknajkrócej korzystać z gościnności panny Teodozyi.

---

Pani Julska opuściła pokój Reginy wstanie umysłu trudnym do opisania. W życiu jej była to pierwsza przegrana, jawna i wyraźna. Wprawdzie posiadała silną wolę, a gdy niezawsze wszystko szło po jej myśli, umiała zawsze obejść trudności.

Ale teraz spotkała na drodze swojej serce syna i musiała się cofnąć. Nie cofnęła się jednak ostatecznie. Ani na chwilę nie odstąpiła od planów usnutych względem przyszłości jedynaka; rachowała na działanie czasu, które tyle skojarzonych serc rozrywa, na trudne okoliczności w jakich znajdowali się oboje młodzi, na zupełną nieznajomość życiowych warunków, na zbyt kowe nawyknięcia, a nawet na tę drażliwą dumę, będącą niejako zbytkiem moralnym, którą posiadali oboje. Były to czynniki, które mogły sprzymierzyć się z nią, ale mogły także obrócić się przeciwko niej. Znajdowała się teraz wobec położenia, na które wpływać nie było w jej mocy. Popsuła sama sobie szyki, ponasowała trudności, pobudziła akordy rozdźwięków, a teraz musiała czekać, czekać pod ogniem synowskiego oburzenia, a może i oburzenia świata, który tak chętnie bierze w obronę nieszczęśliwych, zwłaszcza gdy



tym sposobem pomścić się może za powodzenie, budzące zazdrość.

I ona także namyślała się głęboko co uczynić. Wziąć jednak Reginę do siebie znaczyło to wyrzec się wszelkiej szansy świetnej przyszłości dla syna, spalić niejako za sobą mosty. Pod żadnym względem uczynić tego nie chciała, a przecież znała świat i nie ukrywała wcale przed sobą, że obecna sprawa mogła ją źle w oczach jego postawić. Wiedziała, że jest on wyrachowany, chciwy, niemiłosierny tam wszędzie, gdzie idzie o własny interes, ale że właśnie dlatego lubi okrywać się maską wspaniałomyślności i nie przebacza grzechów codzien popełnionych w skrytości, skoro tylko te jawnemi się staną.

Nie tajiła też przed sobą, że świetne małżeństwo Wacława, po tym fatalnym wypadku, przedstawiało o wiele więcej trudności, niż poprzednio. Ale wiedziała

także, iż czas wszystko zatrzeć może, iż zręczność umie zawsze zwalczyć zarzuty, iż miłość prawdziwa im nie dowierza, a jedynakowi jej nietrudno przecie było wzbudzić taką miłość.

Czas zresztą jest-to potęga, która zawsze sprzymierza się z cierpliwymi, ona była cierpliwą i wytrwałą.

Z tem wszystkiem interesa jej pokrzyżowały się fatalnie. Dręczyło ją zburzenie zamiarów, tak pracowicie przeprowadzonych i tak blizkich ziszczenia; albo bolało bardziej jeszcze nieporozumienie z Wacławem i ten głuchy, ciężący na niej wyrzut, który dźwięczał tak wyraźnie w brzmieniu jego głosu i błyszczał w spojrzeniu, iż nie potrzebował wypowiadać się słowem.

Pani Julska jednak nie miała czasu rozczulać się nad sobą, ani uważać swego położenia z sentymentalnej strony. Była to przedewszystkiem kobieta praktyczna i

zastanawiała się też głównie nad jego stroną praktyczną.

Nie miała już nic więcej do czynienia w Jasionnej i chciała opuścić ją jak najprędzej. Rzecz ta przecież przedstawiała niejakię trudność, z powodu, iż nie znała dalszych zamiarów syna, a zanim wyjechała ztąd, poznać je musiała. Nie miała żadnej ochoty przebyć tu jeszcze jednej nocy i narazić się na nowe powikłania stosunków, o których rozwiązanie chodziło jej nadewszystko. A przytem chociaż nie rządziła się sentymentalnymi względami, dom ten był dla niej niezmiernie przykry, tak z powodu roli jaką tu odegrała, jak porażki doznanej. Pragnęła opuścić go jak najspieszniej, jak wódz plac boju, na którym został pobity. Czuła niewypowiedzianą urazę nietylko już do ludzi, ale do miejsc nawet, gdzie rozwiały się w niwecz jej plany.

To też po krótkim namyśle posłała po Wacława. Pociąg ku Warszawie miał za parę godzin przechodzić; chciała nim odjechać. Czekaając na syna, nie zaniedbywała żadnego z dyplomatycznych środków, używanych w podobnych razach, a które ze względu na głęboką znajomość jego charakteru, udawały jej się zwykle. Usiadła w poręczowym krześle, otulona szalem, pomimo ciepłej pory, jak to czyniła zwykle, gdy czuła się słabszą, lub też gdy chciała silniej zaakcentować swoje cierpienia i wyzyskać je w jakimś zgóry określonym celu. Rzeczywiście była bledszą niż zwykle, troska dni ostatnich wyryła się wyraźnie na jej twarzy; ale pani Julska umiała zręcznie uwidocznic jeszcze bardziej tę troskę.

Kiedy Wacław w parę minut później wszedł do jej pokoju, pani Julska miała spojrzenie tak omdlałe, ruchy tak utru-



dnione, głos tak przyciszony, a ręce tak drżące, iż stanął jak wryty.

Kochał on matkę gorącym uczuciem rozpieszczonych dzieci, choć może w tej miłości jego było nieco samolubstwa.

Skoro więc ujrzał matkę zboląłą, nieporuszoną w fotelu, zamiast wymówek jakie cisnęły mu się na usta, zawołał pełnym troskliwości głosem:

— Mama chora?

Początek ten był obiecujący. Pani Julska zamiast odpowiedzi skinęła ręką, by przystąpił bliżej, jakby nie miała siły przemówić.

— Mama chora? — powtórzył Wacław, biorąc jej rękę i podnosząc ją do ust.

— Nie troszcz się o to — wyrzekła kobieta urywanym głosem — niema czem.

— Możeby posłać po doktora? — zawołał.

Rzeczywiście pani Julska wyglądała tak źle, iż wykrzyknik ten był zupełnie

usprawiedliwiony. Waław zaczął sobie wyrzucać, iż jego gwałtowność i wyrzuty, jakie śmiał czynić matce, przyprowadziły ją do tego stanu.

Ona jednak starała się go uspokoić.

— Niema nic groźnego — szepnęła — to zwykłe moje cierpienia. Nie martw się, mój biedny Waławie, ty i tak dość masz nieszczęścia. Nie potrafiłam cię od niego uchronić.

Mówiła to powolnie, z długimi przerwami, jakby za którem słowem brakowało jej tchu i głosu.

— Tylko widzisz — dodała coraz słabiej — chciałabym powrócić do Warszawy, uspokoić się, wypocząć...

Skłoniła głowę na piersi, jakby wyczerpana zupełnie, a blade wargi poruszały się prawie bez dźwięku, tak iż Waław, który nachylił się, ażeby lepiej zrozumieć czego żąda, dosłyszał jak szeptała:

— Wyjechać!... wyjechać!...

Wacław był przestraszony. Choroba każda czyni zwykle na mężczyznach wielkie wrażenie. Jest to stary jak świat, a zawsze skuteczny środek teroryzowania ich i przeprowadzenia swojej woli; dlatego też zręczne kobiety używają go najczęściej, nie dbając o to, że jest stary, zużyty i wyśmiany zarówno w literaturze, jak w życiu. Środki jednak zużyte bywają zwykle najskuteczniejszymi, Lekarze wiedzą, że na febrę istnieje specyfik — chinina, a kobiety wiedzą także, iż specyfikiem przeciwko wszechwładzy mężczyzny jest choroba.

Pani Julska nie wahała się użyć go wobec syna, a przychodziło jej to tem łatwiej, że słabe jej zdrowie było rzeczą powszechnie wiadomą. Wacław też uwierzył z łatwością, że wrażenia i smutki dni ostatnich mogły je nadwyreżować.

— Wyjechać! — szepnęła słabym głosem pani Julska, zwracając mdlejące spoj-

rzenie na syna z takim wyrazem, jak gdyby każda chwila pobytu w Jasionnej groziła jej śmiercią.

Wacław znalazł się w trudnem położeniu. Nie mógł opierać się wyrażonej w tej formie woli matki, nie mógł jej w stanie, w jakim się znajdowała, puścić samej w podróż, a nie mógł także zostawić tutaj Reginy. Musiał więc wybrać pomiędzy dwoma sprzecznymi obowiązkami i naturalnie przechylić szalę wyboru tam, gdzie sądził się najwięcej potrzebnym.

W podobnych razach chory ma zawsze wyższość nad zdrowym; wyraźne cierpienie ciała bierze górę nad cierpieniem moralnem. I tutaj wykazała się cała skuteczność taktyki przyjętej przez panią Julską. Na smutek byłby znalazł pociechę, na łzy i prośby perswazyą; rozkazu w ostateczności byłby może nie posłuchał, ale choroba przecinała wszelką dyskusyą. Du-



mna boleść Reginy musiała ustąpić wobec niej i zejść na plan drugi.

— Mamo — zawołał zrozpaczony Wacław — pojedziemy!

Słaby blask ożywił wzrok kobiety.

— Natychmiast? — szepnęła ze skwapliwością chorobliwą.

— Natychmiast — powtórzył.

Skierował się ku drzwiom, ażeby zażądać powozu i koni, kiedy skinienie matki przywołało go do niej napowrót. Sądził że przyszła jej na myśl Regina, że w ostatniej chwili wejdzie w jej położenie i ofiaruje choć chwilowe schronienie u siebie.

Omylił się jednak. Pani Julska zazwyczaj nie robiła lekkomyślnie, a natomiast stała była w swoich przedsięwzięciach. To też nachyliła się do ucha jego i zamiast upragnionych wyrazów, wyrzekła głosem złamanym:

— Wieczornym pociągiem...

Mówiła w ten sposób, jak gdyby groziło jej natychmiastowe niebezpieczeństwo, jak gdyby słabe tchnienie kołatało się już zaledwie w jej piersi.

— Dobrze, mamó — powtórzył, wybiegając z pokoju.

Po jego wyjściu pani Julska pozostała nawpół omdlała, z głową zwieszoną na poręczy krzeszła. Nie popełniła tego zwykłego błędu niezręcznych, którzy cieszą się przedwcześnie, lub też dopiąwszy pożądanego celu, odrazu odrzucają pomocnicze środki. Nagła słabość mogła jeszcze oddać jej niejedną usługę, a nadewszystko służyła jej za tarczę przeciw jakim bądź usiłowaniom. Bo jeśli pani Julska była sama niezmiernie przebiegłą, posiadała też zwykłą wadę tego rodzaju charakterów; uważała wszystkich za równie przebiegłych. Najtrudniejszą do zrozumienia była dla niej gra otwarta, Podejrzывała więc Reginę o ukryte plany, dążące do zniweczenia jej

obronnej postawy, i miała się na baczości.

Ostrożność ta, jeśli była zupełnie względem Reginy zbyt dużą, miała jednak swoje korzystne strony i mogła w danym razie służyć jej za uniewinnienie, gdyby kiedy czyniono jej zarzut jaki względem opuszczenia sieroty. Wszak bolała tyle w Jasionnej nad nieszczęściami jej byłych właścicieli, że wywieziono ją z tamąd półmartwą.

Wacław tymczasem znalazł się w bardzo trudnem położeniu. Chociaż Regina nie skarżyła się i nie omdlewała, czuł przecież serdecznym instynktem, że siły jej wyczerpane utrzymywały się tylko gorączkowym wyteżeniem woli, że niemożliwem było zostawić ją tu samą, na pastwę rozpaczliwych myśli i drażniących wspomnień.

W tej ostateczności umyślił, by Regina razem z nimi pojechała do stacyi kolei;

tam zatelegrafuje do Warszawy, by na dworcu czekała panna służąca, od lat dwudziestu będąca w usługach jego matki, sam zaś z Reginą doczeka się pociągu, któryby szedł w przeciwną stronę, do miejsca pobytu panny Teodozyi, i tam ją odwiedzie,

Plan ten był jedynie możliwy; odrazu też zajął się jego wykonaniem, a nawet lekając się trudności, nie wspomniał o nim matce. W ostatniej chwili dopiero szepnął Reginie, że i ona także razem z nimi uda się do kolei.

W tych okolicznościach taktyka pani Julskiej okazała się w całej doskonałości i oddała jej nieskończone usługi. Chwiejąca, blada, z przymkniętymi oczyma. wprowadzona raz do powozu, zasunęła się w jego głębi i oparła głowę o poduszki, niezdolna zająć się czemkolwiek, zaledwie rozumiejąc, co się z nią działo. Tym sposobem mogła zarówno ignorować obecność Regi-



ny, jak w danym razie pochwalić się, że sierota była z nią, pod jej opieką, że wywiozła ją sama z Jasionnej.

W głuchem milczeniu dojechali do stacyi. Tutaj nie było już czasu do tłumaczeń i pożegnania, gdyż pociąg mający się udać do Warszawy nadchodził. Ale pani Julska w takim stanie osłabienia i zdenerwowania, że Wacław nie wiedział, co począć. Zdawało się niepodobieństwem puścić ją samą w podróż. Strategiczna choroba matki rozwijała się tem śmieiej, że już tutaj nie groziło niebezpieczeństwo doktora, który z łatwością poznałby ten stan rzeczywisty.

Niewiadomo co byłby począł Wacław w tych trudnych okolicznościach, gdyby los nie ulitował się nad nim wyraźnie, zsyłając na stacyę dobrego znajomego jego i matki, który także jechał do Warszawy, i podjął się nietylko opieki nad panią Julską, ale obiecał napisać niespokojnemu

synowi o stanie jej zdrowia, pod adresem panny Teodozyi.

Zaledwie miał czas umówić się z nim, gdy pociąg nadbiegł. Umieścił matkę przy improwizowanym towarzyszu podróży, powiedział, że następnym pociągiem pojedzie i powrócił do Reginy. Pani Julska zrozumiała, iż zatrzymać go było niepodobieństwem, i z głuchem westchnieniem rzuciła się w róg wagonu. Na ten raz znowu była pokonaną.

Regina tymczasem siedziała w pasażerskim pokoju, milcząca i zadumana. Znali się tutaj wszyscy, tak urzędnicy stacyi, jak zjeżdżający się do niej. Była przedmiotem powszechnej uwagi, jak każdy człowiek świeżo dotknięty nieszczęściem; tylko uwaga ta objawiła się w rozmaitych formach, stosownie do stopnia wychowania i cywilizacyi.

Regina była dotąd w tej fazie, w której nieszczęście nie straciło jeszcze gorzkiej

woni nowości, w której, według pięknego wyrażenia Juliusza, nęci jak twarz kobieca. Otulona żałobnemi szatami i dumnym smutkiem, zdawała się nie zważać na tłum ludzki, który snuł się koło niej, lub witał ją zdaleka milczącym ukłonem; ale tłum ten drażnił ją tem mocniej, iż na całym wielkim świecie nie było ani jednego zakątka, do którego mogłaby uciec myślą. Była bezdomną, tułaczką, sierotą.

Próbowała oswoić się z tą myślą. Czuła, że Wacław był przy niej chwilowo tylko, że powinna przyzwyczaić się samej myśleć o sobie, znosić opuszczenie i nie przerażać się tłumem. Czuła, że skończyła się dla niej miękka dola pieszczonego dziecka, a zaczynał się los bojowniczy.

Nie lękała się przecież. Na dnie jej serca leżały jakieś ukryte siły, jakieś pierwiastki żywotne, które rozwijały się w czarnych godzinach bólu i hartowały ją ciosami nieszczęścia.

Wśród gwaru i ruchu odosobniła się tak bardzo, iż nie zauważyła że banhof się opróżnił i ona została sama w pasażerskim pokoju z Wacławem, który tylko spoglądał na nią zdaleka, dopóki ludzie snuli się koło nich.

Skoro jednak oddalili się ostatni podróżni, zbliżył się do niej.

— Nareszcie — zawołał — jesteśmy z sobą!

Usiadł przy niej, wziął jej rękę, której mu nie bronila, i pozostał milczący: w sercu jego rozkochanem przemawiały tętna krwi gorącej, zgłuszone nieszczęściami dni ostatnich.

Dworzec cały pogrążony był w ciszy, jaka zalega go zwykle w odstępach pomiędzy przebiegiem pociągów: lampa wisząca słabo oświecała wielki pokój, zostawiając w cieniu odleglejsze kąty. Cień ten, przyjazny marzeniom, zdawał się pokrywać



rzeczywistość życia i pomagać wyzwoleniu myśli z pęt jego.

Wacław zabłąkał się w krainie pamiątek. Wszakże przed kilku dniami jeszcze był pewnym poślubienia ukochanej kobiety, wszakże, tak jak teraz, sam-na-sam z nią miał odbywać podróż miodowego miesiąca.

Tak jest, byli teraz razem, samotni w tej wielkiej, pustej komnacie, zapomnieni od świata, jak rozbitki w jakiejś przystani. Dlaczegoż nie mieli pozostać przynajmniej razem, złączeni nazawsze, dlaczego do wszystkich cierpień jakie im los zesłał, mieli dodawać dobrowolne i wyrzekać się jedno drugiego, chociażby na czas pewien? Uczuł teraz, że wobec mężczyźni rozłąki, wszystko inne było niczem. On tę kobietę kochał całą siłą swojej młodości, swego gorącego serca i pierwszego uczucia.

Zapomniał że zaszły pomiędzy nimi przeszkody nagłe, zapomniał o wypadkach i ludziach co im nawspak stawały; czuł jedno tylko, że kochał, że z Reginą największe kłęski nie stanowiły nieszczęścia, a bez niej nie mu szczęścia przynieść nie mogło.

— Regino! — szepnął za ledwie słyszalnym głosem, pochylając się ku niej, biorąc obie jej ręce w swoje i przygarniając je do piersi — powiedz mi czy sądzisz, że szczęście już dla nas istnieć nie może? Szczęściem dla mnie jesteś ty, Regino, ty jedna! Najmniejszy kątek, do którego bym mógł powrócić po dniu pracy, w którym czekałaby mnie twoja twarz uśmiechniona, wystarczyły mi za świat cały, za wszystkie rozkosze jego. Ludzie śmieją się z owego marzenia rozkochanych: „nawet w chatce, a jednak byle z nim, czy chatka nie wystarczałaby mnie i tobie, czy maleńkość jej zmieściłyby nasze szczęście?

Odpowiedź zdawała jej się bezpotrzebną; on mówił za nią i za siebie, wyповідаł głośno jej myśli, uczucia, pragnienia. On też o odpowiedź nie pytał; czytał ją wyraźnie w jej spojrzeniu, w uśmiechu, w uścisku dłoni.

To nieme przyzwolenie dodało mu odwagi; usiłował z krainy marzeń zejść do rzeczywistości i rozstrząsnąć kwestyą praktycznie.

— Wprawdzie ani ja, ani ty, najdroższa moja, chatki nie posiadamy; ale chatka jest to wyraz symboliczny, znaczący minimum potrzeb i wymagań; chatka to gniazdko, które kochający wszędzie usłać sobie mogą. Ludzie pracy zdobywają ją sobie nieraz bez żadnych środków i pomocy, a ja przecież od nich niedołęźniejszym nie jestem. I ja pracować potrafię.

Nie wątpiła o tem w tej chwili. Z młodzieńczą żywością zdolną była porzucić się od rozpaczki do nadziei. Wśród

nocy, w jakiej była pogrążoną, on otworzył przejście słonecznym promieniom. Świat wydał jej się znowu pięknym i uśmiechnionym.

— Och! — zawołała, porwana serdeczną wymową jego — nam tak niewiele wystarczy. Czy sądzisz że ja nie potrafię ograniczyć się i pracować także?

— Więc Regino — szepnął — dlaczegoż mamy się rozłączyć i skazywać na lata próby i tęsknoty? Życie jest krótkie, szalony tylko na niepewne jutro oglądać się może i dzień dzisiejszy mu poświęcać. Regino, ja nie chcę cierpieć, ja nie chcę, żebyś ty cierpiała.

Dziewczyna zapomniała w tej chwili o przysiedze jaką uczyniła samej sobie wobec pani Julskiej, zapomniała o wszystkim, co nie było Wacławem.

— Tak — mówił dalej, zachęcony milczącym przyzwoleniem, które w tej chwili



czytał w jej całej postawie — my się nie rozstaniemy już odtąd.

Po-za to postanowienie nie umiał nic więcej sformułować.

Podniosła na niego oczy pytające, oczekując słów dalszych. Ale on powtarzał tylko:

— My nie możemy się rozstać, Regino.

Powtórzenie to, niezawierające żadnego wyraźniejszego zamiaru, uderzyło jej umysł, bo te dni ostatnie uczyniły ją skora do rozczarowań, i pośród rozmarzenia, jakim upajał ją sam dźwięk jego głosu, wślizgnęło się poczucie bezsilności jego.

— Obaczysz — mówił dalej — Teodozja najlepiej doradzi, co nam uczynić wypada.

Instynktownie, słysząc to; odsunęła się od niego.

— Teodozja? — powtórzyła ze zdziwieniem — dlaczegoż ona?

Nie umiał na to odpowiedzieć. Zda-  
wało mu się rzeczą naturalną zwracać się  
zawsze do drugich. Zaczął coś mówić o jej  
przywiązaniu, znajomości życiowych wa-  
runków, praktyczności wreszcie.

Regina zapadła w zadumę; poczęła  
lękać się przyszłości. Próbowwała więc  
zamknąć się w chwili obecnej i zapomnieć  
o wszystkim, zasłuchana w dźwiękach je-  
go głosu, zapatrzona w jego oblicze. Nie  
przeczyła mu już, nie pytała o nic, chcia-  
ła odkraść nieszczęściu przynajmniej tę  
jedną chwilę.

---

Panna Teodozja zajmowała w pro-  
wincjonalnem mieście dom z ogrodem,  
oddzielony od ulicy parkanem, poza który  
wybiegały korony kasztanów i gałęzie  
drzew owocowych. Dom ten obszerny a  
na ustroniu, miał pozór pół-klasztorny, pół-  
wiejski. Teraz, jako w czasie wakacyj,

był on prawie pusty; ale ogród z wygracowanymi ulicami i okna, w których świeciły jasne szyby o białych firankach, miały tę wyszukaną czystość, która w siedzibach prostych zastępuje elegancją. Na grzędach rosły niewykwitne kwiaty: malwy, lewkonie, rezedy, groszki pachnące, i napełniały wonią ranne powietrze, kiedy Wacław z Reginą stanęli przed furtką, prowadzącą z bocznej ulicy do ogrodu, pośród którego dom się wznosił.

Pomimo wczesnej godziny, furtka już stała otworem, a panna Teodozja krzątała się po ogrodzie, używając rzadkiej dla siebie swobody. O tej porze nie spodziewała się nikogo, ale pomimo to ubrana skromnie i schludnie w wiosenny perkalikowy szlafroczek, w zupełnej harmonii z powierzchownością siedziby swojej.

Królowała tu w tej chwili swobodnie i dawała rozporządzenia kulawemu stróżowi, który pełnił obowiązki ogrodnika, kie-

dy uderzyły ją dwie postacie, zbliżające się od ulicy.

Panna Teodozya miała wzrok doskonały; odrazu też poznała Wacława i zdziwiona obecnością jego tutaj, w chwili kiedy sądziła, że odbywa się uroczystość weselna, zdziwiona jeszcze więcej tą towarzyszką w grubej żałobie, pobiegła ku niemu.

— Cóż to znaczy? — zapytała, ściskając go i spoglądając na Reginę, bo trudno było w tej bladej, znękaney istocie poznać pierwowzór ślicznej, rozpromienionej dziewczyny, której fotografią pokazywała jej pani Julska. — Co się stało?...

— Tosiu — mówił Wacław, usiłując zebrać myśli — to moja narzeczona. Jesteśmy oboje bardzo nieszczęśliwi; rachuję na ciebie tylko...

Chciał coś dodać, wytłumaczyć położenie; ale łzy głośno mu zalały i rozpłakał się, jak dziecko.



Teodozja była przede wszystkim praktyczną i chciała zrozumieć położenie, a łzy te i żałoba przywiodły jej na myśl panią Julską.

— Ciocia! — zawołała — czyżby ciocia...

Nie dokończyła zaczętej myśli.

Wacław niezdolny był odpowiedzieć.

— Bądź pani spokojną — odezwała się Regina zdławionym głosem — pani Julska żyje. To ja straciłam ojca...

— Ależ w takim razie — pochwyciła

Umilkła nagle, czując, że pytania mogły być niedyskretne. Nie rozumiała położenia. Skoro jednak matka jego żyła, łzy Wacława traciły jej sympatyą, niecierpliwiły ją raczej, bo widziała w nich słusznie więcej bezsilności, niż żalu.

— Straciłam ojca i wszystko com posiadała — wyrzekła dalej Regina.

Teodozja na te słowa odwróciła się od Wacława i spojrzała bystro na młodą dziewczynę. One wytłumaczyły jej wszy-

stko. A gdy raz spojrzała wzrok jej przylgnął do tej cierpiącej, energicznej twarzy, w której wyczytała boleść znoszoną mężnie. Przytem Teodozya nie cierpiała łez: jak wszystkie istoty zmuszone walczyć i borykać się z losem, miała rodzaj litosnej pogardy dla tego objawu słabości.

— Ha! — zawołała — więc to tak, więc to pani jesteś narzeczoną Wacława?

Miała na ustach słowa: tą bogatą, tą piękną narzeczoną, ale wstrzymała się w porę.

— Czyż byłabym tu z nim inaczej? — odparła z prostotą.

Zamiast wyciągnąć do niej rękę, rozwarła ramiona i uścisnęła ją, jak młodszą siostrę lub córkę, bo Regina rzuciła się w nie bez wahania.

— Nie miałem dla niej innego schronienia — wmieszał się Wacław, który przez ten czas uspokoił się trochę — i nie zawiodłem się na tobie.

Teodozya nic nie odrzekła, jakby odsuwała go na plan drugi w tej sprawie; była cała zajęta Reginą. Położenie musiało być rozpaczliwe, skoro kuzyn udał się do niej. Było tu wiele rzeczy, których nie rozumiała jeszcze, ale główne były w jej oczach, aż nadto wyraźne. Regina straciła wszystko, a zatem nie mogła już być żoną Wacława. Wszakże pani Julska tak niedawno wykladała jej całą swoją teorię życiową względem jedynaka.

— Ależ ona jest zmęczona, może głodna — zawołała z troskliwością.

Zaprowadziła ją do swego pokoju i kazała służącej czempredzej nastawić samowar.

— Jestem pewna — mówiła, patrząc na jej podkrążone oczy — że nie spałaś i nie jadłaś oddawna, widzę to z twojej twarzy. Rozbierz się, połóż, spocznij, a później pomówimy o przyszłości; kędzie na to jeszcze dość czasu.

Regina nie opierała się jej, przeciwnie, czuła niewysłowioną ulgę, będąc przedmiotem serdecznych zabiegów starej panny. Poddawała się kierunkowi, pozwalała czynić jej z sobą, co chciała. Przez te dni ostatnie odwykła od troskliwych starań, któremi otoczona była od urodzenia, i odnajdując je koło siebie, doznawała dziwnej słodyczy.

Panna Teodozja krzątała się koło niej po macierzyńsku, chociaż bez sentymentalnego odcienia, który charakteryzował zawsze względem niej postępowanie pani Julskiej. Ale ten rodzaj szorstkości nawet prawem kontrastu był jej miłym i budził zaufanie, stracone już do miodowych słówek, których nicość poznała.

— Jakżeś pani dobra — szeptała, przyjmując jej starania.

Panna Teodozja ruszyła ramionami.

— Ja nie wiem czy jestem dobra — mówiła swoim zwykłym sposobem — nie



miałam nigdy czasu nad tem się zastanawiać. Wiem tylko, że kogo Kocham to z całego serca, a gdy nie cierpię, to także z całego serca; ale teraz nie o to idzie. Ty, Waławie — dodała, zwracając się do ciotecznego brata — idź zobacz czy podano samowar i powiedz Marysi, by usmarzyła befszytk.

— Dziękuję, jeść nie mogę — mówiła Regina.

— Wiem, wiem — przerwała jej stara panna — to znaczy, że od kilku dni nie miałaś nic w ustach. Tem bardziej jeść trzeba.

Stawała się gadatliwą, jakby pragnęła tym sposobem odwrócić myśl Reginy od jej smutków i skierować ją ku potocznym faktom.

— No, idź już, idź sobie, Waławie; przydaj się choć raz na coś i przygotuj śniadanie — mówiła dalej, widząc, że młody człowiek dotąd nie ruszył się z miejsca.

Popchnęła go lekko ku drzwiom i rozpakowała podróżną walizkę Reginy, dobijając to wszystko, co mogło jej być potrzebnem.

— Rozgość się trochę — rzekła — zanim podadzą śniadanie; potem ułożę cię do snu. Upadasz ze znużenia i pewno cię głowa boli.

— Prawda — szepnęła dziewczyna — ale do tej pory nie myślałam o tem.

Te proste słowa do reszty zdobyły jej sympatyą starej panny. Widocznie, chociaż rozpieszczona przez ludzi i los, Regina nie stała się wcale jednym z tych mdłych bożyszcz, które bez ołtarzy, kadzideł i czcieli obyć się nie mogą.

— Nie umiesz myśleć o sobie — burczała ją Teodozja z uśmiechem — to źle, to źle bardzo! Na tym świecie każdy ma tyle do czynienia, ażeby się do czegoś docisnąć, iż się wcale o innych nie troska. Jest to abecadło życia i biada tym.

co go się nie nauczą. Poczekaj, jak pobędziemy trochę z sobą, to ci wypowiem wszystko, czego mnie nauczyło doświadczenie. Trzeba rachować na siebie i tylko na siebie.

Mówiła to z pewnym naciskiem, jak gdyby ustrzedz ją chciała od rozczarowań.

Regina słuchała w milczeniu. Słowa i wypadki mieszały się w jej myśli, przechodziły, nie budząc wrażeń wyraźnych na tle strasznego zbużenia, więcej moralnej niż fizycznej natury. Przecież odczuła w nich coś złowrogiego, coś co odpowiadało tajemnym jej wrogom, niesformułowanym wyraźnie. Skoro nie powinna była rachować na nikogo, więc i na Wacława także. Czyż nie taką była myśl starej panny?

Tymczasem w mgnieniu oka samowar się zagotował i śniadanie dymiące czekało na stole choć stało się to bez wielkiego współudziału Wacława, który siedział przy oknie w najwygodniejszym fotelu jaki się

w całym domu znajdował i palił cygaro, nie domyślając się nawet, że herbatę zaparzyć trzeba.

Panna Teodozja, wchodząc z Reginą do jadalnego pokoju, spostrzegła to zaraz i ciemne jej brwi zbiegły się z właściwym jej wyrazem niezadowolenia, z którym mieszało się szyderstwo.

Sama zakrzętnęła się koło śniadania, zmusiła Reginę, by jadła i piła, mniej bez porównania zajmując się Wacławem; potem zaprowadziła ją do swego pokoju, rozebrała, ułożyła na łóżku i nie odstąpiła, póki nie zamknęła oczu i równy oddech nie zaświadczył, że usnęła. Wówczas powstała z miejsca, które zajmowała u wezgłowia Reginy, i wyszła na palcach, starannie zamykając drzwi za sobą.

Zaczęła szukać Wacława. Nie było to wcale trudno, bo do tej pory zostawiała go zupełnie własnemu przemysłowi. Siedział on na tym samym wygodnym fotelu



i palił cygaro po cygarze, patrząc zafrasowanym wzrokiem na starannie wygracowane ścieżki, kwiatowe grzędy i drzewa ogrodu.

— No i cóż? — zapytała wręcz Teodozya, stając nagle przed nim.

Podniósł na nią oczy, jak człowiek ze snu zbudzony. Znał dobrze cioteczną siostrę, kochał ją, od dzieciństwa nawykł rachować na jej serce, a przecież szorstkość jej raziła go często.

— No i cóż, ona śpi — powtórzyła kobieta — powiedz mi wszystko.

Opowiedział jej bez wahania smutne dzieje dni ostatnich i ten niespodziany grom nieszczęścia, co zgruchotał gmach jego przyszłości.

Słuchała go, nie przerywając ani jednym słówkiem, z oczyma wlepionemi w niego, jak gdyby nie dowierzała wyrazom i chciała zdać sobie sprawę z głębi jego uczuć i myśli.

Gdy skończył, pozostała czas jakiś milcząca. Czekwała widać na coś jeszcze, a nie mogąc się doczekać, zapytała znowu:

— I cóż zamierzasz dalej?

— Alboż ja wiem? alboż ja to wiedzieć mogę? — wybuchnął z rodzajem żalu czy gniewu nieokreślonego.

Panna Teodozja nie odpowiedziała na to wybuchem podziwu albo oburzenia, jak się można było spodziewać. Zapewne słowa Wacława nie wzbudziły w niej ani jednego, ani drugiego uczucia. Ona znalazła się jak przystało osobie praktycznej i postawiła kwestyą na praktycznym polu.

— Któż tedy wiedzieć będzie?

Spojrzał na nią wielkimi oczyma, które w tej chwili były zmęczone, łzawe i świadczyły o zupełnym niepodobieństwie znalezienia drogi, wśród trudności jakie go otaczały.

— Któż wiedzieć będzie, czy twoja matka? — powtórzyła stara panna.

Wstrząsnął głową, przecząc energicznie.

— Nie ty, nie twoja matka, więc ja chyba? — zawołała.

— Ty, Teodoziu, tak. ty jedna — zawołał, czepiając się tej myśli, niby deski zbawienia.

Ruszyła ramionami. Znać było, że walczyły w niej sprzeczne uczucia: miłość, jaką miała dla niego, z pogardą dla niezaradności.

— A więc słuchaj — wyrzekła szorstko. — Żeń się bogato, to jedyna rada, jaką ci dać mogę.

Mówiąc to, patrzyła mu prosto w oczy, jak gdyby chciała badać wrażenie jakie czyni.

— Ja? — zawołał, zrywając się zarumieniony — ja miałbym porzucić Reginę? Ty tego nie mówisz na seryo!

Zaśmiała się suchym, urywanym śmiechem.

— Dlaczegożbym nie mówiła na seryo? To nie twoja wina, mój biedny Wacławie, ale widzisz, nie wychowano cię do czego innego.

— To byłąby ostatnia nikczemność, której nigdy nie popełnię!

Zmieniła nagle sposób mówienia.

— Ha! — odparła ze smutną goryczą — mistrzem nikczemności jest bezsilność. Nie nauczono cię myśleć o sobie, wystarczać samemu sobie i rachować na siebie. Mówiłam to ciotce wiele razy, ale nie chciała mi wierzyć; a dzisiaj... dzisiaj co poczniesz ze sobą i z ciężarem cudzego życia, któremu poddać nie potrafisz?

— Wszystko, wszystko, byle nie to coś mówiła. Wiesz dobrze, iż ja tego uczynić nie mogę, a gdybym mógł, nie chciałbym. Ty nie wiesz jak ja ją kocham.

Oczy jego błyszczały, a cała postać świadczyła o prawdzie słów wyrzeczonych.



Teodozya odetchnęła, jakby spadł jej ciężar z piersi.

— Więc ty ją kochasz, naprawdę kochasz? — wyrzekła.

— Kto ci dał prawo o tem wątpić?

— Kto? położenie wasze wzajemne. Regina uchodziła za doskonałą partya, a twoja matka takiej szukała dla ciebie. Zresztą ludziom często zdaje się, że czują to, coby czuć pragnęli... Cóżby to było dziwnego?

— Moje serce nigdy nie było tak posłuszne, by naginało się i biło wedle czyich widoków. Byłbym pokochał Reginę tak samo, gdyby nie miała.

— Bądź spokojny, matka twoja nie dopuściłaby nigdy podobnej ostateczności.

Chciał zaprzeczyć, ale ona mu przerwała:

— Na co się zda mówić o tem, co być mogło? Czy zmieni istniejące fakty, czy nie mamy dość rzeczywistych trudności?

Słuchał w milczeniu, przyznając tym sposobem słusność.

— Bo widzisz — mówiła dalej stara panna — gdybyś ty wyobrażał sobie tylko, że ją kochasz, gdybyś nie był zupełnie pewnym swego serca...

— To co? — przerwał gwałtownie.

— To — odparła powoli, nie spuszcza-  
jąc z niego wzroku — byłoby lepiej, że-  
byś ją porzucił odrazu.

— Znowu mi o tem wspominasz? Je-  
steś okrutną prawdziwie! Czyż nie masz  
dla mnie rady innej?

— Rady? — powtórzyła. To już źle  
kiedy kto pyta o radę, bo sam w sobie  
znaleźć jej nie może. Na twojem miejscu ty-  
siące ludzi nie namyślałoby się ani chwili.  
I dlatego właśnie trwożę się o twą przy-  
szłość. Życie jest walką, Wacławie, pracą,  
trudem, a ciebie wychowano jedynie do  
używania.

— Czyż sądzisz, że pracować nie potrafię?

— Jak? —

Pytanie to nie zastało go nieprzygotowanym; przychodziło mu na myśl niejednokrotnie, że teraz utrzymanie rodziny powinno leżeć na jego głowie.

— Jak? Ależ, Tosiu, sposobów zarobkowania jest tyle. Czyż sądzisz mnie niezdolniejszym od innych, którzy przecież podążają koniecznościom bytu?

Uśmiechnęła się z goryczą.

— A co ty wiesz o tych koniecznościach? — zawołała. — Wszystko zdaje ci się łatwym, jak dziecku, boś niczego nie dotknął, boś nigdy nie stanął w szeregach pracujących nie z fantazyi, nie z dobrej woli tylko, ale z potrzeby powszedniego chleba. Nie miałeś nigdy do czynienia z czeredą ludzką, cisnącą się gwałtem do zarobku, a często nieprzebie-  
rającą w środkach; pracowałeś dotąd nie-

raz, ale pracowałeś wedle woli i chęci, nie czułeś nad sobą żelaznego prawa konieczności, nie byłeś zmuszony odrzucać nabok osobistej troski, radości lub niepokoju, ażeby zaprzędz myśl do obojętnego przedmiotu. A co najstraszniejsze, nie czekałeś nigdy z bijącym sercem na zarobek, nie czułeś rzeźwej myśli i rąk zdrowych skazanych na bezczynność, bo nie znalazł się nikt, coby ich pożył i opłacił chlebem powszednim. Nie błąkałeś się długich godzin daremnie pośród ludzkiego tłumu, potracany przez tych, co śpieszyli się do zajęcia lub rozrywki, kiedy ty z rozpaczą w duszy czułeś że śpieszyć się nie potrzebujesz. Nie zazdrościłeś nigdy wyrobnikowi, co z tragami lub z toporem w pocie czoła zdobywa utrzymanie rodziny, kiedy ty z zasobami wiedzy i inteligencyi uczynić tego nie potrafisz. Nie byłeś nigdy zmuszony starać się o cudzą pomoc, poniżyć dumy do prośby, nie zrazić się obojętno-



ścią, połknąć upokorzenie, znieść odmowę i prosić jeszcze. Wzdrygasz się na tę myśl samą. A jednak kto chce torować drogę wśród świata sobie i swoim, musi ważyć się na to wszystko.

Mówiła z niezwykłym sobie zapałem i siłą; stawiała mu przed oczy wyraźne los, jaki miał być jego udziałem, bez obłądzeń żadnych, aż on zawołał przerażony:

— Ty nie mówiłaś mi tego nigdy dotąd!

— Pocóż mówić miałam?

— A jednak nieraz zachęcałaś mnie, bym okrał sobie zatrudnienie jakie, nawet wbrew woli matki.

— Czyż okoliczności nie pokazały, że rada ta była dobrą?

— Ale wówczas nie mówiłaś mi tego.

— Gdybyś zaczął był pracować we właściwym czasie, w normalnych warunkach, bez nacisku konieczności, sam powoli obeznałbyś się z życiem i jego realnymi warunkami. Nie potrzebywałbyś wtedy

weiskać się w już uformowane szeregi, ranić o wszystkie kolce i wszystkich udreżeń doświadczać, tak jak to dziś będzie twym udziałem.

— I cóż ztąd? ja na to ważyć się muszę.

— Dziś... tak jest, a jednak nie chciałabym, żebyś to uczynił na ślepo. Matka wyrządziła ci krzywdę, chcąc usłać drogę różami tylko bez cierni.

— Jestem człowiekiem, Teosiu...

— Co mi tam gadasz — przerwała oburkliwie — jesteś dzieciak! Ten tylko człowiekiem nazwać się może, kto sobie wystarczyć potrafi.

— Ale ja muszę...

— Wiem, że pięknie umiesz mówić, ale tu o to nie idzie; słowa nikogo nie karmią. Powiedz mi bez ogólników żadnych co zamierzasz, a ja ci powiem co o tem myślę, bo tak tracimy czas na próżno.

— Przedewszystkiem chcę poślubić Reginę, bo ona jest bez dachu, chleba i opieki.

Stara panna uśmiechnęła się mimowolnie.

— A ty — zawołała — jakim sposobem dasz jej dach i chleb?... Rachujesz widać na matkę, sądzisz, że ona będzie musiała przyjąć fakt spełniony i wezwać was oboje do swego domu?

Wacław zarumienił się gwałtownie, bo Teodozja wypowiedziała jego myśl rzeczywistą, którą może sam przed sobą ukrywał.

— Tak — wyrzekł — tak musi być z początku, a tymczasem wynajdę sobie zajęcie w jakim biurze lub banku.

— Rachujesz tu znowu na protekcją matki na jej stosunki i masz słuszość. Nie jesteś nauczony prosić, pochlebiać, przypominać się, niech więc kto inny za ciebie to uczyni.

— Teosiu! — zawołał obrażony — jak ty to rozumiesz?

— Ha! mój biedny Waclawie, kuchnia życia jest brudna; są to słowa własne twojej matki. Ty się nią nie zajmowałeś nigdy, a pomimo to ktoś zająć się nią musi. Ciężar bytu, któremu człowiek podołać nie umie, spada na drugich. Wygodnie może o tem nie wiedzieć, ale pocóż w takim razie pytasz mnie o radę?

— Więc daj mi jaką!

Zdawała się nie słyszeć tych słów, zatopiona we własnych myślach.

— A czy pomyślałeś o tem — mówiła dalej — jakie byłoby życie twojej żony pod dachem świekry, która, jak sam powiadasz, starała się zerwać to małżeństwo wszystkimi możliwymi sposobami, która nie chciała nawet udzielić jej schronienia?

— Ha! — szepnął zniechęcony — widzę, że umiesz tylko pokazywać mi wszędzie niepodobieństwa i trudności.



— Więc sądzisz że to ja je wytwarzam? Jeśli tak jest, to jeszcze raz powtarzam: poco mnie pytasz?

— Chciałbym żebyś mi dodała otuchy — odparł smutnie — zamiast mi ją odbierać.

Popatrzyła na niego przez chwilę swemi bystremi oczami.

— Twoje położenie — wyrzekła zwolna — jest złe, a w mojem przekonaniu tem gorsze, iż ciągle rachujesz na innych.

— Wszak mówisz, że na siebie rachować nie mogę — odparł ze smutną pokorą, która rozbroiła ją zupełnie,

— Cóż znowu — zawołała — ja tego nie powiedziałam; mówiłam z tobą jak z człowiekiem.

— Chciałbym nim być, Teosiu! Bóg widzi iż chciałbym — wyrzekł z całą szczerością — tylko nie mów mi że niepodobna, nie odbieraj mi odwagi!

Poznała teraz, iż chybiła celu, przedstawiając mu w rzeczywistych barwach trudności położenia.

— Nie mów mi — ciągnął dalej — że moja miłość jest szaleństwem, bo widzisz, wyrzec się jej znaczyłoby wyrzec się czci i szczęścia zarazem. Ty to przecież dobrze rozumiesz.

Był znowu owym zacnym i serdecznym chłopcem, którego kochała jak brata młodszego, któremu rada była nieba przychylić.

— Rozumiem — szepnęła z tą sympatyą dla miłości, z tem pobłażaniem dla niej, charakteryzującym wszystkie dobre serca niewieście.

— Pomyśl — mówił dalej — o jakim zajęciu, któreby mi dało chleb bodaj suchy, ale uczciwy i zarobek natychmiastowy. Przysięgam ci, że pracować potrafię.

Zwracał się do niej, jakby trudności życia pochodziły od niej, aż ona uśmie-

chnęła się smutnie. Pragnęła całym sercem przyjść mu w pomoc.

— W dzisiejszym czasie — szepnęła — przy każdym początku trzeba albo kapitału, albo nauki specjalnej.

— Och! co do kapitału — przerwał smutnie Wacław — niema o nim co myśleć.

Zaczęła z kolei rozbierać jego zasób umysłowy, ale i ten nie nadawał się do żadnego praktycznego użytku. Według zamiarów matki, zbierał on sam kwiat wiedzy ludzkiej, nie sięgając głębiej; posiadał encyklopedyczną naukę, mogącą olśnić w salonie, ale niedostateczną do jakiegobądź specjalności; umiał wiele więcej, niż zwykły przeciętny, a nawet niż niejeden wyżej kształcony człowiek, ale był to zbytek niewykluczający braków.

Wacław wchodził w życie realne nieuzbrojony i tym sposobem znajdował się odrazu zepchnięty pomiędzy liczny zastęp wykolejonych, którzy bez wytkniętego ce-

lu i wybitnej dążności cisną się do chleba, szukając go na rozmaitych drogach.

Nie należało się ludzi: takim było rzeczywiste położenie i całe współczucie panny Teodozyi zmienić go nie mogło.

Wacław był pogiębiony; rozmowa ta zburzyła niemiłosiernie fundamenty, na których budował przyszłość, a gdy fundamentów owych zbrakło, przyszłość pozostała dlań zagadką nierozwiązaną.

-- A jednak niech co chce będzie — zawołał po chwili rozmysłu — ja nie porzucę Reginy, ja z nią razem chcę pracować i walczyć.

Narada odbywała się bez osoby, o którą najbardziej tu chodziło. Regina, pierwszy raz od śmierci ojca, usnęła spokojnie ukołysana serdecznem współczuciem starej panny. To też obudziła się późno bardzo. Wypoczynek, sen, a wreszcie siły młodości przywróciły jej równowagę umysłu; widząc się w nieznanem miejscu,



szybko zdała sobie sprawę z wypadków dnia minionego i zastanawiać się zaczęła nad położeniem nowem, w jakie rzuciły ją okoliczności.

Rozmyślając, ubierała się żwawo. Czuda się w położeniu, w którym niewolno marnować czasu daremnie, a chociaż nie miała się jeszcze do czego śpieszyć wiedziała jednak, iż nastały dla niej dni, w których minuty mają swoją wartość.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy wyszła ze swego pokoju, przebiegła cichy i smutny dom, aż wreszcie z ogrodu doszły ją głosy.

Teodozya z Wacławem, który także tylko co się obudził, siedzieli w cieniu na ławce pod starą lipą, stanowiącą główną ozdobę skromnego ogródka. Było tu tak spokojnie, iż sam widok tego schronienia kontrastem podwajał niepewność jej położenia. Gdybyż to ona miała taki cichy domek z ogródkiem, odgradzony od ludzi

murem zieleni, w którym mogłaby razem z Waławem o reszcie świata zapomnieć!...

Teodozja zobaczyła ją pierwsza i pobiegła powitać, ale wyprzedził ją Waław, przyciskując do ust jej ręce, jakby stęskniony kilkogodzinnem niewidzeniem.

W tej chwili Regina uczuła się znowu pomiędzy kochającymi ludźmi, otoczona troskliwością w atmosferze ciszy, spokoju, miłości. wśród której wychowała się i wzrosła.

— Pójdź — zawołał Waław — usiądź z nami. Rozmawiamy właśnie o naszej wspólnej przyszłości..

Na te słowa przebiegł ją dreszcz lekki. Więc znowu dotykać trzeba było drażniących wspomień i kwestyj bolesnych. Rozumiała przecież, że są rzeczy, których zwlekać nie można, a przytem dla pewnych natur niepewność gorszą jest od najsmutniejszej prawdy.

— Więc mówmy o niej — wyrzekła, podnosząc czoło właściwym sobie ruchem, który w szczęściu miał coś wyzywającego, a teraz pełen był energii i dumy.

Wacław odprowadził ją pod lipę, posadził na brzozowej ławce pomiędzy sobą a Teodozyą, wziął obie jej ręce w swoje i nie zdejmując wzroku z jej oczu mówił:

— Przedewszystkiem, Regino, musimy się połączyć nierozzerwalnym węzłem.

Lękał się widocznie oporu jej strony, pamiętając słowa wyrzeczone wobec pani Julskiej w chwili oburzenia. Ale ona nie pamiętała ich widać, bo odparła z prostotą:

— Jam twoja, wiesz o tem dobrze.

Była przejmująca słodycz w tych słowach, która musiały podziałać na każde rozkochane serce. Wacław z uniesieniem przyciskał do ust jej dłonie i przylgnął do nich ustami.

— Będę musiał czasowo zostawić cię pod opieką Teodozyi — mówił dalej.

Regina zwróciła się do niej z uśmiechem zaufania i wdzięczności, który wymownie świadczył o uczuciach.

— Będę musiał zająć się potrzebnymi do ślubu formalnościami; ale bądź spokojną, to dłużej nad dni kilka nie potrwa.

Słuchała go w milczeniu, zamyślona.

— Więc — spytała wreszcie — znalazłeś sposób utrzymania, sposób zarobku, któryby nam dał możność skromnego istnienia?

Pytanie było postawione jasno, ale on odpowiedział wymijająco:

— Tak jest, wynaleźliśmy z Teosią najlepszy sposób wyjścia z trudnego położenia.

Teodozya milczała, a Regina uścisnęła jej rękę z uczuciem.



— Jestem pewna — zawołała — że rada jej musi być równie dobrą, jak serce.

Czy jednak rada jej wyda się dobrą Reginie, o tem Teodozya wcale przekonana nie była; zastosowała ją do okoliczności, do charakteru Wacława, z pominięciem właściwości tej dumnej, energicznej natury.

— Ja sędzę — odparła — że położenie nie jest tak rozpaczliwe, jak wam się w pierwszej chwili wydało. Ciotka jest przezorną, bardzo przezorną, a wiem, iż przez całe życie robiła oszczędności.

Zamyślone oczy Reginy zamigotały nagle iskrami.

— Jakto! — zawołała — więc przyszłość nasza na niej ma się opierać? Spoglądała kolejną na Teodozyą i narzeczonego, aż on wyrzekł:

— Uspokój się, najdroższa, wszak jesteś moją, a więc do matki mojej należeć musisz.

— Ja się matki twojej nie wypieram, nie będę się nawet wahała narzucić jej jako synowa, skoro ty żądasz tego. Ale przecież nie rachujesz na nią w przyszłości? przecież nie chcesz, bym żyła jej chlebem, lub szukała schronienia pod dachem, którego mi odmówiła?

— Zapominasz, Regino — wyrzekła Teodozja — że wszystko się zmieni z chwilą w której zostaniesz żoną Wacława. Ciotka mogła popełnić pewne uchybienia względem narzeczonej syna, z którą rozłączyć go chciała, lecz nie popełni ich względem synowej, którą bądźco bądź kochać musi.

Ale to rozróżnienie subtelne nie trafiło do przekonania Reginy.

— Przyjmę wszystko, tylko nie to — zawołała. — Niech Wacław najmie na

poddaszu najbiedniejszą izdebkę, w której on i ja moglibyśmy pracować, a będę najszcześniejszą; ale łaski udzielonej niechętnie znieść nie potrafię. Panno Teodozyo, ty przecież pojąć to powinnaś; postaw się na mojem miejscu.

— Jesteś dumną, Regino — szepnęła stara panna z widocznem współczuciem.

— Cóż pozostaje biednemu, gdy nie posiada nawet dumy? — odparła zarumieniona. — Panno Teodozyo — mówiła dalej — cóżbyś na mojem miejscu zrobiła?

— Z pewnością nie przyjąłabym łaski gwałtem wymuszonej — zawołała stara panna, przechodząc nagle na stronę Reginy. — Ona ma słuszność, Waclawie; są rzeczy niemożliwe, do których pewne charaktery nagiąć nie zdołają się nigdy.

— Więc cóż mamy począć? Czyż nie mówiłaś sama, że jedyną deską ratunku dla nas byłoby, gdyby matka moja zgodziła się ze spełnionym faktem i dopomo-

gła mi swymi wpływami osiągnąć stanowisko?

Była znowu chwila ciszy, którą przerywała w końcu Regina.

— Matka z pewnością dopomoże ci, Wacławie — wyrzekła. — Ale ja... ja byłabym pomiędzy wami tylko zawadą... i... kością niezgody. Nie wyrzekam się ciebie, nie wyrzeknę nigdy, chyba ty sam tego zażadasz. Ale na czas pewien rozstać się nam trzeba.

Rozumiał tę konieczność. a jednak zdawało mu się niepodobieństwem na nią przystać.

— Nie troszcz się o mnie — mówiła, jakby zgadując myśl jego — ja nie zginę.

Podnosiła ku niemu drobne rączki złożone, z wyrazem prośby i postanowienia.

— Jakżebym mógł nie troszczyć się o ciebie? — zawołał. — Czyż nie jesteś najdroższym skarbem moim na ziemi?



Rzeczywiście, wymawiając te słowa miał łzy w głosie, a drżenie jego świadczyło o prawdzie uczucia.

Zanosiło się na jedną z tych scen pomiędzy zakochanymi, które kończą się zwykle przysięgą, płaczem uśmiechem, ale nie mają innego praktycznego rezultatu. Zrozumiała to snadź Teodozja, bo wmieszała się do niej.

— Więc cóż ty zamierzasz, Regino?  
— spytała.

Domyślała się, że w głowie dziewczęcia tkwiły jakieś zamiary.

— Ja — odparła bez namysłu — zdaje mi się, iż umiem już dość, ażeby zostać nauczycielką, chociażby młodszych dzieci.

— Nauczycielką! ty? — zawołał Wacław.

Myśl, by ukochana jego, która dotąd jako pieszczocha losu nie zaznała żadnej goryczy życia, skazaną była na twardą, ciężką, mozolną, a często pełną upoko-

rzeń nauczycielską dołą, zdawała mu się nieznośną.

Teodozya spojrzała na nią, a w spojrzeniu tem było i zdziwienie i zdwojone współzucie.

— Nauczycielką — powtórzyła z namysłem. — Ona ma słuszość, Wacławie, to jedyna droga otwarta kobiecie.

— Ona, Regina, miałyby tułać się wśród obcych? Dopóki ja żyję, nie przyjdzie jej na los podobny!

Teodozya nie odpowiedziała nic zrazu; zdawała się namysłać, aż wreszcie podniosła głowę.

— A gdyby została u mnie? — wyrzekła zwolna.

Była chwila ciszy.

— Mam zakład naukowy — mówiła dalej stara panna, jakby tłumacząc się z dalszych zamiarów — Regina byłaby mi pomocą.

Dziewczyna patrzyła na nią zarumieniona, serce jej biło, oczy błyszczały, aż wreszcie rzuciła się jej na szyję.

— Pani dobrą jesteś, dobrą bardzo! — szeptała. — Pracować będę... obaczysz...

Słowa jej urywane świadczyły o głębokiem uczuciu, o postanowieniu niezłomnem.

— Wszak powierysz mi ją, Wacławie? — spytała stara panna, zwracając się do niego.

Postanowienie to było jedynie możliwe. Nie posiadał dostatecznej siły oporu, czuł się zwyciężonym okolicznościami i z rodzajem rozpaczliwej rezygnacyi zgodzić się z niemi musiał.

---

Choroba pani Julskiej nie trwała dłużej, niż tego wymagała potrzeba, choroba bowiem jest to środek dobry, ale mający swoje niedogodności. Osoba chora zamknię-

ta jest w pewnem kole i pozbawioną możności działania po za niem.

Do Warszawy jednak dojechała w stanie zupełnego osłabienia, tak iż potrzebowała nieustannej opieki towarzysza podróży, który w duchu oskarżał Wacława o brak serca, iż matkę tak ciężko chorą opuścił, tem bardziej, iż ona nieustannie dopytywała się o niego.

Skoro jednak dowiedziała się, że pozostał na stacyi, opuszczenie to wzięła niezmiernie do serca. Usiłowała wprawdzie, jako osoba nawykła wśród wytwornego świata do panowania nad osobą, ukryć to wrażenie. ale zdradzały je łzy, płynące nieraz mimowoli z zamkniętych powiek.

Nieraz także wzdychała z głębi serca, a gdy towarzysz wspomniał o niepokoju Wacława, o trudnem położeniu w jakim się znajduje, odpowiedziała łagodnie:

— Och! on by tego nigdy nie uczynił, gdyby...



Tutaj, bądź z przyczyny cierpień swoich, bądź z innego powodu, zamilkła. Nie mogła jednak wstrzymać ubolewań na ciężką dolą matek, które zwykle idą w zapomnienie, gdy inna miłość zapanuje w sercu synowskiem, chociaż miłość kochanki lub żony nigdy macierzyńskiej sprostać nie może..!

Dalej mówiła, że często namiętność bywa ślepą, że kocha się nieraz wbrew oczywistości, która kazałaby o przedmiocie uczucia zapomnieć, że czynią to głównie umysły szlachetne, sądzące drugich według siebie i niemogące nigdy uwierzyć w cudzą winę. A potem z nowem westchnieniem unosiła się nad szlachetnością Wacława w ten sposób, iż można było przysiąc, że ta szlachetność stała się powodem jakiegoś strasznego ciosu, który ugodził w jej tkliwe serce.

Przynajmniej towarzysz podróży nie miał pod tym względem najłżejszej wą-

tpliwości i nie omieszkał tego opowiadać wszystkim interesującym się losem pani Julskiej, lub poprostu zaciekawionym katastrofą, jaka ugodziła w jej przyszlą synową, a takich było niezmiernie wielu.

Towarzysz podróży odwiózł panią Julską do mieszkania, polecił ją opiece panny służącej, sam pobiegł po jej zwykłego doktora, a uczyniwszy to, dopiero zatelegrafował do Waclawa, by natychmiast przyjeżdżał; zauważył bowiem, jakkolwiek pani Julska tego nie mówiła, że trawiła, ją tęsknota i niepokój o jedynaka.

Chociaż bardzo cierpiąca, pani Julska potrafiła jednak upewnić się zęcnie, że telegram powyższy wysłany został. Tym sposobem cel choroby był osiągnięty,

Trzeba przyznać, że jeśli choroba służyła tutaj jako środek pomocniczy, a raczej oręż, to z drugiej strony niepokój pani Julskiej zmyślonym nie był. Przechodziła ona rzeczywiście chwile okropne, bo

czuła dobrze iż tu chodziło o całą przyszłość Wacława. Plany jej były bardzo rozumnie osnute; jednak i najmędrsze nawet plany czasem się nie udają, a ona była w śmiertelnej obawie, czy nie znajdzie się w tym wypadku, i po raz tysięczny obliczała szanse prawdopodobieństwa. Według tych danych, nie zdawało się grozić doraźne niebezpieczeństwo; ale wiedziała także, iż los dorzucać zawsze lubi nieobrachowany pierwiastek do kombinacyj ludzkich; drżała więc, by nie wmieszał się uparcie do spraw Wacława i nie zniszczył jej przewidywań. Słowem pomiędzy nią a losem rozgrywała się partya ostateczna.

Teraz działać otwarcie było niepodobniestwem, ale zato możebne były wszystkie podziemne roboty, jakimi zwykle po mistrzowsku posługiwać się umiała, bo wszakże całe jej życie było pasmem cierpliwego oczekiwania, pracy nieznacznej i obliczeń dalekich. Teraz, kiedy zawiodły

ją nadzieje, trzeba było rozpoczynać wszystko na nowo i nawiązywać pozrywane nici.

Wiść o powrocie pani Julskiej do Warszawy lotem strzały rozbiegła się po Warszawie. Ktoś widział ją wysiadającą z wagonu; opowiadali o nim towarzysze podróży, doktor wezwany, a przytem pełno przyjaciółek przysyłało codzien do jej mieszkania z zapytaniem, czy nie przyjechała jeszcze i kiedy ma przyjechać. Niedziw więc, że po powrocie dzwonek w jej mieszkaniu był w nieustannym ruchu, a procesya, złożona przeważnie z płci niewieściej, przebiegała schody do niego wiodące.

Pani Julska była o tyle zdrowszą, iż mogła przyjąć nie wszystkich, broń Boże, toby ją zanadto zmęczyło ale niektóre przynajmniej osoby. Osoby te były wybierane starannie, a każda z nich posiadała coś wybitnego pod względem towarzyskim,



przewodniczyła pewnemu towarzyskiemu kolu, lub miała jakiegobądź rodzaju powagę.

Pani Julska, ubrana nawet w chorobie z elegancją niewykluczającą wygody, w barwach jeszcze ciemniejszych niż zwykle, ułożona na szezłagu, z głową wspartą o ciemnowiśniowe aksamitne pokrycie, Nieokreślony zwykle wyraz jej twarzy nosił teraz cechę smutku, który jednak nie odejmował jej wdzięku, ale przeciwnie potęgował. Sine obwódki pod oczami, z powodu znużenia, cierpień i troski, nadawały im blask niezwykły i bardziej przejmującą czyniły białosc cery przejrzystej. Nawet owe uporne figlarne kosmyki blado-blond włosów teraz igrały około posępnego czoła, niby promienie słoneczne na białym marmurze grobowca.

Sypialnia pani Julskiej w owej chwili przybrała także ponurą charakterystykę; rzekłbyś, że oblekło ją kirem cierpienie

właścicielki. Zasłony wpuszczały tylko bardzo oszczędnie światło dzienne; pokój pogrążony był w pomroce w ten sposób, że kto wchodził tutaj z dziennego światła, przez chwilę mógł sądzić, iż wstępuje w krainę cienia, będącą wiekuistym symbolem smutku.

Przyjaciółki cisnęły się do pani Julskiej po kolei, usiłując okazać jej swoje współczucie nad katastrofami, które wpłynęły na opóźnienie lub zerwanie małżeństwa, a których dzieje znano dotąd w sposób mętny tylko i nieokreślony. Ponieważ nie wiedziano, jaką wypadało przyjąć postawę, okazywano współczucie niezdefiniowane, mogące zarówno przystosować się do najrozmaitszych okoliczności, ale świadczące zawsze o sympatii osób odwiedzających.

— Prawdziwie — mówiła dama, której najwybitniejszą częścią fizyognomii były błękitne okulary — kochana Wikciu (pani Julska nosiła charakterystyczne imię Wi-

ktoryi), byłaś nad wyraz niespokojną o ciebie.

— Ach! — westchnęła pani Julska z głębi piersi, z wyrazem głębokiej rezygnacyi.

— Ale gdzież jest Waclaw? — pytała dalej ta ostatnia, której szkła kolorowe przygasić nie mogły ciekawych źrenic, biegających pod nimi na wszystkie strony.

— Waclaw — powtórzyła z głuchym jękiem pani domu. — A więc ty nic nie wiesz?

Błękitne okulary nie wiedziały nie rzeczywiście, a raczej wiedziały tyle sprzeczných rzeczy, iż wiadomości te, zaprzeczające sobie wzajem, równały się zeru. Teraz więc rzuciły chciwe spojrzenie na panią Julską, która mówiła dalej:

— Tobie zwierzyć się mogę.

— Ma się rozumieć, mnie zwierzyć się możesz — powtórzyły błękitne okulary, pałające żądzą dowiedzenia się czegoś pe-

wnego i to tak gwałtownie, iż skróciły do minimum wszystkie używane w podobnych razach zapewnienia, by prędzej dość do rezultatów.

— Jestem przekonana — ciągnęła pani Julska — że to co ci powiem zachowasz dla siebie.

— Dla siebie, dla siebie jednej!

Pani Julska poprzestała na tem zapewnieniu, chociaż może niekoniecznie wierzyła mu bezwarunkowo, i mówiła ze smutnym, tajemniczym wyrazem, który podwajał znaczenie:

— Bo widzisz! nie chciałabym nikomu zaszkodzić...

— Zaszkozić? — powtórzyły błękitne okulary, oddech wstrzymując, albowiem przeczuły tutaj rzecz osobliwie ponętną, skandal.

— Jakkolwiek źle postąpiono względem mego syna — kończyła, niby nie zważając na tę przerwę pani domu.



To już zaciekawienie błękitnych okularów doszło do tego stopnia, że zaledwie zdołały wymówić stłumionym głosem:

— Mów!

— Długa to powieść — wyrzekła poważnie pani Julska. — Wiesz przecie, iż Wacław miał się żenić.

— Tak, z panną Jasiennicką.

— Z panną Reginą Jasiennicką — powtórzyła pani Julska dobitnie, jakby chciała, by pod względem imienia nawet nie pozostała wątpliwość żadna w myśli słuchaczki.

Powiedziawszy to, uczyniła kunsztowną pauzę, której oratorzy wszystkich czasów używali ku podniesieniu ciekawości.

— I cóż, ojciec jej podobno zbankrutował i umarł? — wtrąciły błękitne okulary, nie mogąc doczekać się do dalszego ciągu.

Pani Julska, która zapewne oczekiwała tego wykrzyknika, uśmiechnęła się z wyrazem, jaki mają męczenniczki na obrazie

Carlo Dolce, i razem zrobiła silnie przeczący ruch ramion, niby strząsając z siebie odpowiedzialność za wszelkie czyny, powodowane mniej szlachetnymi pobudkami.

— Och! — szepnęła — to, przecież nie byłoby jeszcze nieszczęściem. Majątek to rzecz nabyta. Znasz mnie i wiesz, że nie goniłam za nim nigdy, że przywyknienia moje są skromne...

— No tak, ależ najątek nigdy rzeczy nie psuje.

Pani Julska zrobiła gest najwyższej obojętności, na jaki jedynie czysta bezinteresowność zdobyć się mogła.

— Nie myślałam o nim nigdy, kiedy kojarzyło się to nieszczęsne małżeństwo. On pokochał pannę Jasiennicką, z której rodziną byłam zawsze w dobrych stosunkach, ojciec jej był człowiekiem nieposzlakowanej zacności, a ja... ja niestety, patrzyłam na Reginę oczyma mego syna...

Tutaj opowiadanie stało się tak zaciekawiającem, że błękitne okulary już nie wyrzekły słowa, w patrzono w panią domu.

— Regina — mówiła dalej ta ostatnia — bo przyzwyczałam się nazywać ją tem imieniem, była sierotą, wychowaną bez matki; kładłam więc na karb braku macierzyńskiej opieki niektóre szczególności jej postępowania.

Przed wymówieniem wyrazu szczególności, pani Julska zawahała się chwilę, jak gdyby szukała właściwego słowa, i nie mogąc wynaleść go naprędce, posłużyła się pierwszym lepszym.

— Sądziłam — ciągnęła — że troskliwa opieka, rady moje wreszcie, wpłyną na nią; nie przypuszczałam, że to były wady charakteru, wady nieuleczalne... Omyliłam się!

Tutaj z anielskim prawdziwie wyrazem wzniosła oczy do góry i dodała:

— Wszyscy jesteśmy omylni.

Nastąpiła chwila przerwy. w czasie której błękitne okulary były jakby na węglach rozpalonych.

— Prawdziwie Bogu podziękować muszę, że omyłka moja nie stała się niepowrotną. W chwili gdy, dowiedziawszy się o śmiertelnej chorobie Jasiennickiego, spowodowanej katastrofą majątkową, śpieszyłam do Jasionnej z indultem, ażeby ojciec mógł przynajmniej pobłogosławić córkę i umrzeć spokojny o jej przyszłość, zastałam...

— Zastałaś?...

— Zastałam — dodała z widocznym wahaniem się pani Julska — zastałam rzeczy, które... które prawdziwie były dla mnie niezrozumiałe.

Umilkła przez chwilę, jakby dobierając wyrazów stosownych, a widząc że błękitne okulary oczekują z natężoną ciekawością, zawołała z nagłym wybuchem:



— Ona nie ma serca!

Ogólnik ten nie potrzebował komentarzy i dowiedzionym być nie mógł, nie stanowił nawet istoty przestępstwa, a przecież rzucał cień ohydy na Reginę. Oskarżenie podobne ludzi ludziom często rzucają w oczy, a jest to jedno z tych, z których oczyścić się niepodobna.

— Tak, ona nie ma serca! — powtórzyła pani Julska z goryczą nieudaną, bo może wytłumaczyła samej sobie, iż w podobnem położeniu kochająca kobieta poświęcić się była powinna bez wahania i skargi i bezwarunkowo zwrócić narzeczonemu pierścionek i słowo. — Mój syn byłby z nią najnieszczęśliwszy.

Tu nastąpiła długa cisza; pani Julska zdawała się przygnieciona bolesnemi wspomnieniami, towarzyszka jej zaś rozważała to, co usłyszała.

— A cóż Waclaw? — spytała wreszcie.

Pani Julska drgnęła, jakby kto dotknął niemiłosierną ręką świeżej rany.

— Waclaw! — rzekła ze łzami — Waclaw, mój biedny Waclaw!

A potem dodała z goryczą:

— Kiedyż w podobnem położeniu zawahał się syn pomiędzy kochanką a matką? Kobiety bez serca są zręczne, wymowne, umieją korzystać z okoliczności. Zresztą tutaj sama szlachetność Waclawa nie pozwalała mu zrywać małżeństwa, kiedy narzeczoną dotknęło nieszczęście, kiedy krok ten mógł być różnie tłumaczony. Świat jest taki złośliwy!

Pani Julska mówiła to z głębokim przekonaniem, jak gdyby doznała rzeczywistości tej złośliwości.

Błękitne okulary nie myślały jej zaprzeczać i powtarzały z przekonaniem:

— Och! tak, świat jest złośliwy.

Przyjaciółki, skonstatowawszy rzecz tak ogólnie znaną, przeszły do kwestyj

bieżących i dama o błękitnych okularach zapytała znowu:

-- I gdzież on jest w tej chwili?

Zaimek on ściągał się widocznie nie do świata, ale do Wacława.

— Tam, tam jeszcze, w Jasionnej — wybuchnęła pani Julska. — Musiał się zająć pogrzebem i bronić ostatków mienia kobiety, która... która...

Tu szukała napróżno właściwego wyrażenia i nie mogąc go znaleźć, dodała:

— Która sama tego uczynić nie potrafi.

Taka mniej więcej scena odbyła się nietylko z niebieskimi okularami, ale z wielkim czarnym kapeluszem à la Rembrandt, z rudawą peruczką i z wielu bardzo innemi. A przytem pani Julska umiała dla każdego robić stosowne waryanty i dodatki, mogące najlepiej trafić do przekonania osób, z którymi miała do czynienia. Regina nie miała serca: był to ogólnik, dający bardzo wiele do myślenia. Niedziw

więc, że zaraz nazajutrz wszystkie przyjaciółki pani Julskiej fakt ten opatrzyły stosownymi komentarzami i miały tem większy powód podziwiać niewyczerpaną dobroć tej ostatniej, która wolała, by ją samą posądzano o mniej szlachetne pobudki w zerwaniu małżeństwa syna, zamiast rzucać szczęście syna na niepewną kartę, łącząc go z kobietą bez serca.

W tej nowej redakcyi zaszłych wypadków szczególnie ważne miejsce zajmował indult, wyrobiony przez panią Julską już po katastrofie majątkowej Jasiennickiego. Indult świadczył, że zamiast zrywać, chciała przeciwnie przyspieszyć związek Wacława z Reginą, i że musiały być inne powody, które skłoniły ją, a raczej zmusiły do zerwania.

Powody te były z pewnością niezmierniej wagi, świat więc przyznał zgóry słuszność pani Julskiej i bez wahania przyjął redakcyą wypadków dla niej najkorzy-



stniejszą. Bo i dlaczegóż miał inaczej postąpić?

W rzeczywistości sprawa toczyła się pomiędzy nieznaną dziewczyną, która spadła w otchłań sieroctwa i ubóstwa, a kobietą mającą stosunki i znaczenie, kobietą która pracowała całe życie na wyrobienie sobie stanowiska, która każdemu pożyteczną lub szkodliwą być mogła. Regina była daleko, a pani Julska blisko; Regina potrzebowała pomocy, pani Julska zaś udzielić jej mogła. W takich warunkach świat nie waha się nigdy i rozstrzyga zgóry na korzyść blizkich i potężnych daleko zawilsze i mniej jasne sprawy.

A przytem pani Julska miała jeszcze za sobą cały zastęp matek mających córki na wydaniu i wszystkie panny mogące rościć sobie mniej więcej uzasadnione pretensye do ręki Wacława; a zastęp ten był nietylko liczny, ale ruchliwy wymowny, zdolny zagłuszyć najwierniejszych przyja-

ciół Reginy, gdyby ich tylko posiadała. Ale przyjaciół nie miała ona wcale, ani zgoła nikogo, coby się za nią ujął. Pani Julska znalazła się poniekąd szlachetnie, zarzucając jej jedynie brak serca. Wszakże to nie czyniło jej istotnej ujmy. Mogła była wymyśleć łatwo jakibądź fakt krzywdzący jej dobrą sławę, a świat uwierzyłby w niego z równą łatwością. Na świecie każdy myśli naprzód o sobie i własnej obronie; dlatego to zwyczajnie krzywdzący zmuszeni są do krzywdy dołączać obmowę, ażeby samych siebie uniewinnić. Jest to rzecz dla ogółu tak prosta tak bijąca w oczy, iż chyba tylko bardzo naiwni dziwić się lub oburzać mogą podobnie codziennymi faktami. Bo czy dziwi się kto złoczyńcy, który przed sądem wypiera się swych czynów? W dziedzinie moralnej są czyny niepodpadające pod żadne prawodawstwa, a przecież ściągające nagane świata, i przed tym moralnym sądem lu-

dzie bronią się, zwalając winę na kogo innego lub przeinaczając fakty. Zresztą jest to broń każdemu dostępna, walka w której zarówno zadaje się rany, jak ranionym bywa; jeśli zaś w niej na słabego spływa całym ciężarem odwieczne prawo *vae victis*, toć przecie tak dzieje się w każdej walce. Pani Julskiej służyć mogła jeszcze za tłumaczenie miłość macierzyńska; zresztą uczyniła ona to tylko, co czyni wielu bardzo ludzi, którzy jednak pomimo to posiadają szacunek powszechny.

Nieobecność syna trapiła ją niezmiernie. Jakie zobowiązanie mógł zaciągnąć przez ten czas? oto była troska, trapiąca ją we dnie i w nocy, oddalająca sen z jej powiek. A gdyby też poślubił Reginę? Na tę myśl dreszcze przechodziły ją od stóp do głowy. Indult wprawdzie sama miała w ręku, ale nie było rzeczą niepodobną wyrobić inny.

Regina uroczyście przysięgła, że nie zostanie żoną Wacława, dopóki nie zdoła zapewnić sobie przynajmniej nienależnego bytu; lecz o ile podobne marzenie wydawało się pani Julskiej szczytem niedorzeczności, o tyle nie brała ona na seryo dumnego postanowienia sieroty. W oddaniu pierścionka zaręczynowego widziała ona tylko zręczną scenę, nic więcej, zakończoną obmyśloną z góry interwencją Wacława.

Pani Julska zbyt wiele odegrała w swoim życiu scen rozmaitych, by wierzyła w prawdę wypowiedzianych uczuć i nie podejrzewała ukrytej myśli poza najprostszy wyrazami. Niech będzie co chce, ludzie zawsze sądzą innych według siebie. Straciwszy majątek, Regina według jej przekonania straciła *de facto* prawo istnienia.

Często jednak ci, którym bliźni zaprzeczają tego prawa, naprzekór im istnieją i trwają. Pani Julska o tem wiedziała



i dlatego to, gdy na trzeci dzień rano Waclaw powrócił, powitała go z niezmierną radością, do której jednak mieszała się wielka trwoga. Domyślała się iż Waclaw był u Teodozyi, a jakkolwiek ta kochała swego ciotecznego brata, przecież różnica poglądów starej panny sprawiała, że przekonanie to bynajmniej nie wpływało na uspokojenie pani Julskiej. Wiedziała, że złe pojęta miłość równa się w skutkach swoich nienawiści.

Siedziała właśnie w wygodnem poręczowem krześle, w pokoju o przyćmionem świetle, zajęta jakąś włóczkową robotą, która zostawiała myśli wszelką swobodę, kiedy stanął przed nią jedynak.

Pani Julska oczekiwała go w każdej chwili, za każdym pociągnięciem dzwonka wstrąsana dreszczem nadziei. Po wejściu jego jednak wzruszenie wybiło się rumieńcem na jej twarz bladą zwykle, a teraz tem bardziej zmęczoną przebytych niepo-

kojem, czuła bowiem dobrze, iż owa szlachetność Wacława, stanowiąca w nim tak piękną stronę i tak cenny przymiot, miała w praktyce wielkie niedogodności.

Wzrok syna z niepokojem spoczął na matce, a przekonawszy się, że nie było powodu trwogi, zawołał z uczuciem nieopisanej ulgi:

— Mama zdrowa, dzięki Bogu!

Pani Julska westchnęła.

— Siły wzrastają w miarę potrzeby — odparła dyplomatycznie.

Nie pytała go ani dokąd jeździł, ani też gdzie się znajduje Regina; nie wznawiała tej drażliwej kwestyi, ani żadnej innej, oczekując cierpliwie, aż on sam mówić zacznie; wiedziała bowiem, że taka postawa zawsze daje powagę nad wrzającą młodością i doprowadza ją najprędzej do wypowiedzenia głębi myśli.

Nie przerachowała się też w tym względzie. Wacław przyzwyczajony wy-

wnętrzać się przed matką i znajdować w niej zawsze pochwalne echo swoich myśli. Widząc się znowu w tym saloniku, w którym przepędził tyle godzin szczęśliwych na poufnej z matką rozmowie, zapomniał na chwilę o tem co zaszło i zajął zwykle miejsce na niskim taborecie obok fotelu matki. Można było sądzić, że znikły pomiędzy nimi wszelkie powody nieporozumienia, że tak jak dawniej tworzyli ową wzorową parę, stawianą jako ideał stosunku pomiędzy matką, a synem. Widząc go tak, pani Julska czuła się wzruszoną; ręce opadły jej na kolana.

Czas jakiś trwało milczenie, błogie i smutne zarazem, wśród którego zapominali oboje o wszystkim co ich dzieliło.

— Mamo — odezwał się wreszcie Wacław.

Głos jego brzmiał stłumiony i drżący, jakby szukał drogi do matczynego serca.

Pani Julska odczuła w nim prośbę, więc zbrojąc się przeciw słabości, podniosła głowę spuszczoną i poruszyła znowu drutami, które wydały suchy i drażniący dźwięk, uderzając wzajem o siebie.

— Mamo — powtórzył z nagłą determinacją syn — chciałbym z tobą pomówić.

Była panią siebie; żaden muskuł nie zadrgał na jej twarzy. Rzuciła mu tylko przelotne spojrzenie, którem dobadywać się zdawała głębi jego myśli.

— O czym? — spytała zwolna. — Zdaje mi się, Wacławie, że są przedmioty, któreśmy wyczerpali i do których wracalibyśmy daremnie.

— Ha! więc nie mówmy o tem — zawołał stłumionym gniewem — nie mówmy o rzeczy, która więcej niż wszystkie inne leży mi na sercu. Mówmy o mnie tylko.

Pani Julska zniosła ten wybuch z anielską rezygnacją; przebaczyła go nawet kładąc na karb cierpienia, i odparła:



— Właśnie myślałam o tobie, Wacławie, o twojej przyszłości...

Zatrzymała się chwilę. On przeczuwał, że ta przyszłość nie będzie w zupełności po jego myśli, ale czekał co powie dalej.

Pani Julska położyła robotę na kolanach, wygładziła ją ręką i mówiła:

— Uważam, iż po tem wszystkim co zaszło, byłoby najwłaściwiej, gdybyś wyjechał za granicę.

Wacław chciał coś mówić, ale ona skinęła żeby jej nie przerywał i ciągnęła dalej:

— Wiem żeś zawsze pragnął zwiedzić Wschód, Grecyą i północną Afrykę. Byłam dotąd przeciwną tej podróży, uważałam ją za niebezpieczną, kosztowną, nadługo oddalającą cię odemnie. Teraz jednak możeby ci to rozrywkę przyniosło. Wybiera się w tę podróż kilka osób, pomiędzy którymi są twoi znajomi, a wspólnymi środkami przedsięwzięta byłaby ona możliwą. Po-

niosłabym chętnie wszystkie ofiary byle cię zadowolić.

Mówiła to cichym, urywanym głosem, patrząc na niego z niewypowiedzianą czułością.

Była chwila ciszy. Pani Julska mogła ludzi się myśla, że jedynak przyjmuje jej zamiary; ale on odparł poważnie, wstrząsając głową, jak człowiek który decyduje się przemówić stanowczo.

— Musimy się raz porozumieć co do przyszłości, mamó. Ja pozostałem narzeczonym Reginy i myślę jedynie o naszym wspólnym losie.

Nie odparła nic zrazu; ręce jej drżały. Zrozumiała, iż należy jej być stanowczą.

— Znasz — wyrzekła wreszcie — mój pogląd na to małżeństwo. Co do mnie, uważam je za zerwane, za niemożliwe i nigdy na nie nie przystanę. Jesteś pełnoletni, możesz je zawrzeć bez mojej woli,

ale wtedy obejdiesz się także i bez błogosławieństwa.

— Matko — zawołał, zrywając się z miejsca — zapominasz, że tu idzie o moje szczęście i więcej jeszcze niż o szczęście — o honor!

Spoglądała na niego oczyma pełnymi łez.

— Odkądże to — wyrzekła z głęboką boleścią — sądzisz, że szczęście twoje przestało być mojem szczęściem?

— A więc dobrze — zawołał — nie będę mówił o szczęściu mojem. Ty widzisz je w czem innem niż ja, nie będę przeto bronił go przeciw tobie. Ale gdybym nawet kochał Reginy, gdyby mi ona była zupełnie obojętną, jeszcze w obecnych okolicznościach prosta uczciwość wymaga, bym dotrzymał ubogiej zobowiązań zaciągniętych względem bogatej. Inaczej, pomyśl, co świat o tem powie?

Łamał ręce, wymawiając te słowa. Czuł się przygnieciony uczuciem wstydu, iż rzeczy podobne potrzebowały tłumaczenia, iż matka sama z siebie pojąć ich nie mogła, czy nie chciała.

Pani Julska powstała także, wzięła w swoje jego ręce i topiąc mu w oczach przeciągłe spojrzenie, zapytała:

— Czy sądzisz że twój honor, twoje dobre imię mniej mnie obchodzi, niż ciebie samego?

Było tyle głębokiej miłości i przekonania w tych słowach, że Wacław spuścił powieki.

— Powinnam dotyla pzzynajmniej posiadać twoję ufność, byś się nie lękał iż ja, co znam tak dokładnie świat i ludzi, poprowadzę cię na manowce — mówiła dalej z przejęciem.

— Dlaczegoż więc — zawołał porywczo — mówisz mi o wyjeździe?



— Dlatego, żeś wyjechać powinien, dlatego, że wiem, iż tylko zbyt niedoświadczony i drażliwy sumienie może się lękać podobnych zarzutów, bo świat, skoro mam mówić otwarcie, jest nieubłagany dla upadłych tylko, a ci co potrafią zrećźnie sterować swoją nawę i wycofać ją z rozbicia, nigdy potępieni nie będą.

Spoglądał na nią chwilę z bolesnem zdziwieniem.

— Być może, iż takim jest świat — odparł dumnie — sprzeczać się o to nie będę. Mądrość jego jednak zbyt subtelna jest dla mnie i nie myślę jej być posłusznym.

Patrzyła na niego z dumą i miłością przez czas jakiś, gdy stał przed nią, pełen szlachetnego oburzenia.

— Wam młodym — wyrzekła wreszcie — zdaje się zawsze, iż potraficie wszystko ułożyć według woli swojej. Ale świat dla ciebie praw swoich nie przeinaczy. A ty...

ty musisz mu być posłusznym, bo wierz mi, silniejsi i lepiej uzbrojeni od ciebie nie potrafili stawić mu czoła. Waclawie — dodała — czy kiedykolwiek byłam twoim chęciom przeciwną? czy zawsze nie miałam jedynie twojego szczęścia na celu? czy nie okupiłabym go kosztem największego poświęcenia? Dotąd nie żądałam od ciebie żadnej ofiary, ale dzisiaj zaklinam cię: usłuchaj mnie, nie opieraj się przy tem co być nie może. Tu chodzi o całą twoją przyszłość, tak piękną, jasną, bez troski, którą chcesz zmarnować niebacznie!

On pragnął ją uspokoić, a jednak uczynić tego nie mógł.

— Matko — zawołał — każdy po swojemu tę przyszłość pojmuje, a ja... ja... pozwól mi być szczęśliwym według mego serca i sumienia.

Zrozumiała, że w obecnej chwili wszystkie usiłowania, ażeby nawrócić go

na swoje stronę, daremnemi były. Pani Julska umiała, gdy tedy zachodziła potrzeba, nakazać milczenie uczuciom i nadać im wzrost inny. Obecna chwila wymagała tego. To też otarła zwilżone oczy i wyrzekła po długim milczeniu, w czasie którego syn śledził ją niespokojnym wzrokiem.

— W każdym razie projekta twoje na czas przynajmniej odłożone być muszą.

Mówiła to z tajonem drzeniem, któremu jednak nie pozwoliła wyrazić się w głosie.

Wacław milczał. Rzeczywiście zamiary jego musiały być odłożone; matka jego stwierdziła tylko fakt oddawna mu znany.

A ona mówiła mu dalej:

— Więc czasu tego zwłoki mógłbyś użyć na odbycie podróży...

Ale on nie dał jej dokończyć.

— Żartujesz chyba, mamó — zawołał.

— Ja nie mam czasu na rozrywki i po-

dróże, ja muszę myśleć o rzeczy ważniejszej, o środkach utrzymania rodziny.

Pani Julska zbladła i opuściła ręce. Więc on, jej syn, tak dumny, przywykły nosić głowę wysoko i nigdy jej nie ugiąć przed nikim, teraz miał być zmuszony pracować na chleb, a zatem znaleźć się w położeniu zależnem, ulegać, a wreszcie poznać z doświadczenia najbardziej gorzki wyraz ludzkiej mowy — prośbę!

Próbowała z kolei wszystkich środków, jakie były w jej mocy, ażeby nakłonić go na swoją stronę, ale wszystkie okazały się daremne. Nie pozostawało więc już, jak dać mu własną wolę i czekać aż sam pozna przykrość i trudy, do których uchronić go chciała. Zapewne wydadzą mu się one podwójnie gorzkie, z powodu że tak mało był do nich nagięty wychowaniem; zapewne środek ten będzie najskuteczniejszy.



Pani Julska знаła świat nie według konwencyonalnych danych, ale praktycznie; wiedziała więc, że pomimo wszystkie piękne aksyomaty o pracy, która uszlachetnia, jak to głoszą arcy idealne romanse, podobne usiłowania zawsze pomniejszają w jego oczach człowieka i odejmują coś z wartości jaką daje niezależność. Nie chciała więc tej krzywdy czynić jedynakowi swemu, czyli jak mówi przysłowie, znajdowała się pomiędzy młotem a kowadłem, bo było i tak źle i tak niedobrze.

Kiedy ważyła w ten sposób trudności, jakie ją otaczały, Wacław mówił dalej.

— Ty musisz dopomóc mi w tem, mamó. Dotąd życie moje było snem rozkośnym, lecz obudziły mnie z niego wypadki. Czas zacząć pracować poważnie. Doradź mi co mam czynić, przyjdź w pomoc swymi stosunkami.

Żądanie było postanowione wyraźnie i zmuszało ją niejako do kategorycznej

odpowiedzi; nie należała jednak do rodzaju ludzi, których jakiebądź położenie zastaje nieprzygotowanymi. I w tym razie potrafiła znaleźć wybieg naprędce. Udała wielkie zdziwienie.

— Prawdziwie, Waławie, — odparła — nie pomyślałam dotąd o czemś podobnem.

Było to kłamstwo. Przeciwnie, położenie syna stałe jej myśl zajmowało. Wymawiając atoli te słowa, usta jej nie zadrgały, czoło się nie zachmurzyło. Spoglądała na niego ze zwykłą pogodą, pełną tylko smutku.

— Więc jesteśmy o niej razem — zawołał. — Wszak nie jesteśmy zupełnie pozbawieni środków, nieprawdaż, matko?

Pierwszy to raz Waław stawił jej podobne zapytanie. To też twarz jej wyraziła najwyższe zdumienie.

— Zkądże — wybuchnęła — mogło ci przyjść na myśl coś podobnego? Wiesz

przecie, że nie posiadamy nic wcale, prócz mojej emerytury.

Zwykle pomiędzy nimi nie było mowy o kwestyach pieniężnych; Wacław jednak był przyzwyczajony do natychmiastowego spełniania wszelkich swych pragnień, choć wymagania jego zwykle zamykały się w obrębach możliwości. Posiadał tyle szlachetnej dumy i tak bardzo kochał matkę, iż nigdy nie przekroczył w wydatkach środków, jakich mu hojnie dostarczała. Zresztą przyzwyczajony był od dzieciństwa do pewnego umiarkowania, które stało mu się drugą naturą.

— To prawda — wyrzekł z zastanowieniem — A jednak apartament jaki dla nas przygotowywałaś...

— Apartament — przerwała mu z westchnieniem — niestety, wszystko w nim kupione było na kredyt. Rachowałam na posag Reginy...

Rzecz odnosiła się do przeszłości, a przecież zarumienił się, słysząc te słowa. Było w tym fakcie, zresztą bardzo powszechnym, coś bardzo upokarzającego. Drażniła go myśl, iż zbytek, jakim pragniono otoczyć młodą małżonkę, ona sama zapłacić miała.

— Więc cóż pocniemy teraz? — pytał zafrasowany.

— Nie lękaj się — przerwała matka — Część tych sprzętów kupcy wezmą napowrót, a część spieniężę sama z małą stratą.

— A jakimże sposobem — zapytał po chwili — myślałaś dla mnie o kosztownej podróży?

— Zapominasz — zawołała — że to co mam tylko do ciebie należy. Ograniczyłam własne wydatki, ograniczyła bez najmniejszej przykrości, pozbyła się zbytowych przedmiotów.

Mówiła to z wylaniem i mówiła prawdę, przynajmniej po części. W ostatnich



czasach, skoro małżeństwo Waława zostało ułożone, puściła wodze wydatkom, a tym sposobem kapitał, jaki zaoszczędzić zdołała, zmniejszył się znacznie. Przeznaczonym on był na tę ważną chwilę i przeznaczeniu swemu zadość uczynił. Rzeczywiście jednak środki jej wyczerpały się niemal zupełnie.

— Więc pomyśl, mamó — mówił niezrażony Waław — że ja nie mam nic, prócz dobrej woli do pracy i uczciwości. Słyszałem nieraz, że to także jest kapitałem i może dać miejsce odpowiednie, wymagające moralnych rękojmi.

Spojrzała na niego, ale już dawnym, nieprzejrzanym wzrokiem. Zapanowała stanowczo nad wzruszeniem i pozostawiając na boku serdeczne czynniki, postanowiła działać. jak to czyniła dotąd — rozumem.

— Zapewne — odparła po długiej chwili — jeśli będziesz pracował niezmqordowanie, jeśli okażesz się pilnym i zdol-

nym, a przytem długiem, nieskazitelnem postępowaniem dasz rękojmię przyszłości; jeśli nadto potrzeby twoje nie będą zbyt wygórowane, możesz po wielu latach dostać miejsce kasyera w jakiej prywatnej instytucji i pracując kilkanaście godzin dziennie, zarabiać jakie tysiąc rubli rocznie, ty, co zwykłeś dwa razy tyle wydawać na swoje potrzeby i przyjemności.

Mówiła to z rodzajem chłodnej obojętności, jakby nie chodziło o ukochanego syna, jakby postanowiła rozbierać rozważnie kwestyę niemającą nic z uczuciem wspólnego.

Cyfry wypowiedziane przez matkę sprawiły na nim piorunujące wrażenie.

— Jakto! po długich latach? — zawołał — Ja dopiero po długich latach mógłbym zyskać zaufanie?!

— Ubogi jest zawsze podejrzany — odparła spokojnie.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc zrazu znaczenia tych wyrazów.

— Jakto, ja, ja mógłbym być podejrzanym? — szepnął, a rumieniec oburzenia wystąpił mu na czoło. — Przecież znają mnie wszyscy.

— I cóż stąd? — odparła niewzruszona tym wybuchem. — Znają cię jako człowieka, którego środki są równoważne z położeniem. Pamiętaj, że położenie rządzi ludźmi i często zmienia ich z gruntu. Po między tymi, którym na niczem nie zbywa, przeniewierzenie się pieniężne należy do faktów wyjątkowych. Uspokój się — dodała, widząc, że Waclaw słucha jej niecierpliwie — pomyśl, że to nie ja przemawiam w ten sposób, ale że będzie to prawdopodobnie myśl ludzi, którzyby chcieli dać ci zajęcie. Nowość zawodu, do jakiegobys przystępował, stanowi najgorszą rekomendacyę, bo nikt nie wie z góry, czy się nagiąć stosownie potrafisz. A ty sam

czy pewny jesteś, że podolasz drobiazgowej, nudnej, nieubłaganej robocie, że w każdej chwili potrafisz być panem myśli i uwagi swojej? Czy możesz ręczyć za siebie? bo ja tego nie śmiałabym uczynić.

Była długa chwila milczenia. Wacław przechadzał się po małym saloniku matki, zasłanym dywanami, aż wreszcie zatrzymał się przed nią.

— Powiedz lepiej, że nie chcesz mi dopomóc — zawołał, hamując z trudnością niecierpliwe uczucia.

— Mylisz się — odparła smutnie, ale ze zwykłą słodyczą. — Nie moja wina, jeśli słowa moje gorzkimi ci się wydają. Mówię z tobą tak, jak mówiłabym z każdym innym, szukającym u mnie protekcyi.

— A więc dobrze, ja sam o swojej przyszłości myśleć będę!

Skłoniła smutnie głowę. Nie było w niej znać gniewu żadnego za tę szor-



stką odpowiedź, tylko serdeczne pełne li-  
tości współczucie.

— Ha! — szepnęła — obym się omy-  
liła, a tyś był szczęśliwym!

Te łagodne słowa wzbudziły w nim  
wyrzuty sumienia. Pochwycił ręce matki  
i całować je zaczął. Oddawała je martwo  
uściskom jego, ale o nic nie pytała; snadź  
nie miała nadziei, by usiłowania jego od-  
niosły skutek, a lękała się, że może być  
posądzona o złą wolę.

On też nie był usposobionym do zwie-  
rzeń i oddalił się szybko, jakby pilno mu  
było w czyn zamienić zamiary.

Pani Julska patrzyła za nim długą  
chwilę, dopóki nie zniknął jej z oczu. Ręce  
jej zaplecione spoczywały spokojnie na ko-  
lanach, a usta wyszeptały tylko:

• — Ha! niech spróbuje!

Wacław miał już usnuty projekt jakiś z którym wychodził od matki. Zamknął się w swoim pokoju i pracował pilnie nad czemś przez dni parę. Przez ten czas tylko w godzinach obiadu lub herbaty widywał matkę, rano zaś nawet śniadanie kazał do siebie przynosić.

W chwilach, które z konieczności spędzili razem, panował rodzaj rozejmu. Każde z nich unikało starannie drażliwych kwestyj i tego wszystkiego, co z niemi związek mieć mogło. Mówili o pogodzie, o potocznych wydarzeniach, ale rozmowa podobna, do której nie byli nawykli oboje, rwała się co chwila, świadcząc o przymusie obustronnym.

Wówczas pani Julska wzdychała cicho i spoglądała żałośnie na pięknego jedynaka. On zaś był milczący, często w jakimś gorączkowym usposobieniu; naprzemian miał wyraz radosny, jak gdyby pewnym był jakiegoś wielkiego tryumfu, to

znów ponury i roztargniony, nie słyszał słów do siebie zwróconych.

Pani Julska znosiła to nierówne usposobienie z anielską cierpliwością i czekała, co z tego wypadnie dalej. Ukradkiem jednak śledziła syna, ale czyniła to tak zręcznie, że nie mógł się domyślać nadzoru, jaki nad nim rozciągnęła.

Aż wreszcie dnia jednego praca Wacława musiała być ukończoną, gdyż zaraz po obiedzie wyszedł pospiesznie i skierował się prosto do jednej z większych cukierni, posiadającej obszerny lokal.

W jednym z bocznych pokoi zbierali się tam zwykle o pewnych godzinach ludzie znający się dobrze między sobą, co nadawało zgromadzeniu charakter niemal prywatny. Schodzili się tutaj młodzi literaci, artyści, dziennikarze i kilku przedstawicieli czysto światowej młodzieży, którzy byli z nimi w stosunkach. Do tych ostatnich należał Wacław, bo jakkolwiek

drukował parę razy ulotne wiersze lub subtelne nowele, były to prace czysto dyletanckie i nie nadały mu jeszcze prawa obywatelstwa w literaturze. Żywy, wykształcony, będąc panem swojego czasu, lubił tu spędzać czasem poobiednią godzinkę i pogawędzić z ludźmi, których wyjątkowo tylko spotykał w niektórych salonach. I jego też lubiono tutaj, a szczególnie był w dobrych stosunkach z panem Edwardem, młodym i wesołym chłopcem, pracującym w redakcyi jednego z większych dzienników, oraz z panem Adamem, który, chociaż nie posiadał tak określonego stanowiska, przecież miał znane nazwisko i znaczenie w wielu pismach.

Dawno bardzo nie widziano tutaj Wacława; mimo to jednak gdy wszedł, nikt go nie zapytał czemu się tu nie pokazywał, bo charakterystyką tego świata było nie troskać się zbytecznie o bliźniego. Ten



i ów powitał go przyjaźnie i rozmowa toczyła się dalej pomiędzy zgromadzonymi.

Wacław usiadł o ile mógł najbliżej pana Edwarda, kazał sobie dać czarną kawę, zapalił cygaro i poczęstował dziennikarza najlepszem jakie posiadał.

Rozmowa była bardzo zajmująca, poruszała wszystkie bieżące przedmioty, przeskakiwała z jednego na drugi. Wacław byłby niezawodnie w każdej innej chwili słuchał jej z przyjemnością i dorzucił swoje słówko, teraz jednak widocznie myślał o czemś innym. Parę razy zbliżał się do pana Edwarda, jakgdyby miał mu coś ważnego do powiedzenia, ale zawsze przeszkodził mu jakiś wybuch ogólnego śmiechu, spowodowany konceptem czyim, lub żywsze starcie zdań, albo wreszcie zatrzymywał się sam, bez widocznego powodu. Im bardziej przedłużało się to położenie, tem stawało się przykrzejszem dla Wacława. Patrzył w oczy swego dobrego znajo-

mego, którego do tej pory nazywał w duchu przyjacielem; teraz jednak zdawał się ważyć tę mniemaną przyjaźń na szali rozważi, a im więcej myślał, tem mniej na nią rachował.

Było to uczucie nie wytłumaczone, niemal instyktowne, bo pan Edward, jasny blendyn, o delikatnych rysach, złotawej brodzie i spojrzeniu które można było nazwać przebiegłym, spoglądał na niego z bardzo przyjaznym uśmiechem, puszczał swobodnie kółka dymu z wybornego cygara, jakim poczęstował go Wacław i nie zgoła w obejściu jego o ubytku przyjaźni świadczyć nie mogło.

Trwało to czas jakiś, upływały minuty i kwadransy. Nadchodziła godzina, w której zgromadzenie rozchodzić się przywykło. Ten i ów wziął już za kapelusz, gdy wreszcie Wacław zdecydował się przemówić. Przysunął swoje krzesło do sofki, na której siedział dziennikarz.

— Chciałbym... — wyrzekł.

Urwał nagle; gardło jego było suche i ściśnięte, czuł, że słowa w nim więzły.

Edward uprzejmie pochylił się ku niemu, czekając co dalej powie.

— Chciałbym — wykrztusił Waclaw, któremu rumieńce wystąpiły na czoło — chciałbym powiedzieć ci słów parę.

Wstęp to był niezręczny. Edward spojrział zdziwiony na Waclawa, który nigdy niezręcznym nie był, lecz przeciwnie. posiadał w najwyższym stopniu łatwość światowego obejścia. Jednak nie dał poznać tego po sobie.

— I owszem, mówmy — odparł ze wzrastającą uprzejmością.

— Chciałbym — powtórzył Waclaw, któremu znaleźć dalsze słowa zdawało się niepodobieństwem.

I namyśliwszy się chwilę, rzucił nagle wszelkie omówienia.

— Napisałem nowelę — wyrzekł odrazu.

Pan Edward słysząc to, przybrał w tej chwili pobłażającą minę, jaką miewają czasami starsi dla wybryków dziecinnych. Tłumaczył on sobie wahanie się Waława nieśmiałością autorską i dlatego nie stracił wcale przyjaznego wyrazu.

— Nowelę? — powtórzył z uśmiechem — nowelę? Trzeba to będzie zobaczyć. Drukowałeś już coś podobno pod jakimś pseudonimem, nieprawdaż? Życzyłbyś sobie zapewne umieścić ją w naszym odcinku?

— Tak, chciałbym tego bardzo — mówił Waław, przychodząc trochę do siebie.

Edward gładził brodę, milcząc przez chwilę, z całą powagą, jaką daje położenie.

— No, bądź spokojny — powtórzył — zobaczymy, czy się coś z tego da zrobić.

Cygaro Edwarda było już wypalone; Waław podał mu drugie z eleganckiej



szyldkretowej cygarnicy i Edward łaskawie przyjąć je raczył. Nie zapytał jednak ani o treść noweli, ani o jej rozmiary; widocznie rzecz ta nie obchodziła go wcale, także nie wyobrażał sobie, by nowela Wacława miała jakąkolwiek wartość. Mógł wprawdzie umieścić ją przez swoją wysoką protekcję w odcinku dziennika, którego był współpracownikiem, ale jedynie jako dowód szczególnej łaski, boć przecie wiadomo, że nie same arcydzieła umieszczają się w odcinkach, że publiczność jest pobłażająca, a często i dobra do tego stopnia, że zadowala się najczystsza plewą.

— No, no — mówił dalej — czy naprawdę masz literacką żyłkę, czy też opisałeś tylko jaką osobistą przygodę?

— Ależ nie — przeczył energicznie Wacław.

— Dlaczegożbyś pisał w takim razie? — ciągnął zawsze uśmiechniony przyjaźnie protektor.

— Dlaczego? — powtórzył gorączkowo młody człowiek — Chcesz wiedzieć, więc powiem ci. Położenie moje się zmieniło, potrzebuję zarobku i myślałem ..

Zatrzymał się nagle, uderzony zmianą twarzy dziennikarza. Skoro wspomniiał o noweli, twarz ta z koleżańskiej stała się protekcyjną, choć zawsze przyjazną, teraz zaś w miarę jak mówił Wacław, znikał z niej przyjazny wyraz, a natomiast występowała urzędowa sztywność, jakiś odstręczający chłód, którego dotąd nigdy na niej nie dostrzegł.

— Aaa... — wyrzekł przeciągle.

Nawet zapomocą różnorodnych muzycznych tonów byłoby niepodobieństwem oddać stopniowania, jakie zawierała najniewinniejsza z pozoru samogłoska, od której zaczyna się abecadło. Brzmiało w niej zrazu zdziwienie, potem pewien niepokój, jaki ogarnia człowieka, skoro spostrzeże, iż był bliskim popełnienia bardzo nierozważnego

kroku, potem oburzenie dochodzące do gniewu, a wreszcie szyderstwo, dotkliwe i bolesne szyderstwo.

Owo aaa! które wyszło z ust jego, równało się naprzykład takiej przemowie;

— Jaktó! ty, niepowołany, nienamaszczony farbą drukarską, ty, który z pewnością nie masz ani talentu, ani wiadomości potrzebnych, ty bierzesz się do pióra i to jeszcze nie z czystego amatorstwa, co byłoby rzeczą mniejszej wagi, ale dla zarobku? Podszedłeś niegodnie moją dobrą wiarę. Uważałem cię za człowieka niezależnego, zamożnego, którego znajomość mogła mi być w danym razie pożyteczną, a tymczasem to ty potrzebujesz mojej protekcji. Jak to pozorem do wierzać nie można!...

Że jednak owo przeciągłe *a* nie było w istocie swojej odpowiedzią na zwierzenie Waclawa, Edward uznał za stosowne dać mu inne.

— Jakto! — zapytał już zupełnie zgóry, z odcieniem najwyższego podziwu — chciałbyś żyć z pióra? Sądzisz więc, że to rzecz łatwa, że to każdy potrafi?

Wacław wierzył dotąd przysłowiu, że święci garnków nie lepią, ale spojrzenie Edwarda przekonywało go dowodnie, że się mylił, a nawet o tem, że on, Edward, ulepiony był zupełnie z innej gliny, niż reszta śmiertelników.

— Ja nie wiem — wyrzekł mimowolnie zmieszany — nie wiem czy mam talent. Przedtem „drukowano mnie“ i chwailono, sądziłem więc, że przy wprawie, pracy...

— Wszystko się zdaje łatwem — przerwał szyderczo Edward — kiedy kto nie pojmuje zadania, jakiego się dotyka. Dziennikarstwo, to najwyższa potęga dziewiętnastego wieku; od nas zależą losy narodów i pojedynczych jednostek, my tworzymy i burzymy sławy, my dajemy po-



wodzenie, lub wtrącamy w przepaść zapomnienia; od nas zawisł los każdego, fortuna, dobre imię, my stoimy na straży obyczaju, bronimy ołtarza, wytwarzamy idee, budujemy świat nowy i nazywamy się milion, bo w naszych rękach leży przekonanie mas.

Logicznem zakończeniem tej mowy było zapytanie: I czemże ty jesteś, ty marny prochu, żeby się z nami równać? Dziennikarz nie wypowiedział go jednak, ale tkwiło ono wyraźnie w jego spojrzeniu, zwróconem z wyrazem świadomej siebie wyższości na Wacława.

— Mój Boże! — zawołał ja nie mam tak wysokich zamiarów... Chciał powiedzieć, że choćby nawet nie posiadał wybitnego talentu, to w dziennikarstwie pełno jest mniej ważnych robót, które zwyczajni jak on ludzie wykonywać mogą; ale pan Edward, bo teraz w myśli nawet własnej nie śmiał go nazywać wprost

Edwardem, przerwał mu znowu ze wzrastającym zapalem:

— Przeciwnie, zamiary także mieć potrzeba, inaczej zniża się tę moralną władzę, do której powołani jesteśmy. Trzeba się czuć na jej wysokości, trzeba pamiętać, że jesteśmy rycerzami naszej epoki, wielkim zakonem, walczącym w imię idei.

Na tak wzniosły frazes należało tylko schylić czoło i umilknąć. Tak też uczynił Wacław, a dziennikarz strząsnął z pogardą popiół ze swego cygara, wziął kapełusz i niepytając więcej o nowelę, do której umiaszczenia widocznie stracił wszelką ochotę, pożegnał go wyniosłym skinieniem głowy, które tylko zapomocą wielkiej dozy dobrej woli można było uważać za ukłon, i majestatycznym krokiem wyszedł z cukierni.

Biedny autor, niezmiernie zmieszany, pozostał na miejscu, rozmyślając nad całym zdarzeniem. Było ono dla niego zdu-

miewajacem. Człowiek którego znał dobrze, z którym od lat kilku był w najlepszych stosunkach, któremu niejedną towarzyską przysługę wyświadczył, nagle w jego oczach przetworzył się do niepoznania i obszedł się z nim jak ze szkolnym żakiem, nie raczywszy nawet rzucić okiem na jego pracę i przekonać się, czy w samej rzeczy żadnej nie ma wartości.

Głębiej szperając w swojej pamięci, byłby sobie przypomniał, jak tenże sam pan Edward nieraz, słuchając jego rozmowy i dowcipów, których za dobrych czasów nigdy nie brakło, mówił zachęcająco: „Napisz z tego humoreskę,“ albo też: „wyborny z ciebie byłby fejletonista, próbuj sił swoich.“

Kiedy wreszcie Wacław przyszedł do siebie i obejrzał się w około, towarzystwo się rozpierzchło i był prawie sam jeden. Podniósł się powoli i oddalił się także.

W tej chwili, jak powiada poeta, skorzystał trochę, trochę dojrzał.

Dojrzałość ta jednak nie dochodziła do miary doświadczenia, gdyż nie rozumiał wcale tego, co go spotkało. Wystąpienie pana Edwarda miało dla niego znaczenie dachówki spadającej mu na głowę, ale przyczyna była rzeczą przechodzącą jego pojęcie.

To też wszystkie górne wysłuchane frazesy nie wpłynęły na jego zamiary. Pan Edward przecież nie był jedynym człowiekiem, pod którego opiekuńcze skrzydła mógł się dostać, ani dziennik w którym pracował jedynym dziennikiem. Więc jak człowiek uderzony dachówką, nie zważając na ból doznany, strząsnął z siebie pył jaki na niego rzuciła i szedł dalej niezrażony, drogą jaką iść zamierzał.

Zastanowił się przez chwilę, do kogo by się udać, i postanowił pójść do pana Oktawiusza, którego właśnie w cukier-



ni wśród zgromadzenia artystyczno-literackiego nie zastał.

Pan Oktawiusz zajmował w jednym z eleganckich domów, w nowowznoszącej się dzielnicy, małe, ale ślicznie urządzone kawalerskie mieszkanie.

Był to człowiek około lat trzydziestu, z zaokrąglonym podbrudkiem i miesistymi wargami, które świadczyły o zamiłowaniu w dobrem życiu i skłonności do sabarytyzmu.

Siedział on w oknie otwartem na ogród, w kołyszącym się fotelu, a ponieważ było gorąco, zapijał limonadę z lodem, przerzucając jakieś dzieło, z którego miał pisać sprawozdanie.

Z powodu gorąca pulchne jego kształty okrywał zarzucony szlafrok z lekkiego materiału.

Gdy tak wygodnie spoczywał przed biurkiem zastawionem wytwornymi gracikami, gdy oczy jego błędziły po pięknych

rycinach i fotografiach, zdobiących ściany, mógł służyć bezpiecznie za okaz zadowolonego dobrobytu.

Widząc wchodzącego Wacława, nie ruszył się z miejsca, tylko wyciągnął do niego rękę przyjaźnie.

— Czy nie przeszkadzam? — spytał nowo przybyły.

— Ależ nie, nie, przeciwnie — mówił pan Oktawiusz, rad w duszy, że mu ktoś przerywał robotę, tembardziej, że lubił Wacława, który nikomu nie stanął na drodze, każdemu starał się być pożytecznym i przyjemnym.

Wskazał mu miejsce naprzeciw siebie, z drugiej strony biurka, i rozpoczął rozmowę o potocznych sprawach, która szła gładko dopóki nowoprzybyły nie wyrzekł:

— Przyszedłem do pana w interesie.

Pan Oktawiusz interesów nie lubił, to też uśmiechnięta twarz jego przedłużyła się nieznacznie, chociaż interesa ja-

kie mógł mieć Waclaw nie były zapewne wcale przykrymi. Co najwyżej chodzić mogło o jaką zabawę, spacer lub piknik. Ale sam wyraz miał dla niego coś rażącego.

— No, cóż to takiego? — zapytał.

Ucho Waclawa, które zaczęło nabierać wprawy w subtelnem odróżnianiu odcieni głosu, zostało zaniepokojone tonem tego pytania. Przecież mówił dalej:

— Znając pańskie stosunki, powagę literacką, wpływy w rozmaitych pismach, a nadewszystko talent, udaję się do pana...

Wmiarę jak mówił, rozpogadzała się twarz pana Oktawiusza, bo pochwałę własną miło jest zawsze usłyszyć, zwłaszcza gdy wypowiedzianą jest przez tak bezinteresowne usta.

— Tak... tak... — przerwał — mam niejakie wpływy. O cóż to chodzi?

To właśnie najtrudniej było wypowiedzieć Waclawowi; przecież, zachęcony tym wstępem, zaczął nieśmiało:

— Mam tutaj małą próbę mego pióra.

— Aha! znalazłeś pan czas na to? Ładnie, bardzo ładnie! Jak to szlachetne zajęcie

— Chciałbym zasięgnąć rady, czy warto ją gdzie umieścić.

— Będzie to może trudno. przecież coś da się zrobić — mówił dalej pan Oktawiusz. — Zostaw to pan, zobaczymy.

— Chodzi mi o to bardzo — tłumaczył się Wacław.

— Ależ rozumiem, rozumiem. Pierwsze próby pióra, to tak jak pierwsza miłość.

Słowo to, rzucone przypadkiem, dodało odwagi Wacławowi; wspomniał na Reginę, na przyszłość jaką zdobyć musiał dla siebie i dla niej, więc mówił już śmielej:

— Nie o samą autorską miłość własną mi idzie.



— Więc o cóż? — zapytał dobrodusznie pan Oktawiusz.

— Potrzebuje znaleźć sobie chlebobajne zajęcie; przyznawano mi trochę zdolności, więc chciałbym spróbować, czy nie uda mi się spożytkować ich w literaturze...

Zatrzymał się nagle, bo na twarzy pana Oktawiusza zauważył zmianę, podobną do tej, jaką widział u pana Edwarda. Za każdym słyszaniem głosem twarz ta się przeciągała, wesołe, okrągłe oczka nabierały powagi i stawały się surowemi.

Chlebobajnego zajęcia — zawołał wreszcie — pan chcesz szukać go literaturze?

I mówiąc to, piorunował Wacława, spojrzeniem, niby sprawiedliwy sędzia winowajcę przyznające się do przystępstwa.

— Tylu ludzi z niej żyje — odparł naiwnie młody człowiek, nie pojmując wcale gdzie znajdowała się istota przestępstwa — iż zdawało mi się...

Ale pan Oktawiusz nie chciał zostawić mu wątpliwości pod tym względem, dlatego przerwał gwałtownie:

— Tu właśnie leży nieszczęście naszego czasu.

— Nieszczęście? — powtórzył przestraszony Wacław.

— Tak jest, nieszczęście; kapłaństwo sztuki poszło w poniewierkę...

I na ten temat wypowiedział świetną mowę, pełną kwiecistych zwrotów, patetycznych wykrzykników i głębokich westchnień za owymi błogimi czasami, w których poeci żyli wprawdzie na poddaszach, karmili się suchym chlebem, ogrzewali zapalem, ale za to tworzyli arcydzieła.

Wacław słuchał go zdumiony, niebardzo rozumiejąc powodu tej wymownej burzy, przeciw której można było znaleźć wiele przekonywających argumentów i nie tykając nawet takich kolosów jak Szekspir, wyliczyć wielu znakomitych ludzi, któ-

rym geniusz nie przeszkodził myśleć o materyalnych warunkach bytu, w końcu zaś zapytać samego pana Oktawiusza, dlaczego nie wynosi się na poddasze i nie zapełnia darmo swemi arcydziełami szpałt dzienników, w których jest współpracownikiem. Ale ta myśl nie przysłała mu do głowy, a choćby i przysłała, nie byłby jej wypowiedział, bo i na cóżby się to przydało?

On słuchał i dziwił się. Dlaczego jego zamiary i szukanie pracy na tem polu miało być gorszem od pracy tylu innych, którzy, nie roszcząc sobie prawa do wielkich zasług, nie sądząc się geniuszami wcale, potrafili jednak stać się pożytecznymi?

Ale kiedy pan Oktawiusz wpadł w za-  
pał i zaczął piorunować na zepsucie wie-  
ku, nie było już na to żadnej rady, bo  
w podobnej chwili słuchał tylko samego

siebie, a każdy głos opozycyjny podniecał jego krasomówno.

Wacław wiedział to z doświadczenia. Wiedział także, iż nowela jego z tego powodu zgóry musiała być potępioną; więc napróżno nie wydobywał jej z ukrycia, a skoro wśród burzy jaką nieświadomie wywołał zdołał pochwycić jakąś spokojniejszą chwilę, pożegnał się i wyszedł, niewstrzymywany wcale przez pana domu, który wyczerpawszy swój zapas mrożonego napoju, wołał na służącego, by mu drugą szklanekę sporządził, i kołysał się dalej w swoim fotelu, rozmyślając zapewne o owych arkadyjskich czasach literatury, kiedy natchnienie nie mogło być spożytkowane choćby na nabycie najsuchszego kawałka chleba i kiedy jej adepci tworzyli arcydzieła na poddaszach.

Rozmyślania Wacława, gdy wyszedł z eleganckiego sanktuarium Oktawiusza, były innej natury. Niepowodzenie dwukro-



tnie zadziwiło go, lubo nie odebrało mu jeszcze w zupełności zaufania we własne siły i w możność ich zużytkowania. Zdrowa logika, nieobałamucona sztucznymi rozumowaniami, mówiła mu, że trafił na jakieś wyjątkowe usposobienia swoich pseudo-przyjaciół, bo nie pojmował bynajmniej, o co im właściwie chodziło. Pomimo to powrócił do domu nierad z siebie i drugich, jak zwykle bywa, gdy komuś coś się nie uda.

Miał on jednak pewną dozę wytrwałości w charakterze i ta budziła się w nim pod naciskiem potrzeby. Uzbroidł się przeciw obojętności, a więcej jeszcze przeciw buntom własnej natury, bo nienawykły do występywania w roli zarobkującego, z trudnością nagiąć się do niej potrafił i rozpoczął znaną dobrze przez autorów wędrówkę z rękopisem po redakcyach.

Słowa więzły mu w gardle, głos odmawiał posłuszeństwa, gdy przychodziło

mu, powtarzać, jaki interes go sprowadzał. Dzięki stanowisku jakie w świecie zajmował i przelotnej znajomości, spotykał się zwykle z grzecznym uśmiechem redaktora, który miał zawsze pełne biurko wybornych powieści i artykułów i drugie tyle pozamawianych u najznakomitszych autorów, oraz mnóstwo współpracowników.

Po dwóch dniach wędrówek, zupełnie bezskutecznych, ostatecznie zniechęcony wychodził z redakcyi codziennego pisma, na którą najwięcej rachował. Tam już był śmiałym, niemal natarczywym, prosił bowiem redaktora o powierzenie mu jakiego tłumaczenia, lecz i to nawet odmówionem zostało.

Teraz zadawał sobie pytanie, kto właściwie zapelnia owe łamy kilkudziesięciu pism, w których mieści się przecież tyle oryginalnych i tłumaczonych utworów, kiedy ci wszyscy co dzierżą pod tym względem berło, nie raczyli nawet zajrzeć

do rękopisu autora i osądzić czy wart druku.

Pytanie to miało znaleźć rozwiązanie niebawem. Wychodząc z tej ostatniej redakcyi, Waław spotkał się oko w oko z jednym swoich dawnych kolegów, z którym siadywał razem na szkolnej ławce. Później Waław poszedł do uniwersytetu, do którego ten kolega nie uczęszczał; nie stracił go przecież z oczu, bo na ulicy, teatrze, spacerach, jeśli nie na towarzyskim spotykali się nieustannie.

Antoni, pospolicie znany Antosiem, był to człowiek bez majątku, bardzo średnich zdolności, którego nazwisko od pewnego czasu nabrało rozgłosu, a położenie materyalne zdawało się nie nie zostawiać do życzenia.

Z wyrazem zadowolenia i spokoju, jaki daje pewny grunt pod nogami, wchodził on w progi redakcyi, z której właśnie wychodził Waław.

— A ty co u nas robisz? — zapytał go bez ogródki.

U nas... ten wyraz uderzył Wacława.

— Jako u was? — zapytał.

— No tak, w naszej redakcyi.

A widząc, że Wacław mu nie odpowiada, ciągnął dalej:

— Pracuję od lat kilku i, między nami mówiąc, wiele bardzo rubryk zapełniam, a jak widzisz, nieźle mi się dzieje.

Więc Antoś, poczciwy Antoś, który mógł być najlepszym chłopcem w świecie, ale z pewnością prochu nie wymyślił, Antoś, który zaledwie zdołał skończyć szkoły i nie posiadał ani wyższego wykształcenia, ani znajomości obcych języków — Antoś był jednym z głównych współpracowników pisma, którego łamy zamykały się przed nim z góry! Było tu coś niepojętego, a przynajmniej przechodzącego zupełnie jego wyobrażenia o rzeczywistości, tembardziej teraz, gdy snuły się wśród nich ciągle



wzniosłe definicje pana Edwarda o rycerzach ducha, o zakonie idei, lub poetyczne westchnienie pana Oktawiusza do arcydzieł pisanych o głodzie i chłodzie na poddaszu.

Patrzył on szeroko otwartemi oczami na Antosia, na jego pulchną i uczciwą twarz, pełną wewnętrznego zadowolenia, na pospolite rysy, które niczem nie przypominały tych wzniosłych ideałów.

Zdziwienie musiało wymalować się bardzo wyraźnie na jego twarzy, bo Antoś, niebył domyślny z natury, zapytał:

— Cóż cię w tem tak dziwi? Czy nie wiedziałeś o moich zajęciach? Prawda, żyłeś w innym świecie.

Rzeczywiście do tej chwili Wacław nie pomyślał wcale o szkolnym koledze, inaczej byłby się do niego udał; teraz jednak skorzystał z tego spotkania i opowiedział mu w krótkich słowach swoje przygody.

Antoś słucał go z uśmiechem, a nawet przyznać trzeba, że uśmiech ten podobnym był bardzo do szyderstwa.

Rozmawiając, weszli do Saskiego ogrodu, który był prawie pusty o tej porze, i usiedli na jednej z osamotnionych ławek.

— Wytłumacz mi wreszcie to, co mnie spotkało — kończył Waclaw — bo przysięgam, że ja tego rozumieć nie mogę.

Antoś uśmiechał się ciągle.

— Hm! — wyrzekł przez zęby — byleś zawsze mędrszym odemnie, a nie rozumiesz tak prostej rzeczy.

— Nie pojmuję! Co oni mogli mieć przeciwko mnie?

— Nie mieli nic, nic wcale, tyle tylko, co przeciw pierwszemu lepszemu, któryby tak jak ty postępował.

— Ale cóż ja takiego zrobiłem?

— Nie zrobileś nic, tylko widzisz, przyzwyczaiłeś się wszędzie wchodzić frontowymi drzwiami.

— Frontowymi drzwiami? powtórzył machinalnie.

— No tak, wiesz przecie, że prawie wszystkie mieszkania mają drzwi kuchenne, którymi zwykle wchodzi interesanci. W życiu dzieje się tak samo: często gdy pierwsze są szczelnie zamknięte, te drugie otwierają się na oścież. Nic nie zbudujesz, jeśli się nimi wchodzić nie nauczysz.

— Jakto? — zawołał zapłoniony Wacław.

— Och! nie oburzaj się, niema tu przecieź nic złego... nic hańbiącego. Drzwi kuchenne wprawdzie nie bywają zwykle tak czyste jak frontowe, przecieź można chodzić nimi, nie walając sobie rąk ni pióra.

Mówił to z uczciwą dumą, która mu rozjaśniła pospolite rysy i uczyniła je sym-

patycznymi. Można było przysiądz, że takie było jego prawdziwe przekonanie.

Wacław jednak słuchał go zdumiony i przerażony razem. Kuchenne schody, tylne wejścia, jeśli nie były rzeczą brudną, przecież czyniły wrażenie wstrętne, stwierdziły niejako dotykalne zniżenie stopnia w hierarchii społecznej. Miał nawyknięcia niepodległości, z którymi dzisiejsze położenie przestało być w harmonii, nie objął go je-zcze we wszystkich szczegółach, nie nawykł do zmian, jakie ono we wszystkich stosunkach zaprowadzić miało. Poczynał się dla niego nowicyat ciężki i nie ze wszystkim zrozumiał; miał się odtąd spetykać oko w oko z poniżeniem, a kto wie, może z pokusą. Tylne wejścia, o których wspominał mu z takim naciskiem Antos, mogły być rozmaitego rodzaju. Postanowił jednak wysłuchać go do końca. Są sumienia nie równej drażliwości: to co jednemu wydaje się godziwym,



drugi zmuszony jest odrzucić z pogardą. Życie i położenie zaciera nieraz pod tym względem poczucie delikatnych odcieni.

— Więc cóż ja mam uczynić? — zapytał.

Antoś popatrzył na niego przez chwilę.

— Widzisz wyrzekł — położenie twoje gorszem jest, niż każdego innego.

— Dlaczego zapytał, podnosząc dumnie głowę, jakby gotował się spotkać z jakimś niezasłużonym zarzutem.

Był rozdrażniony w najwyższym stopniu i rozdrażnienie to, kipiące w nim od dni kilku, gotów był wylać na Antosia, najniewinniejszego w tem wszystkim. Ale spotkał tak plastycznie uśmiechnioną twarz i wyraz tak dobrodusznie przyjazny, iż gorzkie słowa zatrzymały mu się na ustach.

— Dlaczego? — powtórzył praktyczny dziennikarz — ot właśnie dlatego, że mi to pytanie zadajesz. Kto inny zrozumiałby to odrazu.

— Mów wyraźniej; nie umiem rozwiązywać zagadek.

— Nie jest to, niestety, żadna zagadka. Nie jesteś pierwszym lepszym, zna cię całe miasto, a przynajmniej tak zwane towarzystwo, nie chęłanoby więc cię obrazić, dając zbyt niską cenę, ani też powierzyć ci roboty powszedniej; słowem uważają cię jako gościa, nie jako interesanta. Co innego gdybyś traktował literaturę po dyletancku i kiedy niekiedy, jak dotąd, bezinteresownie rzucał jaki utworek. Drukowanoby go wówczas, niezbyt bacząc na wartość, gdyż nosiłby pewną woń świeżości pióra, nienawykłego do literackiej roboty, i interesowałby towarzystwo do ktorego należysz... a wreszcie byłoby to zawsze oszczędnością, bo podobne rzeczy drukują się bezpłatnie. Co innego znów gdybyś miał wybitny talent; a o tem powątpiewają, bo talent nie czeka okoliczności.

Jest to potęga, która dopomina się użycia i jak oliwa wydobywa się na wierzch.

— Ależ nikt przecie nie przeczytał mojego utworu.

— Utwory, tak jak ludzi, sądzi się najczęściej według okoliczności, a pozwól sobie powiedzieć, że twój wystąpił w najgorszych.

— Dlaczego.

— Znowu dlaczego! Ale to tłumaczenia nie potrzebuje; nie trzeba było mówić zgóry, iż szukasz na tej drodze chleba.

— Kiedy tak jest.

Tu już Antoś miał usta pełne śmiechu.

— Czy nie znasz francuskiego przysłowia, które ostrzega, że nie każdą prawdę mówić należy?

Wacław patrzył na niego takim wzrokiem, iż można było przysiąc, że pomimo tych objaśnień, nic a nic nie rozumie o co chodzi.

— Czyż nie wiesz, iż najgorszą polityką jest przyznać się ludziom, że ich potrzebujemy?

-- Ależ przeciwnie, gdyby mnie kto uczynił podobne zwierzenie...

— Pomógłbyś mu całym swym poczciwym sercem — kończył Antoś...

— Naturalnie.

Antoś wziął jego obie ręce i wyrzekł:

— Mój dobry Wacławie, jeśli będziesz ludzi sądził według siebie, to ręczę ci, nie zajdziesz daleko.

— Przecież ja...

— Będziesz mi przeczył, inaczej nie byłbyś sobą, jednak przekonasz się kiedyś, że mam słusność.

— Czemu miałbym być wyjątkiem?

Antoś nie dosiadał może zmysłu dostatecznie analitycznego, ażeby na to pytanie odpowiedzieć; rady jego były czysto eksperymentalnej natury.



— Ja nie wiem czy jesteś wyjątkiem, ale widzisz, ludzie tacy jak ty nie zarobkują zwykle, a jeśli zarobkują, to muszą się zgruntu odmienić.

Wacław nie przeczył; krótkie doświadczenie dało mu poznać trudności, których przedtem nie przeczuwał.

— To nie dlatego, żeby zarobek lub zysk miałbyć nieuczciwy — mówił dalej Antoś, próbując widocznie rozplątać węzeł położenia, co przedstawiało mu niejaki trudności — tylko u ciebie jest on na ostatnim planie, a tu trzeba mieć go nieustannie, na myśli, i dlatego zawsze przez tych, co nie spuszczaają go z oczu ani na chwilę, ubieżonym będziesz.

— A ty, Antosiu? — zapytał go trochę smutno.

— Ja — odparł — nie jestem ani gorszym, ani lepszym od innych. Cóż chcesz, trzeba myśleć o sobie bo nikt inny o nas nie pomyśli.

— Masz słuszość — szepnął Wacław zniechęcony — masz słuszość zapewne. To też ja myślałem, tylko że nie mogłem myśleć inaczej, jak po swojemu, a moje myślenie, jak widzisz, nie na wiele się zdało.

Antoś zastanawiał się chwilę

— Trzeba także mieć wyrozumienie dla ludzi bardzo zajętych, którzy nie mają czasu i tracić go nie mogą. Na tej drodze, jak na każdej innej, trzeba cierpliwości, trzeba czatować na sposobność, a tutaj, jak wszędzie, miejsca są pozajmowane i nikt z miejsca nie ustąpi ci z drogi.

Miał zaprzeczoną słuszość i Wacław zaczynał to rozumieć. Zaczynał pojmować, że trudności jakie tu napotykał spotka na każdej drodze. Zmleczał, ogarnięty nieopisanem uczuciem bezmiernego zniechęcenia do wszystkiego, co go otaczało. Twarde warunki bytu, do których nie był nawykły, a które pokazywały mu się bez ob-

słon żadnych, przejmowały go rodzajem trwogi i wstrętu; cała istność jego nakształt czułka zamykała się w sobie, chroniąc się od jakiegokolwiek zetknięcia, bo zetknięcie każde zdawało mu się bolem. Nie odpowiadał na ostatnie słowa Antosia, bo słowa te nie zdawały się tego wymagać koniecznie, a przytem mignęło mu w myśli posądzenie, że Antoś może miał także własny interes, przemawiając w ten sposób i zniechęcając go do zawodu, w którym sam pracował.

Był to już czysty owoc doświadczeń dni ostatnich. Jak zwykle człowiek wyrzucony z kolei zwyczajnej. wpadł w ostateczność przeciwną i o ile dotąd ślepo wierzył ludziom, o tyle teraz bezwarunkowo zaczął im nie ufać, a nieufność ta, stając w sprzeczności z całym nastrojeniem umysłowym, czyniła go niezmiernie nieszczęśliwym i powlekała mu cały świat czarnym kirem.

Pożegnał też Antosia z rodzajem ulgi, gdy ten wypowiedziawszy mu wszystko co miał na myśli, spojrział niespokojnie na zegarek i oddalił się spiesźnie.

Nie zdołał w tej chwili myśleć o czemśkolwiek. Powrócił do siebie i nie wchodząc do matki, zamknął się w swoim pokoju. Wydobył z kieszeni paltota nowelę, która tak złego przyjęcia doznała na świecie, i jak gdyby potrzebował koniecznie wyrzec na czemś głuchą wściekłość, jaka go nurtowała, podarł ją, rzucił w piec i pastwił się nad nią, podkładając ogień, dopóki arkusz po arkuszu nie zgorzał i nie rosypał się w białawy popiół. Potem usiadł przed biurkiem w zupełnej bezczynności. Głowa mu ciężyła; oparł czoło na obu rękach i pozostał tak czas jakiś. Gdyby go kto zapytał wtedy o czem myśli, z pewnością nie umiałby odpowiedzieć, a jednak mózg jego nie próżnował. Latały po nim chaotyczne obrazy i myśli, nakształt



czarnych, burzliwych chmur, i rozsadzały mu czaszkę. Czuł że dotknęła go niesprawiedliwość, z którą nie spotykał się dotąd, czuł że świat ten jest zły, nieczemny, zupełnie inny niż to sobie wyobrażał i że jemu wśród tego świata będzie źle bardzo.

Zostawał tak długo, zapominając o czasie. Nikt mu nie przeszkodził, nikt nie przerwał samotności; dochodził go tylko gwar uliczny. Zrazu Waław nie zważał na niego, powoli jednak myśl rozkołysana jak fala zaczęła się uspokajać, zapadać w zniekanie i coraz być wrażliwszą na zewnętrzne wpływy.

---

Był to wieczór letni, słoneczny, błękitny, jeden z tych wieczorów, w których całe miasto wylega na przechadzki po dziennych zatrudnieniach i opuszcza ciasne, gorące mieszkania, na kształt pszczoł opuszczających ule. Okno Waława wy-

chodziło na jedną z ulic przyległych do Saskiego ogrodu. Przeciągały pod niem tłumy strojne i wesołe. Z ogrodu dolatywały niekiedy stłumione dźwięki muzyki i szmer, jaki sprawiają zmieszane setki głosów, stąpanie po zwirowanych alejach, bieganie i szczebioty dziecięce. Na ciemnym tle zieleni kasztanowych i klonowych liści widniały pogodne i harmonijne linie świątyni, zdobiącej szczyt wodociągowego zbiornika. A poza ogrodem wznosiła się w dali kopuła ewangelickiego kościoła, nad którą palił się cały promieniami słońca krzyż złożony, zdobiący szczyt jego, i rysowały się ciemne, posępne profile wieżyc świętokrzyżskich.

Obraz ten znał dobrze. Ile razy spoglądał nań w takie ciche letnie lub wiosenne wieczory! Teraz, gdy oko jego spotykało go znowu, budziły się w niem wspomnienia marzeń i nadziei, jakie snuł niegdyś patrząc na nie. Jakże inaczej

wówczas wydawał mu się świat cały, z jakąż pogodą i weselem wzrok jego spoczywał na tych szczytach promiennych! Z jakąż radością mieszał się z wesołym tłumem i biegł, pociągnięty magnetycznie ludzką falą, tam dokąd ona dążyła!

Czas ten był blizki, a jednak jakże zdawał mu się daleki! Pomiedzy tą blizką przeszłością, a dniem dzisiejszym, leżała jakaś niepojęta zaporą; zmienił się nie świat, ale zmieniły barwy, jakie w oczach jego przybierał; zamiast różowych szkieł, przez które spoglądał nań wprzód, los podsunął mu ciemne, smętne, dymne szkła doświadczenia.

On myślał o tem jedynie, na jakiej drodze wypadło mu szukać pracy i chleba.

Znowu przez dni parę mało wychodził ze swego pokoju, ale teraz nie spędzał gorączkowych godzin przy biurku, przechadzał się więcej, lub zmęczony przechadzką, rzucał na szezłąg, leżąc długie go-

dziny z rękoma zarzuconemi nad głową, wążac pro i contra rozmaitych przedsięwzięć.

Na myśl jednak wprowadzenia ich w czyn przejmował go dreszcz zimny, jaki przyjmuje rannego na samą myśl dotknięcia bolesnego miejsca. Wiara jego w ludzi, ufność i duma były zranione głęboko, tak głęboko, że na samo wspomnienie niefortunnych pokuszeń dni ostatnich, czoło jego powlekało się chmurą, a policzki ogniem.

W dodatku do nieszczęścia czuł, iż go się śmieszność czepiała, jaka towarzyszy zwykle wszystkim nieudanym siłowaniom, a ta myśl sama była nie do zniesienia. Miałże drugi raz podobną rolę odegrać?

Dni te więc nie były dla niego jedynie dniami namysłu, ale raczej walki wewnętrznej, strasznego łamania się. Stary człowiek buntował się w nim przeciw koniecznościom nowym, jakie nad nim zaciężyły, i nagiąć się do nich nie mógł.

---



Natura jednak Wacława była zbyt żywotną, a on sam zbyt młody, by niepowodzenie na jednym polu złamało go stanowczo. Po kilku dniach odzyskał znowu przymiot właściwy młodości — nadzieję.

Jeśli nie udały mu się literackie zamysły, toć przecie nie zamykało mu to innych zawodów. Nie trzeba zaraz upadać na duchu. Cóż znowu! świat przecie nie jest jaskinią wilków, ludzie ludziom potrzebni i pożyteczni wzajemnie. Wszakże on sam, w kilkoletniem zaledwie doświadczeniu swoim, widział ludzi, co potrafili zapanować nad okolicznościami i pracą dobić się stanowiska. Matka odmawiała mu swojej pomocy i swoich stosunków, ale tych stosunków, on sam mógł używać na własną rękę.

Przebiegł myślą ludzi wpływowych i przyjaznych jakich znał i po krótkim wahananiu zatrzymał się na panu Euzebiuszu. Od lat najmłodszych pamiętał go w ścisłej

zażyłości z matką i jej otoczeniem; a przytem świat cały sławił jego uczynność i bezinteresowność. Pan Euzebiusz zajmował ważne stanowisko przy zarządzie jednej z kolei i było mu niezmiernie łatwo pomieścić w Wacława swoim biurze.

Miał on do niego zaufanie, jakie dają dawne stosunki; znał go od dzieciństwa, bywał w jego domu, z córkami tańczył na wszystkich wieczorkach karnawałowych od lat kilku, mógł specjalnie rachować na poparcie średniej z nich, panny Zofii, bardzo dowcipnej brunetki, o parę lat za ledwie od niego młodszej, którą nawet w dzieciństwie żartobliwie żoną nazywał, a kto wie, gdyby był chciał... Ale on o tem ani myślał, a z pewnością i panna Zofia nie myślała także, przeciwnie, była powiernicą jego miłości dla Reginy i z tego powodu nawet od czasu zaręczyn bywał u państwa Euzebiuszów częściej, niż gdziekolwiek indziej. Słowem Wacław miał

wszelkie prawo do pana Euzebiusza i zdawało mu się najwłaściwiej udać się wprost do niego.

Znał dobrze zwyczaje domowe, wiedział o której godzinie mógł go zastać w domu i że czas ku temu najsposobniejszy stanowiła godzina poobiedniej kawy, którą zwykł był pijać w zimie w salonie przy kominkowym ogniu, a w lecie na wielkim balkonie, wychodzącym na kwiatowy ogródek. Miał bowiem przy kolei dom osobny, a w tym domu wszystko co życie przyjemnem uczynić może.

Jak łatwo zrozumieć, przy położeniu jakie zajmował, miał on mnóstwo znajomych, a że posiadał przytem charakter towarzyski, dostatek i córki, dom jego należał do najprzyjemniejszych w Warszawie. Ludzie cisnęli się do niego; on jednak w wyborze towarzystwa był ostrożny i niekażdy kto chciał mógł przestąpić próg jego salonu, co rozumie się nadawało mu

tem większą wartość. Interesantów zwykle przyjmował w biurze, ale Waclaw do tej kategorii liczyć się nie chciał i poszedł wprost do domu, gdzie zwykle czekało go serdeczne przyjęcie.

Zastał pana Euzebiusza na zwykłym miejscu; żona jego i dwie córki były za granicą, a panna Zofia gospodarowała ojcu. Powitała ona Waclawa z uśmiechem pełnym przyjaźni i tego nieokreślonego wyrazu, który łączy dwoje ludzi, kiedy pomiędzy nimi istnieje porozumienie, tajemnica, lub kiedy jedno z nich jest powiernikiem drugiego. Zapewne temu należało przypisać rumieniec panny Zofii i lekkie drżenie ręki, którą nowoprzybyłemu podała.

Pan Euzebiusz, zatopiony w rozkoszach gastronomicznych prawdziwej mokańskiej kawy, której sekret przyrządzania posiadano w jego domu, jak zwykle okazał mu się przyjaznym... Pomimo lat prze-



szło pięćdziesięciu, był on w całym znaczeniu tego wyrazu pięknym mężczyzną; postawa jego wysoka, kształtna, proporcjonalna, miała w sobie coś imponującego, nakazywała poszanowanie, bez widocznego współudziału woli, co czasem tak nieznośnymi czyni ludzi zajmujących wpływowe stanowiska. Przeciwnie, uśmiech jego ust, świeżych jeszcze pod szpakowatym wąsem, zdawał się sprzeczać z tym wyrazem powagi i nadawał wdzięk niewypowiedzany.

Regularne rysy nie straciły z czystości linii, a siwe włosy tak pięknie do nich przystawały, iż wyglądały raczej na kokieterjny wybryk natury, niż na znamię wieku. Pod niemi szerokie czoło świadczyło o istotnych zdolnościach. Słowem pan Euzebiusz posiadał jedną z tych szczególnych powierzchowności, które służą nieraz za rękojmię powodzenia. To też wszystko wiodło mu się w życiu, tak da-

lece, iż można było sądzić, że człowiek ten nie doznał nigdy żadnej przeciwności, że trudność lub przeszkoda znanemi mu były jedynie z nazwiska. Bo też o trudnościach i zawodach nie mówił zazwyczaj: przyjmował ze spokojem mędrca dni pogodne i nie zdawał się wątpić, że po nich równie podobne następować będą koleją.

Gdyby kto jednak rozpatrywał uważnie wyraz twarzy pana Euzebiusza, byłby dostrzegł w nim niechybnie niektóre rysy, nieodpowiadające tej dobrodusznosci, jaka widną była na niej zazwyczaj. Na czole, tuż przy osadzie nosa, dwie podługne bruzdy przecinały gładko wyrzeźbioną jego powierzchnię, świadcząc, że nieobcym mu był głęboki namysł, który zwykle objawia się w ten charakterystyczny sposób. Pod bujnym wąsem ukryte usta miały wprawdzie malinową barwę, przebijającą wdzięcznie przez siwy zarost, niby protest

młodości przysypanej przedwczesnym szronem; ale wargi te były wązkie i przecięte ku kątom, świadcząc o powściągliwości słowa, które nigdy nie wybiegało z nich nieopatrzenie, lecz zawsze rządzone było refleksyjnym pierwiastkiem. W harmonii z tą właściwością była wymowa jego powolna i jakby trochę trudna, nietylko jednak, by to mogło zwracać uwagę.

To też pan Euzebiusz nie był ani dowcipnym ani gadatliwym; wolał zazwyczaj słuchać, niż mówić, tem bardziej, że miał dar rzadki i niepospolity, świadczący albo o zupełnem zapomnieniu siebie, albo o głębokiej znajomości ludzkiej natury: umiał słuchać. W słuchaniu był on takim mistrzem, iż nietylko każdy mówiący z nim mógł przysiadz, iż rozmową tą był zupełnie zaabsorbowany, ale nawet wszystkie wrażenia mówiącego odbijały się kolejną na pięknej i wyrazistej twarzy pana Euzebiu-

sza, ilustrując je dosadnie i świadcząc o zajęciu przez nie wywołaniem.

Każdy też, kto choć raz z panem Euzebiuszem rozmawiał, sławił jego niepospolity rozum, nawet wówczas, gdy on nie miał sposobności wypowiedzieć w tej rozmowie ani jednego zdania. Każdy był z niego zadowolony. Był to rezultat niemożliwy do otrzymania za pomocą słów, które przecież mają swoje wyraźnie określone znaczenie i które albo nie mogą każdego zadowolić, albo też muszą być pomiędzy sobą w sprzeczności, co może w danym razie tworzyć nieprzyjemne zawikłania.

Pan Euzebiusz stwierdził więc dotykalnie znany aksyomat, że jeśli słowo jest srebrem, milczenie zato złotem nazwać można, a raczej znalazł w tym razie drogę pośrednią: umiał milczeć wymownie, mówił bez słów, i tym sposobem łączył korzyści dwóch sprzecznych z sobą faktów.



Jeśli jednak mało i powolnie czynnymi były usta jego, zato wzrok obdarzony był niezmierną bystrością. Pierwsze spojrzenie rzucone na pana Euzebiusza przekonywało, że ma czarne oczy, oprawione długą powieką prześlicznego kształtu, z czarnymi, zagiętymi rzęsami, które ćmiły ich blask i nadawały aksamitną łagodność źrenicom, pływającym, jak źrenice południowców, w niebieskawem przezroczu białka. Oczy te, podobnie jak cera twarzy i barwa ust, zachowały młodzieńczą świeżość i dopomagały mu dzielnie, dodając uroku milczeniu i magnetyzując niejako tych, co w nie patrzyli. Ale przytem zdolne one były wypowiedzieć gamy uczuć rozmaitych, i jak doskonałe narzędzie muzyczne odpowiada na najłżejsze potrącenie właściwym dźwiękiem, tak one miały subtelny odcień spojrzenia na każde wrażenie. Było to jednak ich cechą chwilową i przechodnią, pod którą kryła się nieustannie obserwa-

eya. Oczy pana Euzebiusza biegły w głąb myśli bliźniego, zdarzały się chwile w których miały świdrujące połyski, a wówczas bruzdy na czole stawały się wyraźniejsze i można było przysiąc, że odczytywał ludzi nakształt ksiąg otwartych. Chwile te jednak były niezmiernie rzadkie; zapewne fakt ten uwidocznił się wówczas tylko, gdy spotykał na drodze swej jakiś niezwykły szkopuł, lub sądził, że na niego nie zwraca uwagi, wiedział bowiem, że nikt badanym być nie lubi. To też zwyczajnym jego wyrazem było owo spokojne i uprzejme zadowolenie człowieka, któremu wszystko idzie po myśli, który używa spokojnie owoców własnej pracy, bo on to sam, własnymi siłami, dźwignął się na stanowisko jakie zajmował i zapewne dlatego chętnie innym ułatwiał drogę, którą sam przebył szczęśliwie. Jeśli w ciągu swojej zadziwiająco szybkiej kariery pan Euzebiusz ubiegł w awansie kolegów, którzy sądzili

iż mieli do niego większe prawo, jeśli sy-  
pały mu się gratyfikacye, dodatki i różne-  
go rodzaju korzyści, wszystko to nie wbi-  
jało go w dumę. Przeciwnie, umiał on  
zawsze szczerem i ujmującym obejściem  
rozbroić wszystkie niechęci i dla dobra  
innych używać swoich wpływów. „Euze-  
biusz, to dziecko szczęścia“ — mówiono  
powszechnie, a on temu bynajmniej nie  
przeczył i dodawał zwykle z cechującą go  
swobodną skromnością: „nie bierze zasłu-  
żony, ale szczęśliwy.“ Jakżeż więc gnie-  
wać się na niego? To też nie gniewał się  
nikt, a pomału przyzwyczajono się nawet  
do tego, że miał wyjątkowe prawa i przy-  
wileje.

Pan Euzebiusz przyjął Wacława ze  
zwykłą serdecznością, posadził go koło  
siebie, poczęstował wybornym cygarem i  
kawą, którą panna Zofia, nie czekając roz-  
kazu, przyniosła mu sama. Po serdecznem  
powitaniu jednak nastąpiło milczenie; pan

Euzebiusz nie miał zwyczaju nikogo o nie wypytywać i czekał, co mu nowoprzybyły powie; panna Zosia zaś byłaby pytała chętnie, ale sam na sam; przy ojcu nie wypadało jej wydawać się z tem, że była powiernicą Waclawa.

Wreszcie znudzony niepewnością, odezwał się Waclaw, odrazu zagajając sprawę:

— Przyszedłem do pana o poradę i z prośbą ważną.

Być może iż pan Euzebiusz domyślał się tego, być może, iż był lepiej uwiadomiony o sprawach Waclawa, niżeli się z tem wydawał, bo jedną z właściwości jego było, iż zawsze wiedział o wszystkich okolicznościach tyczących się bliźniego, jakkolwiek nie mówił o nich nigdy. W każdym razie twarz jego przybrała na te słowa wyraz przyjemnego zdziwienia.

— I owszem, mów, mów — odparł powoli — mów z całym zaufaniem.



— Pan jesteś tak dobry! — zawołał rozrzewniony Wacław.

Pan Euzebiusz wzruszył ramionami, a ruch ten można było przetłumaczyć wyraźnie w ten sposób, iż odrzucał z góry wszelką wdzięczność za to co gotów był uczynić, że nie działał wcale przez żadną dobroć, do której się nie przyznawał, gdyż rozkoszą prawdziwą było dla niego dopomódz każdemu, a cóż dopiero Wacławowi.

To też wyciągnął do niego rękę ojcowskim prawdziwie ruchem i powtórzył:

— Mów, mów śmiało!

A sam dźwięk jego głosu miał tak zachęcające brzmienie, iż młody człowiek opowiedział mu bez wahania tragiczne przejścia, jakich była widownią Jasionna i wszystko, oprócz zadrażnionego stosunku z matką i odwiezienia z tego powodu Reginy do panny Teodozyi.

W miarę jak mówił, na wyrazistej twarzy gospodarza domu malowały się ko-

leją niepokój, trwoga, smutek, a wreszcie głębokie współczucie. Nie pytał jednak o Reginę, bo w ogóle pytać nie było w jego zwyczaju, ale oczekiwał w wymownem milczeniu powodu opowiadania Waława, które zapewne w konkluzji mieścić się miało.

Do konkluzji tej Waław nie przyszedł; pogrążony w smutnych wspomnieniach, zdawał się zostawiać ją domyślności słuchacza. Ale słuchacz widocznie domyślnym nie był, bo po chwili zapytał:

— I ty chcesz rady odemnie?

— Tak jest — wybuchnął młody człowiek. — Zmiana położenia mojej narzeczonej musi w mojej przyszłości wywołać zmianę; skoro ona straciła majątek, ja muszę na nią pracować.

Mówiąc to, wlepił w pana Euzebiusza gorące, błagalne spojrzenie i zatrzymał się na chwilę, jakby oczekując przerwy lub odpowiedzi.

Pan Euzebiusz widać był tegoż zdania, bo przytakiwał głową i spojrzeniem.

— Dopóki nie znajdę pracy i nie będę miał jakiegokolwiek sposobu utrzymania, nie mogę się ożenić — kończył Wacław słabnącym głosem.

— Tak jest, ożenić się nie możesz — powtórzył smutno pan Euzebiusz, jakby ta ewentualność była dla niego równie bolesną.

— Ale ja ją kocham, ja zostałem jej jedyną podporą na świecie, ja muszę znaleźć sobie chleb i zajęcie, ja z tem przyszedłem do pana...

Tu mowa jego przerwana została. Pan Euzebiusz podniósł się z miejsca i ścisnął go rozczulony.

— To zacnie, to szlachetnie z twojej strony! Spodziewałem się tego po tobie — mówił.

Panna Zofia, która była obecna tej całej rozmowie, nie powiedziała nic, ale

współczucie jej było niemniej gorące. Ocierała sobie oczy.

— Więc kiedy mnie pan rozumiesz — mówił dalej Wacław — skoro podzielasz mój sposób widzenia i pochwalasz postępowanie, mam nadzieję że dopomóż mi zechcesz.

— Całem sercem — powtórzył gospodarz domu.

Nadzieja Wacława tyczyła się faktów nie serca, dlatego też odezwał się wyraźniej:

— Czy nie mógłbyś pan znaleźć dla mnie stosownego miejsca?

— Stosownego miejsca? — powtórzył pan Euzebiusz — miejsca stosownego?... Ha, trzeba będzie o tem pomyśleć.

Przez chwilę panowało głucho milczenie.

— Tobie potrzeba pilno, zaraz, właściwego utrzymania — ciągnął powoli Euzebiusz — nie prawdaż?



— Tak jest — powtórzył młody człowiek, którego pierś otwierała się szeroko nadziejom.

— Otóż widzisz, o podobne miejsce jest u nas trudno, bardzo trudno; trzeba o nie dosługiwać się latami całemi, a ty czekać nie możesz.

I znowu była cisza, tylko teraz serce narzeczonego Reginy biło trwogą, nie radością.

— Więc cóż ja mam uczynić? — zawołał, blednąc.

— Co? prawdziwie, mój drogi chłopcze, położenie łatwem nie jest, istotnie, łatwem nie jest.

— Przy pańskiej protekeyi, przy pańskiej pomocy...

— Tej możesz być pewnym — wyrzekł stanowczo pan Euzebiusz. Ale cóż ztąd? protekeya moja nie sięga dalej jak biuro kolei, a tutaj wszystkie miejsca są zajęte. Trzeba czekać wakansu. a przytem awans

jest trudny, obwarunkowany etatami, a te są małe, bardzo małe. Musiałbyś pracować lata całe za wynagrodzenie, które w żadnym razie celom twoim nie byłoby odpowiednie.

Zatrzymał się, jakby oczekując odpowiedzi Wacława, ale on milczał przygnębiony; zaczął więc znowu:

— W każdej rzeczy najgorsze są złudzenia, a ja nie chciałbym łudzić cię daremnie.

— Więc nie pozostaje mi nic do czynienia, więc jestem do niczego niezdolny? — zawołał zrozpaczony.

Ale pan Euzebiusz pochwycił jego rękę z gorącym współczuciem i otuchą.

— Ja tego przecież nie powiedziałem — zawołał — przeciwnie, przeciwnie. tylko należałoby poszukać odpowiedniego pola.

— Jakiegoż? — zapytał gorączkowo. — Och! panie, ty, co jesteś przyjacielem matki mojej...

— I twoim, wierzaj mi, Waclawie.

— Pomóż mi, poradź przynajmniej.

Zamiast słów, pan Euzebiusz odpowiedział mu wymownie całym zachowaniem się swoim, świadczącym, jak żywo obchodziło go jego położenie.

— Posłuchaj mnie — wyrzekł wreszcie — według mojego zdania...

Zatrzymał się, jak to miał zwyczaj czynić wówczas, gdy wypadało mu koniecznie występować z jakim projektem. i zdawał się badać oczyma grunt, na jaki się spuszczał.

Nie odebrał jednak żadnej wskazówki: Waclaw nie uprzedził go, jak to czynili zwykle ludzie lubiący oddawać pod cudze zdanie własne gotowe projekty.

Pan Euzebiusz odchrząknął lekko i mówił dalej tonem tak pełnym wahania się, iż rada jego była raczej następczeniem pomysłu, niż konkretnym wyrazem przekonania.

— Według mego zdania, prywatna instytucja byłaby dla ciebie najstosowniejszą.

Czekał chwilę, badając uczynione wrażenie, a przekonawszy się dopiero że nie zadrażnił żadnej ukrytej strony, ciągnął już dalej z zupełną pewnością:

— Tak jest, najstosowniejszą byłaby prywatna instytucja. Jednostka posiada tam daleko większe znaczenie, woła zwierzchnika nie ulega kontroli żadnej; może dać posadę jaką chce i komu chce, może stworzyć ją nawet wedle woli, a twoje imię, położenie towarzyskie i stosunki stanowić będą silną protekcją.

— Tak pan sądzisz? — szepnął Wacław, nabierając otuchy.

— Bez wątpienia — mówił pan Euzebiusz. — Widzisz, świat stoi na wymianie usług, to fakt niewątpliwy; trzeba umieć spożytkować to co posiadamy, a czego



właśnie nie posiadają inni. Wszak mnie rozumiesz.

I niepewny, czy należycie pojętym został, dodał:

— W świecie finansowym, przy reprezentantach firm handlowych, znajdziesz łatwo umieszczenie stosowne.

— Ależ ja nie mam w tym kierunku żadnego fachowego wykształcenia — zaprotestował Wacław.

Pan Elzebiusz uśmiechnął się lekceważąco.

— Och! — wyrzekł — to byłoby niezawodnie potrzebne, gdybyś był pierwszym lepszym, pamiętaj o tem. A przytem, zamiast specjalnego, masz ogólne wykształcenie, mówisz doskonale po francuzku, niemiecku, angielsku, a co do arytmetyki...

Popatrzył bystro w oczy gościa swego i dodał.

— Założę się, że tutaj była twoja słaba strona. No, ale pamiętasz co w podobnym

razie powiedziano człowiekowi, wymawiającemu się od przyjęcia naczelnictwa wielkiej finansowej instytucji: „wszak wiesz że dwa a dwa to cztery, nie zaś trzy, jak manipulują niektórzy, a to grunt, wierzaj mi, to grunt.“ I każdemu pryncypałowi o to też najwięcej chodzi.

Rozumowanie to trafiło do przekonania Waclawa, może z powodu że tego pragnął, może dla powagi pana Euzebiusza, a może też dla obydwóch przyczyn razem. Bo i dlaczegóż nie miał wierzyć tym, którzy okazywali mu tyle przyjaźni?

— Ha! — wyrzekł — skoro, pan tak sądzisz. Więc do kogo mam się udać?

Nad tem pytaniem gospodarz domu zamyslił się głęboko.

— Niestety — wyrzekł wreszcie — nie mam w tym świecie żadnych wpływów; ale to nie nie znaczy; najlepszą protekcją dla siebie będziesz ty sam. Masz przecie pomiędzy młodymi finansistami

znajomych, przyjaciół nawet... naprzykład..\*  
aa! pan Albert Schmetterling.

Fakt ten, że pan Euzebiusz nie miał wpływów na świecie, z którym w ciągłych zostawał stosunkach, zadziwił nieco Wacława, bo na te wpływy rachował; nie miał jednak żadnego powodu niedowierzać podobnemu zapewnieniu, szczególnie gdy było poparte wymownem westchnieniem. Zresztą gospodarz domu wskazał mu trafnie pana Schmetterlinga, z którym Wacław znał się dobrze, i tym sposobem sprowadził dywersyą w jego myśli.

Tymczasem pan Euzebiusz przypomniał sobie, że ma jakiś bardzo pilny interes do załatwienia. Pożegnał więc bardzo czule Wacława, polecając pannie Zofii, by zabawiła kochanego gościa, i prosił młodego człowieka, aby zawiadomił go o każdym swoim kroku.

Ale Wacław spieszył się także; musiał powracać do siebie, bo ktoś czekał

na niego. Pożegnał więc córkę i ojca, zanim ten ostatni opuścił mieszkanie.

Wówczas, rzecz dziwna, pan Euzebiusz zapomniał o pilnym interesie, jaki go z domu wywoływał, położył na stole kapelusz i rękawiczki, które już trzymał w ręku, i przez chwilę stał, patrząc na Zofię, która wzajem patrzyła na niego, a we wzroku ich obojga nie było śladu smutku i spólcucia, jakie na wyścigi okazywali Wacławowi.

Oczy córki zdawały się zapytywać:

— No i cóż, czy jest jaka nadzieja?

A oczy ojca odpowiadały:

— Kto wie? cierpliwości tylko, cierpliwości!

Wacław postanowił iść za radą pana Euzebiusza, a nawet dziwił się sam sobie, iż pan Schmetterling pierwiej mu na myśl nie przyszedł.



Na jednej z pryncypalnych ulic mieściły się biura domu bankierskiego, pod firmą Seweryn i Albert Schmetterling.

Młodszy reprezentant firmy, Albert, był człowiekiem znanym w pewnych kołach towarzyskich; posiadał nieposzlakowaną gładkość obejścia, dowcip i jeśli nie miliony, to przynajmniej krocie, które naturalnie uwydatniały te wszystkie przymioty. Wacław znał się z nim dobrze, wiedział o której godzinie zastać go mógł w biurze, bo ile razy wypadł mu jakiś towarzyski interes niecierpiący zwłoki, zaprosiny, bilety do sprzedania i t. p., zgłaszał się tam do niego.

Towarzyskich przysług podobnego rodzaju pan Schmetterling nie odmawiał nigdy, a co ważniejsza, spełniał je z tak przyjemnym uśmiechem, iż łatwo było uwierzyć, że kupno kilkunastu biletów na jakiś protegowany koncert, przepłacenie miejsca na amatorskie przedstawienie, lub

nabycie na wagę złota jakiego drobiazgu w dobroczynnym bazarze, stanowiło dla niego rozkosz prawdziwą.

Kobiety lubiły go bardzo i dziwić się temu nie było można, bo uprzejmość jego dla nich nie znała granic. Nigdy nie zbrakło mu ani komplementu, ani gotowości wyświadczenia im przysługi: czas jego, stosunki, pieniądze, serce nawet do pewnego stopnia było na ich zawołanie.

Ma się rozumieć, pan Schmetterling junior był kawalerem, kawalerem którego nie można było nazwać marcowym, bo wśród jego gęstych, nieco najeżonych blond włosów nie srebrzył się ani jeden podejrzanej barwy, chociaż ci co znali dobrze stosunki warszawskie twierdzili, że liczył blisko czterdziestki. On jednak lat podobnych nie wydawał ani twarzą, ani usposobieniem; przeciwnie, w ruchach jego była pewna elastyczna giętkość, a na twa-

rzy kwitły róże, będące właściwością młodości.

Twarz ta była okrągła, pulchna, krótka, ze starannie pielęgnowanym wąsikiem nad nieco mięsistymi ustami; bo już to staranną niezmiernie była cała postać pana Schmetterlinga, który posiadał w najwyższym stopniu w ubiorze, ruchach i mowie przymiot właściwy pewnym naturom i pewnym położeniom społecznym — poprawność. Poprawność ta jednak nie miała nic sztywnego, przeciwnie, łącząc się z ową giętką elastycznością, która nie ograniczała się do ruchów, ale cechowała zarówno wyraz twarzy, uśmiech, spojrzenie, tworzyła z nią harmonijną całość. Wrażenie przez nią wywołane było niemal zawsze korzystne, szczególnie gdy pan Schmetterling korzystnie przedstawić się pragnął.

Były jednak chwile, kiedy pod miękką powierzchownością występował jakiś pierwiastek nieugięty, nakształt sprężyny

stalowej, która przebija watowane obsłony; wówczas uśmiech zniknął z ust jego, a spojrzenie traciło swą zwykłą słodycz.

Tym sposobem pan Schmetterling junior, tak jak księżyc, miał dwa zupełnie różne oblicza: jedno jasne, znane powszechnie, gdyż zwrócone było do wyższych lub równych; drugie widzialne przez tych tylko, którzy stali na przeciwnem stanowisku i byli podwładnymi jego. A ponieważ pierwszych było nierównie więcej niż drugich, a nadto ci drudzy wobec pierwszych nie mieli wcale głosu, dziwić się nie można, iż nikt z dobrych znajomych i przyjaciół pana Schmetterlinga nie domyślał się tej drugiej fizyognomii, która przecież ukazywała się niekiedy, rzucając światło na jego rzeczywistą istotę.

Ponieważ starszy z reprezentantów firmy Schmetterling zwykle bawił za granicą, kędy go powoływały rozgałęzione interesa, pełnomocnikiem jej tutaj był pan



Albert i całym personelem biur zarządzał samowładnie.

Co do narodowości, do jakiej właściwie należeli bracia Schmetterlingowie, zachodziły niejaki wątpliwości. Nazwisko mieli niemieckie, ale językiem polskim władali wybornie, jako zrodzeni i wychowani w Polsce. Przecież starszy ożenił się z cudzoziemką i dom za granicą prowadził na sposób cudzoziemski; Schmetterling junior zaś miał tę dziwną właściwość, iż narodowość jego, tak jak fizyognomia miała rozmaite oblicza. I tak: w Warszawie nie przestawał mówić o naszym języku, naszych sprawach, naszych interesach, a nawet naszych stronnictwach, naszym piśmiennictwie i t. p., jak gdyby te rzeczy niezmiernie leżały mu na sercu i jak gdyby współludział jego w nich nie podpadał wątpliwości żadnej.

Kiedy jednak znajdował się poza zachodnią granicą, na gruncie kulturträge-

rów, pan Schmetterling nie wahał się znowu wszystko niemieckie naszym nazywać, a o Polsce i jej mieszkańcach odzywał się z tem zjadliwym lekceważeniem, które zwykle Niemców cechuje.

Niektórzy przecież, mający sposobność widywania pana Schmetterlinga na innym jeszcze gruncie, twierdzili iż z równą gotowością zrzucał niemiecką jak polską narodowość i przywdziewał tę, która zdawała mu się najdogodniejszą.

O tych jednak osobliwych właściwościach pana Alberta mało kto wiedział w Warszawie, a ponieważ nie uchylał się od czynnego spółdziałania zarówno kieszeni, jak osoby swojej w rzeczach użytku publicznego, nikt nie powątpiewał o szczerości jego obywatelskich uczuć.

Do przybytku tego-to Schmetterlinga junior, w godzinach, w których zwykł był przyjmować nie samych już interesantów,

ale i bliższych światowych znajomych, zgłosił się Wacław.

Należał on do tej ostatniej kategorii, szczególnie zaś od czasu, gdy urządzali wspólnie jakąś dobroczynną zabawę, przy której Wacław pokazał się hojnym swoim zwyczajem, zostawali w bardzo dobrych stosunkach. Pan Schmetterling bowiem miał pewną słabość dla ludzi, którzy nie trwoniąc fortuny, mogli dużo wydawać. Dla takich dom jego, serce, cygarnica pełna najwykwintniejszych regalia, a nawet czasem i kieszeń stały otworem; lubił robić dogodności bliźnim, byle te nie narażały go na straty.

Gabinet pana Schmetterlinga urządzony był z wykwintnym komfortem, cechującym zwykle tego rodzaju przybytki; widniały w nim smak i środki uczynienia mu zadość. Wszystko tu okrągłe, miękkie, ile możności bez kantów. Takim był kształt foteli i kanapek, obitych ciemno-czerwoną

gobelinową tkaniną, która pod promieniami słońca lub lamp gazowych nabierała krwawych odblasków, tem bardziej uderzających, że i ściany pokrywały takiego koloru tapety i dywan podobny zaścielał posadzkę. Na nim w malowniczym a pełnym wygody nieładzie stały porozstawiane sprzęty. Wielkie biurko, zajmujące niemal pół gabinetu, postawione było bokiem do okna, w ten sposób jednak, by z każdej strony dostęp doń był ułatwiony. Obok stały okrągły stoliczek i kosz do wrzucania niepotrzebnych papierów, umieszczone w ten sposób, by pan Schmetterling mógł ich dosięgnąć ręką, nie ruszając się ze swego fotelu. Właściciel tego pięknego gabinetu nie polenił się nigdy, kiedy tego wymagał interes, ale bez potrzeby nie chciał zadać sobie pracy zrobienia kroku jednego. Biuro pana Schmetterlinga postawione było w ten sposób, iż mógł od razu widzieć wchodzących przez jedyne



drzwi znajdujące się w gabinecie, a że wzrok miał doskonały, nigdy nie pomylił się co do osoby, ani wyrazu twarzy, jakim powitać ją należało.

Widząc Waława, przybrał najprzyjaźniejszy uśmiech, który nie ograniczył się na samych ustach, ale rozjaśnił mu spojrzenie i odbił się w najdrobniejszym rysie i zakątku twarzy. Wyciągnął do niego rękę z wyrazem, który świadczył, że jeśli nie rzuca mu się w objęcia, to tylko dlatego, że poprawność form potępia podobne manifestacje uczuć; niemniej jednak uczucia te tkwiły w jego sercu, chociaż wyrażały się tylko uściskiem dłoni. Jeśli zaś pan Schmetterling nie powstał na jego przyjęcie, to znowu z powodu, że pomiędzy młodymi ludźmi i rówienikami (pan Schmetterling miał się co do wieku za rówieownika Waława) ceremonie istnieć nie powinny. Ale za to jakże on rad był jego obecności, z jaką niecierpliwością poruszał

się na swoim fotelu, jakże wesoło brzmiał w jego ustach wykrzyknik: „Ach!“ w którym mieszały się radość i przyjemne zdziwienie.

— Ach! pan Julski — powtarzał. — Zkądże się pan wziąłeś? Co za niespodzianka!

Wskazał mu miejsce przy sobie.

— Sądziłem — mówił dalej, wczasie gdy nowoprzybyły odpowiadał jak mógł na ten wybuch — sądziłem że jesteś pan teraz na krańcu Europy, w miodowym miesiącu.

Wacław, którego serdeczne przyjęcie przeniosło w stare dobre czasy, słysząc to zapytanie, uczuł znów odzywający się ból w piersi i skinął ręką, jakby prosząc, by nie wspominał o tem.

Pan Schmetterling zrozumiał to i zatrzymał się nagle, wietrząc jakąś tajemnicę. Tajemnic nie lubił on w ogólności, gdyż wiedział z doświadczenia, że ludzie

zazwyczaj kryją to tylko, co im nie przynosi ani zaszczytu, ani korzyści. Natomiast wzrok jego spoczywał na Wacławie badawczo, a wśród serdeczności jaką wyrażało spojrzenie, wcisnęła się mgła jakaś.

Nowoprzybyły zrozumiał że mu się wytłumaczyć należało i, stosownie do charakteru swego, uczynił to z otwartością.

— Małżeństwo moje odwlekło się — zaczął.

Chciał mówić dalej, ale przerwał mu głośny wykrzyknik pana Schmetterlinga, który zawołał, uderzając się w czoło:

— Ach! pojmuję: bankructwo, śmierć Jasiennickiego! Słyszałem o tem. Otóż nieszczęście prawdziwe, że szlachta nasza bierze się do handlu, nie mając ku temu przygotowania żadnego. Pojmuję, pojmuję. A szkoda! panna Regina śliczna i co się zowie dobrą była partya. Znałem ją.

Wacław nie wiedział właściwie, co pan Schmetterling pojmował; ale on w tej

chwili nie rozumiał go zupełnie i spoglądał nań zdziwionemi oczyma.

— Cóż pan pojmujesz? — zapytał wreszcie.

— No, zerwanie małżeństwa, to rzecz jasna, Zawierało je się na innych warunkach.

— Ja go nie zerwałem przecież — wybuchnął Waclaw.

— Naturalnie — ciągnął dalej niezrażony Schmetterling — ale w podobnych warunkach zwłoka równa się zerwaniu; jest to krok przedwstępny.

— Nie zrozumiałeś mnie pan, przeciwnie.

Pan Schmetterling spostrzegł, iż zbyt daleko posunął swoje przypuszczenie; ponieważ jednak był to człowiek konsekwentny i logiczny we wszystkim, przeto tłumaczyć się zaczął:

— Daruj mi, panie Waclawie; toć sam najlepiej wiesz, co ci czynić wypada. Sko-



ro mówisz o zwłóce, sądziłem że zaniechałeś zamiaru... bo w okolicznościach, w jakich znajduje się panna Regina...

Dwukrotne wspomnienie narzeczonej sprawiło Waławowi nieokreśloną przykrość; przecież starał się ukryć to wrazenie, a pan Schmetterling ciągnął dalej:

— Panna Regina potrzebuje doraźnej opieki, inaczej zwłoka staje się niezrozumiałą.

— Rzeczywiście, przez usta jego przemawiał zdrowy rozsądek; streszczał on sądy świata, który w taki sposób musiał zapatrywać się na tę sprawę.

Waław nie mógł wtajemniczać go w szczegóły swoich domowych stosunków, zrozumiał jednak, że padało na niego posądzenie interesowności i przygryzł wargi aż do krwi.

— Ha! — szepnął — wiem że świat ma prawo mnie potępić.

Pan Schmetterling wzruszył ramionami z rodzajem wyższości, którą zwolna w toku rozmowy przybierać zaczynał.

— Ależ nie, bądź pan spokojny, świat cię potępić nie myśli; przeciwnie, przeciwnie. Gdzieżbyśmy byli, gdyby potępiano za takie rzeczy.

— Przyznaj pan — zawołał Wacław, uniesiony szlachetną dumą — że gdybym tak postąpił, zasługiwałbym na pogardę.

Pan Schmetterling klasnął rękoma właściwym sobie ruchem, zaokrąglił ramiona w sposób przypominający swobodnie wyciągającego się kota i wyrzekł oględnie:

— Zanadto gorąco bierzesz pan te rzeczy. Co tu potępić, za co potępić? Gdybyś pan ożenił się z panną Reginą, to widać że mógłbyś to uczynić; gdybyś się nie ożenił, postąpiłbyś rozsądnie i chyba szalony stawiałby ci z tego powodu za-

rzuty. Na świecie są różne drogi i różne wyobrażenia.

Pan Schmetterling odzywał się w tym razie jak prawdziwy mędrzec i można było na jego rozumowanie nie odpowiedzieć. Waław też nie myślał wdawać się z nim w dalszą polemikę,

— Ja — wyrzekł, przecinając dyskusję — mam zamiary, w których chciałbym zasięgnąć pańskiej rady.

Rada, jest to podobno jedyna rzecz, jaką ludzie ludziom chętnie udzielają; to też gospodarz domu więcej jeszcze zaochręcił plecy i wyrzekł z uśmiechem poufałością, wyciągając pulchną rękę do gościa:

— I owszem, całe moje doświadczenie jest na twoje usługi, panie Waławie.

Był widocznie dumny z tego zaufania i gotował mu się godnie odpowiedzieć.

Waław namyślał się chwilę. Czuł niewypowiedziany wstręt do zwierzania

się przed bankierem, a jednak wcześniej przynajmniej zwierzyć się musiał.

— Słucham, słucham — powtarzał pan Schmetterling z grzeczną niecierpliwością.

Wacław cofnąć się nie mógł i zaczął z nagłą determinacją:

— Zmiana położenia mojej narzeczonej wkłada na mnie obowiązki...

Tutaj zatrzymał się nagle, bo żółto niebieskie oczy pana Schmetterlinga spoczywały na nim badawczo i chłodno.

— Obowiązki — powtórzył jak echo — a! obowiązki.

— Sam bogatym nie jestem — ciągnął dalej Wacław — potrzeba mi więc znaleźć sobie jakie zajęcie, jaką pracę.

Słuchając go, bankier przechylał głowę w prawo, w sposób niedowierzający i nieobiecujący wcale.

— Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi, pan Schmetterling śmiać się zaczął i przymrużał oczy.



— Dlaczego! alboż ja wiem dlaczego?  
Bo tak jest.

— Sądziś mnie pan do pracy niezdolnym?

— Niezdolnym, to byłoby zbyt wiele: ale niestworzonym, niewychowanym do pracy. Kochany panie, praca to rzecz ciężka, bardzo ciężka!

Kładł nacisk na ten wyraz i wyciągał się przytem leniwo, jak ktoś co czuje wartość wypowiedzianych wyrazów i ma do niektórych z nich wstręt umotywowany.

— A gdybym ja też — mówił dalej Wacław — tej rzeczy ciężkiej chciał, potrzebował koniecznie, czy nie znalazłbyś jej pan dla mnie?

Wypowiadając to, stawiał wszystko na kartę i patrzył wprost na swego przyjaciela, w którym teraz upatrywał prawie przeciwnika.

Elastyczne członki gospodarza domu wyprężyły się, jak stal; w jednej chwili porzucił mięką, zaniedbaną pozę, w której spoczywał na fotelu, i poprawił się na nim, jakby przybierając obronną postawę.

— Ja — wyrzekł już zupełnie protekcyjnym tonem — będę z panem szczery.

— I owszem — odparł Wacław, chociaż te słowa przejęły go mimowolnym dreszczem, jako najgorszy symptomat.

W codziennych stosunkach ludzkich szczerłość znaczy rzecz przykrą i służy za zwyczaj tylko jako wstęp oratorski.

— Tak, będę z panem szczery — powtarzał pan Schmetterling. — Na co mi pańska praca? pan będziesz ją sobie zawsze sobie miał za przykrość i ujmę, boś do niej nieprzyzwyczajony, a ja... a ja...

Na tem ja pan Schmetterling zrobił szczególny przycisk i ciągnął dalej, już

teraz rozpierając się w fotelu, jak człowiek który ma do tego najwyższe prawo.

— A ja roboty usilnej potrzebuję i pracownika zawsze znajdę.

Wmiarę jak mówił, słowa jego brzmiały coraz fałszywiej w uszach Wacława, występowały w nich coraz wyraźniej pierwiastki szorstkości, ukryte pod gładką i poprawną powierzchownością światowego człowieka. W słowach jego przecież była prawda, której lekceważyć nie mógł, prawda którą wypowiedano mu ze stron wszystkich, na rozmaity sposób. Był to sens moralny rad matki, panny Teodozyi i pana Euzebiusza. Bankier nie powiedział mu nic nowego, nadał tylko odpowiedzi formę konkretną. Gdyby Wacław był ją usłyszał poprzednio, byłby się oburzył całą siłą swej dumy; teraz jednak nawykł do wielu rzeczy, nieznanym sobie, i przeciwnie, uczuł pewną ulgę, że wszystko jasno wypowiedziane zostało.

Fakt ten dodał mu bodźca, odparł więc bez wahania:

— Jaką pracą wydawać się mnie będzie, to już rzecz moja. Pan potrzebujesz pracowników i znajdziesz ich zawsze, o tem nie wątpię, ale spróbuj, czy ja pracownikiem być nie mogę.

Odpowiedź ta zdziwiła pana Schmetterlinga, a nawet na chwilę zachwiała jego postanowienie; ale to trwało krótko. Zaczął się śmiać.

— Tobie się na nic nie zdało...

— Dlaczego? — spytał znowu Wacław.

Żółto niebieskie źrenice bankiera zatrzymały się na nim z widocznym niezadowolaniem. Ale on zniósł to spojrzenie i dodał:

— Obiecałeś pan być szczerym, bądź nim do końca.

— Kiedyby są rzeczy, które się same przez się rozumieją.



— Powiedz mi je pan, widzisz przecie że domyślnym nie jestem.

— Ludzie tacy jak pan — zaczął znowu po chwili miękko i przyjaźnie pan Schmetterling — często proszą o prawdę, a potem się za nią gniewają. Ja nie chcę się z panem gniewać, broń Boże! Ot, lepiej nie mówmy o tem; ta fantazya panu przejdzie i będziemy znowu dobrymi przyjaciółmi, jak dotąd...

— Przyjaciółmi nie będziemy — zawołał podnosząc się Waclaw — bo ja nie zapomnę nigdy żem prosił o przysługę, którą pan pierwszemu lepszemu wyświadczasz, a odmawiasz jej mnie bez powodu.

— Jeśli odmawiam, to tylko dlatego, że z panem się gniewać nie chcę. Nie chcę byś pan narzekał, że Schmetterling taki, owaki. Ja wiem że się tak robi. Do moich biur cisną się ludzie, ale ja nie ciągnę nikogo, nikogo nie proszę. A zresztą nie gniewaj się, kochany panie Wa-

chwacie, jeśli też zapytam, co pan potrafisz?

A widząc poruszenie jego, dodał:

— Ja wiem że pan wiele rzeczy umiesz, ale z pewnością nie takie, które mnie są potrzebne.

Mówił leniwie i stanowczo, jak człowiek pewien swego, który w towarzystwie może być nadzwyczaj ustępujący, przecież na swoim gruncie czynić tego nie ma powodu.

W jego tonie było lekceważenie, może nie Wacława osobiście, ale w ogóle wszystkich, którzy zależeli od niego, i to Wacława ubodło do żywego. Czuł że nie zasługiwał na nie, a nie doszedł jeszcze do filozoficznej obojętności na wszystkie niezasłużone ciosy, jaką czasem w nieugiętych przedtem naturach wyrabia życie.

— Zdaje mi się — odparł dumnie — iż z robotą jakiej potrzeba w pańskich biurach obeznałbym się prędko, że mógłbyś

żyć mnie do swoich korespondencyj, gdyż posiadam gruntownie kilka obcych języków, a co najważniejsza, mógłbyś pan polegać na mojej dyskrecyi i być pewnym, że nie przeniewierzę ci się, zarówno moralnie, jak materyalnie.

Pan Sschmetterling słuchał go z lekko przymrużonemi oczami, a gdy skończył, nie odpowiedział wprost, tylko zdawał się namyślać.

— Wiesz pan co — zaczął po chwili — skoro chcesz tego koniecznie, dlaczegóż nie? możemy spróbować. Zobaczymy do czego nam się pan przydasz i czy biuro nasze panu się przyda.

Wyrzekłszy to, spojrział wprost na Waclawa, a w tej chwili w jego oczach niebieskie barwy znikły, przyćmione żółto bursztynowym blaskiem, który okrążał soczewkę i gasił w niej wszelkie miększe połyski. Jednocześnie głos jego stał się metaliczny, dźwięczał rozkazująco. Nie był

to już przyjaciel i towarzysz Waława, ale zwierchnik, zwierchnik sztywny i surowy.

Przed kilkoma tygodniami Waław nie byłby wcale zrozumiał tej zmiany; dzisiaj była ona już dla niego łatwą do pojęcia. Nauczył się czytać w fizyognomiach ludzkich przekonał się jak ściśle stosują się one do położenia społecznego. Różnica więc w obejściu bankiera nie miała dla niego nic zadziwiającego. Wchodził tutaj jako towarzysz, jako równy do równego, teraz zaś był już tylko podwładnym i to podwładnym przyjętym w drodze łaski

— No cóż, zgadzasz się pan? — spytał jeszcze naczelnik firmy.

— Zgadzam się — odparł bez namysłu.

Pan Schmetterling niedbałym ruchem dotknął palcem dzwonka i niebawem ukazał się we drzwiach ktoś, któremu kazał przywołać pana Mergolda.



— Przedstawię pana odrazu — ciągnął dalej bankier — zwierzchnikowi, który zajmuje się całym moim biurem. Od jutra rana możesz pan przychodzić.

Upłynęła chwila czasu, zanim pan Mergold stawiał się na wezwanie. Naczelnik firmy tymczasem zdawał się zapominać o Wacławie, wziął z biurka papiery i zaczął przeglądać je z nadzwyczajną pilnością, jak gdyby to był interes niecierpiący zwłoki. Robił przytem na marginesie jakieś adnotacye czerwonym ołówkiem i tak był zajęty tą czynnością, iż nieuważał nawet na wejście swego głównego urzędnika, jakkolwiek drzwi były wprost jego oczu.

Pan Mergold, widząc zajęcie pryncypała, zatrzymał się w pewnej odległości od biurka i oczekiwał, nie mówiąc słowa, na to, co mu będzie poleconem. Widocznie pomiędzy zwierzchnikiem a podwładnymi istniała ścisła etykieta.

Robiąc tę uwagę, Wacław przyglądał się nowoprzybyłemu. Z pozoru była to postać pospolita, zatarta, niewyróżniająca się niczem, prócz atletyczną budową, od wielu innych. Był to blady zgarbiony człowiek, nieokreślonego wieku, bo wiek, zarówno jak cierpienia, mógł ugiąć jego wysokie ciało. Ku ziemi także zwrócony był wzrok jego, a spuszczone powieki, objęte czerwoną obwódką, zdawały się świadczyć o nadmiarze pracy, czy chorobie przez nią spowodowanej.

Rysy jego miały tę doskonałą regularność, tę królewskość kształtu, jaki posiadają rysy wschodnie w niektórych typach, kiedy zachowała się w nich czystość pierwotna. Twarz ta jednak zorana była bruzdami, które nadawały jej wyraz przygnębiony i cichy, ale na kształt hieroglify potrzebowały wtajemniczenia, ażeby odczytanymi być mogły. Czarne brwi, regularnie w łuk zagięte, odbijały dziwnie

od siwiejących włosów, które zrzadka porastały czaszkę, podczas gdy krótko przystrzyżona broda i wąsy były zupełnie siwe.

Stał o parę kroków od biurka pryncypała, w postawie spokojnej, równie dalekiej od pokory, jak od dumy, nakształt człowieka, który automatycznie spełnia co spełniać musi, bez współdziałania własnej woli, który pozwala miotać sobą losom czy burzom i biernem poddaniem się godność własną ocala. Jakże karłowatym wydawał się przy nim Schmetterling! Jego mała, pulchna, giętka postać niknęła wobec tego barczystego, choć zgarbionego człowieka, jego leniwe, zaokrąglone ruchy przy zupełnym tamtego spokoju.

Cisza trwała czas jakiś, czas niezmiernie długi, wedle zdania Wacława, który z nerwową niecierpliwością czekał jej końca.

— Panie Mergold — odezwał się wreszcie pryncypał, nie podnosząc oczu od

swoich papierów, głosem, który dźwięczał ostro, na kształt uderzenia dzwonka.

— Jestem — odparł stłumiony a głęboki głos wezwanego.

Z pewnością pan Schmetterling widział, że podwładny stał naprzeciw niego, o trzy kroki od biurka; ale oczy jego tem różniły się od kocich, że widział tylko to, co chciał i kiedy chciał. Po chwili więc dopiero złożył papiery.

— Panie Mergold, przystąp-no tu pan bliżej.

Wezwany zbliżył się do biurka, ale twarz jego nie drgnęła, a powieki pozostały spuszczone.

— Oto jest pan Julski — mówił dalej pryncypał. — Od jutra zacznie on chodzić do naszego biura; dasz mu pan jaką robotę.

Wówczas dopiero nowoprzybyły spojrział na Waclawa; światło dnia odbiło się w jego wielkich, czarnych oczach, marzą-



cych i tęsknych, jak bywają czasem wschodnie źrenice. Wacław został niemi olśniony, tyle tam było smutku, bólu i blasku. Ale spojrzenie to trwało tylko mgnienie powieki i pan Mergold znowu spuścił je ku ziemi, jak czyni człowiek zmęczony, lub jakby powierzchowność i osoba Wacława nie obchodziły go wcale. Nie odpowiedział słowem żadnem pryncypałowi, tylko skłonił się w milczeniu i na skinienie ręki jego oddalił się takim samym mierzonym i spokojnym krokiem, jakim wszedł do gabinetu.

Skinienie to zapewne tyczyło się także Wacława; ale ponieważ on nie rozumiał tego odrazu, pan Schmetterling wyrzekł swoim jasnym, ostrym głosem:

— A więc do jutra.

Wypowiedział to dobitnie, a potem zagłębił się w papierach, okazując wyraźnie, że audyencya była skończoną.

Wacław był teraz, zarówno jak pan Mergold, podwładnym tylko, a nawet ostatnim z podwładnych. Uczuł to i krew uderzyła mu do twarzy.

Pan Schmetterling nie uważał za stosowne dodać słowa, ani wyciągnąć do niego ręki. Podobna poufałość względem podwładnego wydawała mu się zapewne nie na miejscu. Zanim jednak Wacław przestąpił próg pokoju, mógł zobaczyć, że papiery, w których zatopił się jego pryncypał, służyły mu tylko za pozór oddalenia natrętnych, rzucił je bowiem na stół bez ceremonii i wyciągnął się na fotelu, jak człowiek znudzony.

Ruch ten był wymownym i Wacław przypomniał sobie, jak nieraz czynił podobnie, kiedy wreszcie pozbył się jakiego uprzykrzonego interesanta; tylko że on czekał zwykle z objawami znudzenia, póki się drzwi za nim nie zamknęły, a pan Schmetterling na to nie czekał.

Przechodził teraz przez szereg pokoi, gdzie przy jednostajnych jesionowych stołach, na wyplatanych krzeselkach, siedzieli jego przyszli koledzy. Byli pomiędzy nimi młodzi i starzy, ludzie różnych typów; lecz jeśli jaka głowa podniosła się za jego przejściem, nosiła ona taki sam wyraz zniekania, jaki piętnował rysy pana Mergolda. Ludzie ci przedstawiali nieokreślone pomiędzy sobą podobieństwo, z którego an razie sprawy sobie zdać nie potrafił.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.







BIBLIOTEKA  
UNIwersYTECKA  
GDAŃSK

I 306405  
/1-2

